

60 lat

to dopiero początek

Akademicki Związek Sportowy
Politechniki Lubelskiej



60 lat

to dopiero początek

Akademicki Związek Sportowy
Politechniki Lubelskiej



WYDAWNICTWO
POLITECHNIKI
LUBELSKIEJ

60 lat

to dopiero początek

Akademicki Związek Sportowy
Politechniki Lubelskiej

Wydawnictwo Politechniki Lubelskiej

Lublin 2025

Redaktor, dobór tekstów:
Witold Zimny

Redaktor prowadzący:
Magdalena Chołojczyk

Pierwsza korekta językowa:
Oliwia Bańkowska, Elżbieta Nazaruk

Druga korekta językowa:
Magdalena Chołojczyk, Aleksandra Drozd

Kwerenda i opracowanie materiałów archiwalnych:
Agnieszka Wiśniewska

Projekt okładki:
Marta Zbańska, Agnieszka Wiśniewska

Na okładce wykorzystano zdjęcie ze zbiorów Muzeum PL, przedstawiające studentów WSiNż. w drodze na II Mistrzostwa Polski WSI w lekkoatletyce i piłce ręcznej, 4 maja 1969 r.

Skład i łamanie:
Łukasz Maj

Projekt medalu jubileuszowego na stronie 5:
Tomasz Piekut-Jóźwicki

ISBN: 978-83-7947-653-4 (wersja drukowana)
ISBN: 978-83-7947-654-1 (wersja elektroniczna)
DOI: 10.35784/9788379476541

Wydawca:
Wydawnictwo Politechniki Lubelskiej
ul. Nadbystrzycka 36C, 20-618 Lublin
tel. (81) 538-46-59
www.wpl.pollub.pl

1 9 6 5 - 2 0 2 5



 POLITECHNIKA
LUBELSKA

Słowa wstępne

Znieukrywaną dumą zachęcam do zapoznania się ze wspomnieniami azetesiaków. Choć tytuł mógłby sugerować, że to książka o dziejach Akademickiego Związku Sportowego, i w pewnym sensie nią jest, to przede wszystkim opowieść o emocjach i przyjaźniach, które narodziły się w murach Politechniki Lubelskiej.

Jestem starszy od Klubu Uczelnianego AZS Politechniki Lubelskiej, dlatego pozwalam sobie na przyjęcie mentorskiego tonu, opowiadając o jego historii. Upoważnia mnie do tego również fakt, że znałem pierwszego prezesa KU AZS Wyższej Szkoły Inżynierskiej, a dziś z satysfakcją obserwuję działalność obecnych władz klubu.

Nasza uczelnia, jak każda inna, realizuje swoje zadania w dziedzinie nauki i dydaktyki. Tej drugiej znakomicie towarzyszy KU AZS, wspierając ją w sposób, którego nie da się przecenić. Znane przysłowie – w zdrowym ciele zdrowy duch – nie jest pustym sloganem, lecz skuteczną metodą na zwiększenie wydolności umysłowej. Sformułował je rzymski poeta Juwenalis. Czy coś Wam to przypomina?

Przychodzimy na uczelnię po specjalistyczną wiedzę, ale oprócz niej otrzymujemy o wiele więcej – a zwłaszcza umiejętność przewycięzania słabości własnego ciała. Czasami, gdy los i talent sprzyjają, sięgamy nawet po olimpijskie laury. Doskonale obrazują to opowieści zamieszczone w tej publikacji.

W książce znalazły się wspomnienia zawodników, trenerów i działaczy AZS, których przynależność do tej organizacji wpłynęła nie tylko na ich dalsze losy, ale również na rozwój samego klubu. Teksty zostały ułożone chronologicznie – począwszy od opowieści osób pamiętających początki klubu aż po relacje tych, którzy obecnie biorą udział w zawodach sportowych lub trenują kolejne pokolenia azetesiaków. Tę mozaikową opowieść

otwierają trzy wstępy: mój, obecnego prezesa KU AZS Politechniki Lubelskiej Jakuba Kańkowskiego, a także rektora Zbigniewa Patera, który przywołuje również wspomnienia z czasów, gdy sam trenował w AZS-ie.

W ciągu 60 lat działalności Klubu AZS Politechniki Lubelskiej należało do niego wielu wybitnych sportowców, w tym olimpijczyków. W gronie azetesiaków nie zabrakło też późniejszych wybitnych naukowców. Ich stopnie oraz tytuły naukowe i zawodowe na przestrzeni lat się zmieniały – ktoś, kto we wspomnieniach jednych zapisał się jako magister, u innych pojawia się już jako doktor czy profesor. By uniknąć niekonsekwencji, wspólnie z zespołem redakcyjnym zrezygnowaliśmy więc z podawania tych tytułów przy nazwiskach.

Mam nadzieję, że te wspomnienia będą dla obecnych i przyszłych studentów inspiracją do działania. Niech będą dowodem na to, że obok nauki i pracy zawodowej warto pielęgnować sportową pasję, bo właśnie dzięki niej rodzą się przyjaźnie na całe życie, a wspólne sukcesy i trudy kształtują charakter. Każde pokolenie tworzy własną historię, ale fundamenty – wartości AZS – pozostają niezmiennie.

Witold Zimny

Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego
Jubileuszu 60 lat AZS Politechniki Lubelskiej

Sport akademicki odgrywa bardzo ważną rolę w edukacji studentów, powiem więcej – wręcz przygotowuje ich do wejścia w dorosłość. Żyjemy w czasach, w których coraz więcej godzin spędzamy przed ekranami komputerów, a przede wszystkim z telefonem w dłoni. Aktywność fizyczna stała się więc obecnie niezwykle istotna, jest ważnym elementem rozwoju na każdym etapie życia. Sport nie tylko poprawia kondycję fizyczną studentów, ale przede wszystkim kształtuje ich wartości, takie jak wytrwałość, dyscyplina czy punktualność.

W rozmowie z rektorem Zbigniewem Paterem, przeprowadzonej na początku jego kadencji, usłyszałem istotną dla mnie wskazówkę: „Ważne, aby Politechnika Lubelska stała się uczelnią kompletną”. Zrozumiałem wtedy, że uczelnia jest miejscem, gdzie nauka i sport muszą się uzupełniać i uczyniłem słowa rektora moim zawodowym mottem.

Życzę moim kolegom, studentom, a także sobie, aby sport akademicki dalej się rozwijał i stanowił prawdziwą pasję zarówno na poziomie klubu uczelnianego, sekcji akademickich i ligowych, jak i zajęć wychowania fizycznego. Chciałbym także podziękować Władzom uczelni za wieloletnie wsparcie działalności Klubu Uczelnianego AZS.

Jakub Kańkowski
Prezes KU AZS Politechnika Lubelska



Zbigniew Pater

Zawodnik

Szanowny Czytelniku,
Sześćdziesiąt lat działalności Klubu Uczelnianego AZS Politechniki Lubelskiej to naprawdę piękna historia. To nie tylko liczby i daty, ale przede wszystkim ludzie – pasjonaci sportu, studenci, absolwenci i pracownicy uczelni, którzy przez te wszystkie lata tworzyli wyjątkową społeczność. To setki treningów, starć, zwycięstw i porażek, ale też przyjaźni i wspomnień, które pozostają na całe życie.

Szczególnie mocno w dziejach Politechniki zapisał się rok 1965. Wtedy właśnie Wieczorowa Szkoła Inżynierska w Lublinie została przekształcona w Wyższą Szkołę Inżynierską. W tym samym roku, jako trzeci w strukturze uczelni, powołano Wydział Budownictwa, a razem z nim – w lipcu – narodził się nasz KU AZS.

Przełomem była budowa hali sportowej w 1989 r. – pierwszej z prawdziwego zdarzenia. W ciągu ostatnich 15 lat powstały boiska i korty tenisowe, które dziś są już nieodłącznym elementem życia sportowego Politechniki Lubelskiej. Infrastruktura to jedno, jednak najważniejsi zawsze byli ludzie. To oni byli, są i będą najmocniejszą stroną sportu akademickiego. Mam tutaj na myśli wszystkie osoby zaangażowane w działalność sportową, tj. zawodników, trenerów i działaczy. Dlatego z prawdziwą radością oddajemy w Twoje ręce, drogi Czytelniku, tę publikację. Zawiera ona wspomnienia osób związanych z KU AZS Politechniki Lubelskiej, które z klubem tym utożsamiają się do dziś. Lektura tych wspomnień pokazuje blaski i cienie zarówno studiowania (ewentualnie pracy w uczelni), jak i uprawiania sportu na Politechnice Lubelskiej w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat.

W tym miejscu chciałbym pozwolić sobie na osobistą refleksję. 40 lat temu, 1 października 1985 r. rozpocząłem studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lubelskiej. Postanowiłem wówczas zapisać się do sekcji

sportowej. Wybór padł na lekkoatletykę. Okazało się jednak, że aby zostać członkiem tej sekcji, trzeba było wziąć udział w zawodach sportowych, organizowanych dla tych, którzy dopiero zaczynali swoją przygodę ze studiowaniem na jednej z lubelskich uczelni. Zdecydowałem się wziąć udział w biegu na 1000 m, który ukończyłem na drugim miejscu. Ten zadowalający wynik sprawił, że 4 listopada 1985 r. zostałem członkiem KU AZS. Moim pierwszym trenerem był Stanisław Panek. Jako ciekawostkę dodam, że otrzymałem legitymację z numerem 2953, podczas gdy numer albumu w moim indeksie to 9083-D. Oznacza to, że co trzeci student dzienny w naszej uczelni był w tym okresie członkiem KU AZS. Fantastyczny wynik!

Rozpoczął się wtedy w moim życiu okres treningów, głównie w Parku Ludowym oraz w obiektach klubu sportowego Start Lublin. Pierwsze zawody, w których wziąłem udział jako czynny zawodnik AZS, odbyły się wiosną 1986 r. – był to Bieg o Puchar Dziekana Wydziału Mechanicznego. W imprezie tej uczestniczyłem w kolejnych latach regularnie, uzyskując najlepszy rezultat (trzecie miejsce) na trzecim roku studiów. Muszę tutaj dodać, że bieg ten zniknął z kalendarza imprez sportowych po transformacji ustrojowej w 1989 r. Udało mi się go jednak reaktywować w 2013 r., gdy byłem dziekanem Wydziału Mechanicznego PL. Obecnie bieg ten odbywa się



Legitymacja Zbigniewa Patera potwierdzająca jego przynależność do KU AZS Politechniki Lubelskiej. Ze zbiorów Zbigniewa Patera

cyklicznie w Święto Politechniki Lubelskiej (13 maja) i nosi nazwę Biegu o Puchar Rektora Politechniki Lubelskiej. Innymi zawodami, w których uczestniczyłem co roku przez cały okres studiów, był Bieg Kościuszkowski organizowany przez Politechnikę Krakowską. Był to bieg sztafetowy, w trakcie którego pięciu zawodników pokonywało trasę rozpoczynającą się na alei Warszawskiej (przed budynkiem rektoratu Politechniki Krakowskiej) i kończącą się na Kopcu Kościuszki. Pięciokrotnie startowałem na drugiej zmianie, pokonując trasę spod Sukiennic na Wawel. Biegi te kończyliśmy, zajmując różne miejsca, przy czym najważniejsze było dla nas wyprzedzenie lokalnego rywala, tj. zespołu UMCS Lublin. Największym moim sukcesem jako biegacza było zdobycie w 1988 r. Drużynowego Mistrzostwa Polski Politechnik w Biegach Przełajowych w Poznaniu. Punktowałem wówczas jako czwarty zawodnik naszego zespołu, zdobywając indywidualnie miejsce w okolicy połowy drugiej dziesiątki. To, po uwzględnieniu znakomitych wyników moich kolegów z drużyny: Jarka Milaniuka, Janka Zdziecha i Marka Czapskiego, wystarczyło do odniesienia zwycięstwa.

W grudniu 1986 r. pojechałem na obóz narciarski do Szczyrku. Oprócz sekcji narciarskiej brali w nim udział także zawodnicy innych sekcji KU AZS. Ponieważ wcześniej nie miałem nart na nogach, zostałem zakwalifikowany



Zbigniew Pater (pierwszy z lewej) dociera do mety biegu na 1500 m. Łódź, 1987 r. Fot. Andrzej Jezierski. Ze zbiorów Zbigniewa Patera

do grupy początkującej. Po dwóch dniach awansowałem do grupy średnio zaawansowanej, co uznałem za swój wielki sukces. Zaszczepiony mi wówczas bakcyl narciarstwa sprawił, że nabyłem odpowiedni sprzęt i 8 listopada 1987 r. zapisałem się do sekcji narciarskiej, kierowanej przez Jerzego Maca. Treningi nie sprawiały mi żadnych problemów, bo miałem doskonałą kondycję wypracowaną w sekcji lekkoatletycznej. Jednakże wyjazdy na kolejne obozy narciarskie wykazały liczne braki techniczne, których nie zlikwidowały nawet lekcje narciarstwa prowadzone w Zakopanem przez naszego kolegę z roku, Pawła Poradzisza, dla nas mistrza w tej dyscyplinie sportu. Te braki nie odebrały mi jednak radości z szusowania na nartach, którą czerpałem przez wiele kolejnych lat. Nie było mi dane reprezentować naszej uczelni na zawodach narciarskich. Przypadł mi za to w udziale honor reprezentowania Politechniki Lubelskiej w trójboju obronnym, na który składał się bieg na 3 km, rzut granatem na odległość oraz strzelanie na odległość 50 m do tarcz biathlonowych. W zawodach tych, rozegranych w 1987 r. w Lublinie, zająłem drugie miejsce (niestety miałem dwa pudła w strzelaniu, co przełożyło się na rundy karne, które trzeba było dodatkowo przebiec). Zwyciężył zawodnik Akademii Rolniczej, który cały dystans przebiegł trzymając karabin w dłoni, a nie jak cała reszta – na ramieniu.



Sekcja narciarska KU AZS Politechniki Lubelskiej na Kasprowym Wierchu, Zbigniew Pater piąty od lewej, Zakopane, 1988 r. Fot. Andrzej Jezierski. Ze zbiorów Zbigniewa Patera

Po ukończeniu studiów sporadycznie uczęszczałem na zajęcia sekcji lekkoatletycznej, kierowanej wówczas przez Ryszarda Stachaszewskiego. Stopniowo zacząłem się jednakże koncentrować na pracy naukowej, ograniczając aktywność sportową do typowo rekreacyjnej. W późniejszym okresie miałem co prawda jeszcze epizod przynależenia do sekcji badmintona KU AZS, jednak trwał on krótko ze względu na zerwanie ścięgna Achillesa, ale to już odrębna historia.



Zbigniew Pater podczas rzutu granatem na odległość. Zawody w trójboju obronnym, Lublin, 1987 r. Fot. Andrzej Jezierski. Ze zbiorów Zbigniewa Patera

Kończąc swoje wspomnienia związane z działalnością w KU AZS, chciałbym raz jeszcze zaprosić Cię, drogi Czytelniku, do zapoznania się z historiami innych osób, ludzi znacznie bardziej zasłużonych dla rozwoju sportu akademickiego, których opowieści znalazły się na kartach tej książki. To dzięki nim możemy dziś mówić o bogatej i pięknej tradycji sportu na Politechnice Lubelskiej.

Korzystając z okazji, pragnę także wyrazić wdzięczność wszystkim, którzy w różny sposób przyczynili się do tworzenia i rozwoju sportu na naszej uczelni: zawodnikom, trenerom, działaczom i sympatykom. Ich zaangażowanie, pasja i codzienna praca sprawiły, że sport akademicki na Politechnice Lubelskiej stał się ważnym elementem naszej wspólnoty i źródłem dumy.

Zbigniew Pater
Rektor Politechniki Lubelskiej



Mieczysław Hasiak

Prezes

Moje powiązania z uczelnią, a równocześnie ze sportem, rozpoczęły się w 1965 r. Wtedy to Wieczorową Szkołę Inżynierską, powołaną uchwałą Rady Ministrów 13 maja 1953 r., przekształcono w Wyższą Szkołę Inżynierską i w czerwcu 1965 r. odbył się pierwszy nabór na studia stacjonarne, zwane wówczas dziennymi. Na pierwszy rok studiów na tzw. Wydział Ogólnotechniczny przyjęto wówczas 179 studentów. Zainteresowanie sportem wśród studentów było bardzo duże, ponieważ wielu z nich należało do Miejskiego Klubu Sportowego lub klubów sportowych szkół średnich Lublina i okolic. Zajęcia dydaktyczne, a także sportowe, rozpoczęły się nie 1 października, czyli tak jak w innych uczelniach Lublina, a 1 września. Dlatego też nazywano nas złośliwie studentami „szkółki”, a nie wyższej uczelni. Po wstępnym rozeznaniu wśród niewielkiej grupy studentów, z inicjatywy kierownika Studium Wychowania Fizycznego Witolda Stępnika w dniu 12 listopada 1965 r. zorganizowane zostało zebranie, na którym powołano Zarząd Klubu Uczelnianego AZS WSIInż. i utworzono pierwsze sekcje sportowe.

Pierwszą organizacją studencką był założony w 1965 r. Klub Krótkofalowców, którym opiekował się AZS i ZSP, a sprzęt zakupiło Towarzystwo Przyjaciół WSIInż. Założycielami klubu byli: Jacek Sieroń, Krzysztof Wójcik i Andrzej Ryś. Klub mieścił się w wieży pałacu Sobieskich, od którego zaczyna się historia WSIInż.

Pierwszym prezesem klubu został Janusz Domański, wiceprezesami Andrzej Kutnik i Waldemar Szajewski, skarbnikiem Jerzy Zalewski, a sekretarzem Sławomir Gede.

Początki były trudne, ale towarzyszyła nam wspianą atmosfera, mieliśmy też wsparcie ówczesnego rektora Stanisława Podkowy, absolwenta i działacza sportowego Politechniki Warszawskiej. W 1965 r. rozpoczęły

pracę trzy sekcje KU AZS WSInż.: lekkoatletyki, koszykówki i siatkówki. Zawodnicy wymienionych sekcji włączyli się ochoczo do rywalizacji w wielouczelnianym środowisku Lublina, zajmując nieraz czołowe miejsca.

Dla młodej uczelni ważne było poinformowanie o jej prężnym działaniu społeczności Lublina. Ze względu na to, że zbyt wcześnie było na prezentację osiągnięć naukowych czy dydaktycznych, to właśnie sport okazał się najlepszą formą promocji. Temu też służyła międzyuczelniana spartakiada w 1967 r. Żadne ze zdjęć nie odda dumy, jaka rozpieła uczestników tego wydarzenia.

Ku zadowoleniu władz uczelni, organizowane przez KU inicjatywy sportowe stały się ważnym elementem promocji pierwszej w środowisku lubelskim uczelni technicznej. Do uczelni, a więc i do AZS-u, napływało coraz więcej utalentowanej sportowo młodzieży. W następnych latach powstawały także sekcje sportowe, których organizatorów i czołowych zawodników pozwolę sobie wymienić w dalszej części.

Brak sal i sprzętu oraz kadry trenerskiej wymuszał ogrom pracy i poświęcenia zawodników oraz działaczy sportowych. Warto podkreślić zwłaszcza wzorową współpracę ze Studium Wychowania Fizycznego. Byłem trzecim z kolei prezesem KU AZS (w latach 1970–1973). Pierwszym



Pałac Sobieskich przy ul. Dąbrowskiego 13 (obecnie ul. Bernardyńska), lata 60. Ze zbiorów Muzeum PL



Kolumna studentów prowadzona przez orkiestrę wojskową. W tle widoczne budynki Technikum Mechanicznego przy ul. Długosza, 1967 r. Ze zbiorów Muzeum PL



Przemarsz studentów przez Wieniawę na stadion Lublinianki. Na czele Tadeusz Fijałka z flagą AZS, 1967 r. Ze zbiorów Muzeum PL



był Janusz Domański, a drugim Janusz Dudziński. Wszyscy byliśmy absolwentami Technikum Energetycznego w Lublinie.

Obraz środowiska sportu akademickiego zmieniło powołanie Wyższej Szkoły Inżynierskiej w 1965 r., które umożliwiło założenie klubu uczelnianego AZS. Za datę powstania Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego WSIInż. (późniejszej Politechniki Lubelskiej) należy uznać 12 listopada 1965 r. Wtedy to, na zebraniu założycielskim sportowców i sympatyków sportu, w obecności Kierownika Studium WF Witolda Stępniaaka, podjęto decyzję o założeniu klubu. Od tego momentu zawodnicy naszej uczelni mogli z dumą nosi AZS-owskie barwy i gryfa. Biorąc pod uwagę, że społeczność naszej uczelni nie była liczna, to liczba aktywnych sportowców była do niej adekwatna. Mimo to, a może właśnie dlatego, nasze koleżanki i koledzy wykazywali się wszechstronnością i rywalizowali w wielu dyscyplinach. Spartakiada międzyuczelniana była okazją do rywalizacji sekcji sportowych klubów uczelnianych AZS Lublina, a także prezentacji sportowego środowiska akademickiego mieszkańcom Lublina. Obiekty sportowe WKS Lublinianka stały się areną zmagania studentów-sportowców, chociaż promocja akademickiego sportu odbywała się także poza obiektami. Uroczysty przemarsz w kierunku stadionu ulicami miasta sprawiał frajdę i zawodnikom, i gapiom. W spartakiadzie zachowano ceremonię otwarcia wzorowaną na wielkich imprezach sportowych: była flaga wciągana na maszt przy dźwiękach *Gaudeamus igitur*, przysięga o walce fair play i przemarsz przed trybuną honorową. Podniosłość otwarcia wzmagała dążenia studentów-sportowców, by osiągać jak najlepsze rezultaty. Jednak i tak najbardziej emocjonowali się trenerzy zawodników i drużyn. Ze względu na to, że nasz klub powstał niedawno, a kadra trenerska była więcej niż skromna, trudno było mówić o szkoleniowej pracy w sekcjach. Tym niemniej godnie reprezentowaliśmy uczelnię. Niezależnie od umiejętności, techniki czy wytrenowania wszyscy dążyli do pokonania rywali i własnych słabości, aby stanąć na podium.

Zimą rywalizacja przenosiła się na stoki i trasy biegów narciarskich. Zimowe spartakiady, jak i cały zimowy sport akademicki, cieszyły się dużym zainteresowaniem władz uczelni. Warto wspomnieć, że w otwarciu spartakiady w Kazimierzu Dolnym brał udział nasz rektor Stanisław Podkowa. Jako przewodniczący Kolegium Rektorów zainicjował dobrą tradycję: jedno kolegium w roku miało być odtąd poświęcone sportom akademickim.

Otworciu zimowych spartakiad na rynku w Kazimierzu towarzyszyły fajerwerki. Walka na stoku była ostra, tak więc nie brakowało upadków. Prezes naszego klubu Janusz Domański w ramach zakładu postanowił ścigać się pługiem i zakład ten wygrał, bo konkurent się wyłożył.

Siłami całego środowiska AZS wybudowano wyciąg orczykowy, który służył przez lata nie tylko do obsługi naszych imprez. Co istotne, sprzęt narciarski zapewniała uczelnia (również na obozy w okresie przerw semestralnych).

W 1969 r. nastąpiły istotne zmiany w organizacji sportu akademickiego w Lublinie. Powołana została Komisja Klubów Uczelnianych jako organ wykonawczy Prezydium Zarządu Środowiskowego AZS Lublin. Zajmowała się ona koordynacją systemu współzawodnictwa. Sekretarzem Komisji został Prezes KU AZS WSInż. Janusz Domański. W tym samym roku, z okazji 25-lecia Lubelskiego Ośrodka Naukowego, zaczęto urządzać Akademickie Igrzyska Lublina w grach i lekkoatletyce.



Ławka sędziowska podczas zawodów, Lublin 1969 r. Ze zbiorów Muzeum PL

Centralny kalendarz współzawodnictwa w typach uczelni (Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik) przyznał nam prawo organizacji mistrzostw w lekkoatletyce i piłce ręcznej. Była to pierwsza ogólnopolska impreza sportowa, na której nie tylko prezentowaliśmy nasze sportowe umiejętności, ale też sprawdzaliśmy się jako organizator.

Niewątpliwie dużym ułatwieniem było to, że zawody te rozgrywane były na znanych nam obiektach WKS Lublinianka. Dodatkowo słoneczna pogoda sprzyjała osiągnięciu dobrych rezultatów we wszystkich konkurencjach lekkoatletycznych.

Piłkarze ręczni również nie oszczędzali się w ostrej walce na boisku. Kiedyś zapytałem wybitnego znawcę tej dyscypliny, o to, kiedy jest faul, bo gra wydawała mi się dość brutalna. Mój interlokutor bez wahania odpowiedział „Wtedy, gdy gwizdnie sędzia”.

Lata 70. XX wieku to ważny okres rozwoju uczelni, powstały wtedy pierwsze budynki dydaktyczne i akademiki. Były to również lata znamienne dla rozwoju sportu akademickiego. Na nowych kierunkach Wydziału Budowlanego rozpoczęła studia duża grupa dziewcząt, w związku z czym utworzone zostały sekcje żeńskie. Wprowadzono zawody, podczas których rywalizowały wyższe szkoły inżynierskie i morskie – łącznie siedem uczelni. We wszystkich dyscyplinach zajęliśmy czołowe miejsca (pierwsze lub drugie).



Pochód pierwszomajowy, sztandar uczelni trzyma Tadeusz Fijałka, ówczesny wiceprezes KU AZS, 2. poł. lat 60. Fot. A. Żuchowski. Ze zbiorów Muzeum PL

Organizując imprezy sportowe w Lublinie, korzystaliśmy z Akademickiego Ośrodka Sportowego przy UMCS, ale jednocześnie wykorzystywaliśmy każdą okazję zdobycia środków na budowę własnej hali sportowej.

Sekretariat KU AZS i Studium WF oraz Studium Wojskowego w latach 70. mieścił się obok AOS-u przy ul. Langiewicza. Tam przygotowywane były plany i programy wszystkich imprez, nierzadko z udziałem zespołów uczelni zagranicznych, np. z Weimaru, Koszyc czy Brześcia.

Podstawową formą informacji o imprezie był plakat, dlatego powołany został nieformalnie zespół plakatu, do którego należały dziewczyny z Wydziału Budowlanego. W latach 70., szczególnie w pierwszej połowie, KU AZS rozwinął działalność turystyczną i kulturalną. Organizowane były rajdy z udziałem studentów innych uczelni, np. Wydziału MFiCh UMCS, oraz bale sportowca i przodownika nauki. O zgodę na organizację jednego z ostatnich bali w najpiękniejszej na tamte czasy sali w Lublinie, czyli budynku Naczelnej Organizacji Technicznej przy ul. Żwirki i Wigury, poprosiłem rektora Podkowę jako prezesa NOT. Rektor poprowadził wówczas poloneza. Na bal zostali zaproszeni najlepsi sportowcy, pracownicy nauki oraz nauczyciele akademicki, nie tylko z WSiInż. Natomiast pierwszy bal sportowca i przodownika nauki odbył się w sali gimnastycznej „Oxfordu” – budynku odziedziczonym po Technikum Mechanizacji Rolnictwa. W kolejnych latach tego typu imprezy odbywały się w budynku NOT. Na tamte czasy był to najbardziej okazały budynek w Lublinie.

Działalność KU AZS WSiInż. w Lublinie oceniona była pozytywnie przez Zarząd Główny AZS oraz samego prezesa i Ministra Oświaty i Wychowania Jerzego Kuberskiego, o czym mówił podczas pobytu w Lublinie w 1972 r. z okazji 50-lecia AZS w środowisku lubelskim.

Naszym nadrzędnym celem, niezależnie od wyników sportowych, było zawsze uzyskanie środków na budowę hali sportowej z zapleczem. Minister Jerzy Kuberski zamierzał kandydować na prezesa zarządu głównego AZS. Aby zdobyć poparcie środowisk i przekonać do swoich koncepcji rozwoju sportu akademickiego w Polsce, minister planował różne działania. Z satysfakcją przyjąłem wiadomość od Witolda Stępnia i Michała Junaka, że jednym z tych działań miało być przyznanie środków na budowę hali sportowej wraz ze Studium Wojskowym (które studenci nazywali pentagonem). Jako prezes AZS miałem pierwszy zabrać głos na VIII zjeździe AZS w 1973 r. i opowiedzieć o doświadczeniach łączenia sportu z nauką.

Jak się rzekło, środki na budowę hali sportowej i siedziby Studium Wojskowego uczelnia otrzymała, gorzej było z pozwoleniem na budowę



na terenie zalewowym i podmokłym. W niektórych latach poziom wód gruntowych osiągał metr wysokości od gruntu. Nadzór budowlany udzielił warunkowej zgody na realizację inwestycji na słupach żelbetonowych o długości 7 m, wbitych w mokry grunt. Wszystkie przedsiębiorstwa budowlane odmówiły przyjęcia zlecenia. W związku z tym zwróciliśmy się z prośbą o podjęcie się realizacji tej inwestycji do naszego absolwenta i działacza AZS Włodzimierza Kusego, który zgodził się po długich rozmowach. Przygotowania do budowy trwały od 1976 r., prace budowlane rozpoczęto w 1983 roku od – z tego, co pamiętam – 76 pali żelbetonowych.

Gdy wreszcie powstała hala sportowa z niezbędnym zapleczem, zaczęły powstawać i rozwijać się kolejne sekcje sportowe. Oto krótki opis poszczególnych sekcji z ich osiągnięciami oraz nazwiskami. Założycielem i trenerem sekcji lekkoatletyki był Jarosław Grocholski, od roku 1980 do 2019 sekcję tę prowadził Ryszard Stachaszewski. Obecnie trenerem sekcji jest Elżbieta Spólnicka. Wyróżniającymi się zawodnikami w pierwszych latach działalności sekcji byli: Marek Jarzyna, Janusz Drewnowski, Stanisław Jędrusiak, Alicja Struska, Kazimierz Kolczyński, Maria Cimek, Maria Smaga, Andrzej Janicki, Mieczysław Włodek. Znaczące sukcesy na ogólnopolskich i międzynarodowych zawodach odnosili lekkoatleci KU, należący jednocześnie do sekcji środowiskowej AZS: Leszek Bobrzyk – złoty medalista Mistrzostw Polski Politechnik, Jarosław Milaniuk – członek kadry narodowej juniorów, który zajął drugie miejsce w MP Politechnik w 1981 r.; Michał Kwiecień – pierwsze miejsce w rzucie oszczepem, drużynowo w Przełajowych Akademickich MP w 1988 r. (w składzie: Jarosław Milaniuk, Zbigniew Pater, Jan Zdziech, Marek Czapski, Krzysztof Stępień, Wojciech Szram); Marek Kudyk – brązowy medalista Międzynarodowych Akademickich Mistrzostw Polski (1997) i mistrz AMP (1998) oraz brązowy medalista AMP Szkół Wyższych w biegu na 400 m przez płotki; Paweł Węgrzyn – brązowy medalista AMP w rzucie oszczepem i Młodzieżowych MP w dziesięcioboju (2001); Radosław Jędrzejewski – młodzieżowy mistrz Polski w skoku w dal (2002); Grzegorz Sposób, student studiów zaocznych na Wydziale Mechanicznym – najlepszy skoczek wzwyż w Polsce, wielokrotny mistrz Polski, zdobywca Pucharu Europy (2001), reprezentant Polski na Mistrzostwach Świata w Edmonton (2001), oraz na Uniwersjadzie w Pekinie, gdzie zajął czwarte miejsce (2001–IV m.).

Duże zainteresowanie młodzieży koszykówką umożliwiło utworzenie kolejnej sekcji. Pierwszymi zawodnikami i założycielami sekcji koszykówki w 1965 r. byli: Tadeusz Fijałka, Maciej Rudziński, Jerzy Zalewski, Michał Kułakowski, Wojciech Kułakowski. Do czołowych zawodników należeli:

Waldemar Usidus, Mieczysław Woleń, Bohdan Kozyra, Marek Kozłowski, Hieronim Podlódowski, Krzysztof Bryda, Jerzy Wroński, Andrzej Artamonow, Marek Gołkiewicz. Sukcesami sekcji były drugie miejsca na mistrzostwach Polski. Treningi prowadzili wówczas znani trenerzy koszykówki – Zdzisław Niedziela, Zenon Jaźwierski, Henryk Sapowski, Ryszard Kister oraz późniejsi pracownicy SWFiS: Adam Dąbrowski, Grzegorz Stefanowski, Waldemar Nieleśzczuk, Izabela Pasierbiewicz. Nasi koszykarze zajmowali czołowe miejsca w spartakiadach międzyuczelnianych, MP Politechnik, rozgrywkach amatorskich TKKF, a nawet w turniejach międzynarodowych.

W 1965 r. powstała sekcja piłki siatkowej mężczyzn. Założycielami sekcji byli: Waldemar Szajewski, Mieczysław Panek, Hubert Staszewski, Janusz Domański, Ryszard Polarski, Marek Malczewski, Henryk Sobieszek i Sławomir Gede. Sekcję prowadził trener Stanisław Kleczkowski, a od 1973 r. Stanisław Koprianiuk. W swojej bogatej historii sekcja wielokrotnie reprezentowała uczelnię, zajmując czołowe miejsca w Mistrzostwach Polski Szkół Wyższych: w 1969 i 1971 r. – pierwsze miejsce, a w 1967 r. – czwarte miejsce. W turnieju o Puchar JM Rektora WSInż. w Lublinie siatkarze w latach 1967–1972 zajmowali zawsze pierwsze miejsca. Ponadto zespół uczestniczył w Turnieju o Puchar prof. Maryniaka, organizowany przez KUL, oraz w wielu imprezach uczelnianych. Zawodnicy tej sekcji brali udział w rozgrywkach środowiskowej drużyny ligowej. Wyróżniającymi



Niewielka sala gimnastyczna (w centralnej części zdjęcia) w budynku tzw. Oxfordu, pocz. lat 70. Ze zbiorów Muzeum PL

się zawodnikami sekcji byli: Waldemar Szajewski, Tadeusz Zmorczyński, Henryk Sobieszek, Andrzej Cubala, Mieczysław Panek, Józef Marciniuk, Kazimierz Kolczyński, Lech Ciepielewski, Andrzej Ciepielewski, Stanisław Wortel, Tomasz Maliszewski, Marian Simarski, Zbigniew Magolem. W latach 1969–1971 Józef Marciniuk uznany został za najlepszego zawodnika MP WSiNz.

Kolejną sekcją cieszącą się dużym zainteresowaniem wśród studentów, szczególnie gdy na Wydziale Budowlanym podjęto studia dużo dziewcząt, była siatkówka kobiet. Trenerami i opiekunami sekcji byli: Witold Stępiak, Krystyna Strycharzewska, Danuta Welcz, Elżbieta Galewska, Elżbieta Dąbrowska. Wyróżniającymi się zawodnikami byli: Maria Nowak, Zofia Łojek, Anna Michalak, Maria Cimek, Elżbieta Goździk, Grażyna Kutnik, Barbara Hempel, Barbara Parzymieś, Danuta Żuber, Krystyna Jaroszyńska, Krystyna Kulgawczyk i Grażyna Król. Pierwsze zauważalne osiągnięcia to zajęcie drugiego miejsca w XIV Spartakiadzie Wyższych Uczelni Lublina w 1970 r. i czwarte miejsce w MP Szkół Wyższych.

Sekcja pływacka powołana została do życia z wraz z otwarciem krytej pływalni w Lublinie, czyli w 1969 r. Trener Henryk Kossakowski swym zapałem zachęcał młodzież do wysiłku, który przyniósł drużynie duże sukcesy: III miejsce kobiet i II miejsce mężczyzn w I Międzyuczelnianych Zawodach Pływackich, I miejsce w zawodach o Puchar Głównego Zarządu AZS, mistrzostwo Polski w grupie Wyższych Szkół Inżynierskich i Wyższych Szkół Morskich. Grupę najlepszych sportowców tworzyli: Magdalena Majewska, Anna Mańkowska, Małgorzata Tyrąła, Maryla Danilewicz, Ewa Sztajnert, Barbara Malczewska, Ewa Goleniewska, Helena Czajka, Jola Nocuń, Waldemar Borowiec, Jan Nastaj, Bohdan Dobosz, Janusz Kalwasiński, Jerzy Bagiński, Czesław Grudzień, Ziemowit Sokół. Jan Nastaj i Bogdan Dobosz w latach 1971–1973 zdobyli tytuły mistrzów Polski Wyższych Szkół Inżynierskich i Morskich, a sztafeta Sokół, Dobosz, Nastaj, Borowiec – złoty medal Mistrzostw Polski. Od 1971 r. trenerem sekcji był Zdzisław Ruzikowski, a od 1975 r. – Grzegorz Stefanowski.

W latach 80. student Wydziału Mechanicznego Jarosław Klin na MP Politechnik zdobył złoty medal na 100 m stylem grzbietowym oraz brązowy medal na 100 m stylem dowolnym. Z kolei w roku akademickim 2001/2002 w Poznaniu na MP Politechnik sekcja zdobyła trzy medale: Jarosław Mazurek – I miejsce 100 m stylem grzbietowym i I miejsce 50 m stylem grzbietowym oraz Ireneusz Walencik – III miejsce 100 m stylem klasycznym. W XXI MP Politechnik najlepszym zawodnikiem według punktowych tabel wielobojowych został Jarosław Mazurek (721).

Założycielami i pierwszymi zawodnikami sekcji piłki ręcznej mężczyzn byli: Zbigniew Bołtuć, Ryszard Głazewski, Ryszard Polarski, Jan Szyszko, Andrzej Męciński, Włodzimierz Bis. Wyróżnili się także zawodnicy: Henryk Lochman, Wojciech Dąbrowski, Marek Sławomirski, Andrzej Urbanowicz, Marek Kozłowski, Hieronim Podlódowski, Andrzej Jernicki, Henryk Bołtuć, Marek Korniak, Waldemar Jaworzyński, Piotr Fotyma, Bohdan Kozyra. Zespół zdobył w 1969 r. I miejsce w MP Szkół Wyższych, II miejsce w 1967 r. oraz II miejsce w 1971 r. W 1972 r. zdobył pierwsze miejsce i Puchar J.M. Rektora UMCS w rozgrywkach z udziałem najlepszych drużyn uniwersyteckich. Sukces ten powtórzyli również w 1973 r. Sekcja zdobyła następujące medale w MP Politechnik: złoty medal (Lublin, 1969), brązowy medal (Białystok, 1971), złoty medal (Kraków, 1986), srebrny medal (Poznań, 1988), srebrny medal (Lublin, 1990), srebrny medal (Kraków, 1994), srebrny medal (Lublin, 1996). Zawodnicy tej sekcji stanowili trzon środowiskowej drużyny piłki ręcznej. Trenerzy sekcji to Arkadiusz Łątka i Roman Małyszek.



Sekcja pływacka AZS PL podczas Międzyuczelnianych Zawodów Pływackich w Wojewódzkim Ośrodku Sportu, Turystyki i Rekreacji (WOSTiW), pocz. lat 70. Fot. Jan Nastaj. Ze zbiorów Muzeum PL

W 1969 r. powstała sekcja tenisa stołowego. Założycielem i pierwszym trenerem był Antoni Czop, a późniejszym trenerem był Włodzimierz Kosacki. Drużyna w składzie: Antoni Czop, Ludwik Uchymiak i Grażyna Dźbik zdobyła w 1971 r. tytuł Mistrza Polski WSiInż. i WSM. Do czołowych zawodników zaliczali się również: Marta Malik, Jolanta Musiej, Sławomir Ślepowroński. Obecnie sekcją zajmuje się Jakub Kańkowski.

Kolejną sekcją cieszącą się dużym zainteresowaniem była sekcja żeglarska, która powstała w 1965 r. Jej założycielem był Stanisław Szczepanik. Jej członkowie organizowali wiele rejsów po Zalewie Szczecińskim i jeziorach mazurskich. W imprezach uczestniczyło ponad 500 osób. W Spartakiadzie Wyższych Uczelni miasta Lublina sekcja zwykle zajmowała pierwsze miejsca. Do najlepszych zawodników należeli: Stanisław Szczepanik, Wojciech Józwicki, Marek Kliszczyński, Andrzej Modrzewski, Artur Czubaszek, Jan Kasperek, Krzysztof Mikołajewski. Aktywnymi członkami tej sekcji byli również pracownicy uczelni: Kazimierz Zagórski, Lech Mierzwa, Wiktor Pidek, Zbigniew Ratajewicz, Wacław Jaśkiewicz.



Posiedzenie Zarządu AZS w Lublinie, przemawia Mieczysław Hasiak, 1972 r. Ze zbiorów Muzeum PL

W 1966 r. powstała sekcja strzelecka. Trenerzy powoływani byli okresowo. Największe sukcesy sekcji to II miejsce w MP w 1971 r. oraz w 1973 r. wicemistrzostwo Lublina w strzelaniu z broni pneumatycznej. Najlepsi zawodnicy to: Edmund Karwat, Józef Kocina, Krzysztof Filipiak, Wiesław Łachaj, Halina Pawlukiewicz, Antoni Duk, Lech Bałabuszek, Ryszard Tarski, Anna Kuś, Danuta Sokolińska. Trener sekcji – Stefan Dworakowski, operator – mjr Eugeniusz Wiechowski, a opiekę nad sekcją sprawował Ośrodek Szkolenia Obronnego, który zapewniał broń i amunicję.

W latach 80. duże sukcesy odnosiła sekcja szachowa. W 1983 r. w MP Szkół Wyższych zwyciężyła drużyna kobieca (Anna Kozicka, Joanna Pomykała), zaś Wicemistrzostwo Polski Szkół Wyższych zdobyła drużyna męska (Jerzy Semczuk, Marek Otrocki, Grzegorz Paszczyk, Mirosław Wendeker). Dwa lata później męska reprezentacja Politechniki Lubelskiej zdobyła brązowy medal w Szachowych Drużynowych MP. Do drużyny należeli wtedy m.in. Grzegorz Paszczyk, Mirosław Wendeker i Zbigniew Ratajewicz. Sekcja szachowa pod opieką Jarosława Grocholskiego w 1986 r. uzyskała awans do II ligi. W zespole występowali: Jerzy Semczuk, Waldemar Popławski, Marek Otrocki, Grzegorz Paszczyk, Mirosław Wendeker, Andrzej Pleszczyński i Barbara Pleszczyńska. Rok później do II ligi awansowali juniorzy – w tym okresie klub mogli reprezentować również uczniowie szkół średnich.

Po kilku latach drugoligowe szlify zdobyli również brydżyści Klaudiusza Lenika. Filarami zespołu byli: Michał Kwiecień – mistrz Europy w kategorii juniorów oraz Jacek Pszczoła.

W 1970 r. powstała sekcja judo. Była liczna i dość szybko się rozwijała. W 1973 r. zdobyła II miejsce na MP Wyższych Szkół Inżynierskich, Szkół Morskich i Filii Politechnik. Trenerami byli: Bohdan Majewski (będący jednocześnie zawodnikiem), Bohdan Wagner i Henryk Szymanek. Do najlepszych zawodników należeli: Bohdan Majewski, Jerzy Bagiński, Waldemar Borowiec, Jerzy Pidek, Koszowski, Zbigniew Sitniczuk. Trenerem sekcji został następnie Nikodem Żukowski, a do jej późniejszych sukcesów można zaliczyć: srebrny medal Pawła Borucha na MP Politechnik.

Poza sportem wyczynowym Klub Uczelniany AZS prowadzi ożywioną działalność organizacyjną w zakresie sportu masowego, turystyki i wypoczynku we współpracy z innymi organizacjami młodzieżowymi uczelni oraz środowiskiem akademickim Lublina. Zarząd Klubu zawsze wspierał studentów-sportowców, m.in. organizował tzw. stypendia sportowe w postaci talonów obiadowych oraz współfinansował wyjazdy na obozy rekreacyjne letnie i zimowe. Oferował także szerokiej rzeszy studentów

czynny wypoczynek, organizując spartakiady międzywydziałowe oraz pomiędzy mieszkańcami domów studenckich.

Przeprowadzano ponadto seminaria, sympozja i szkolenia dla zarządu klubu, kierowników sekcji i organizatorów imprez sportowych. Opisane osiągnięcia sportowe i organizacyjne studentów Politechniki Lubelskiej były możliwe dzięki dobrze pojętej i wszechstronnej współpracy KU AZS ze SWFiS, a w szczególności z kierownictwem: Witoldem Stępnikiem, Romanem Małyszkiem i Grzegorzem Stefanowskim.



Antoni Duk

Zawodnik, trener

Urodziłem się w 1948 r. i wychowałem na rogatce warszawskiej w Lublinie, a dokładniej mówiąc na tzw. Piorunówce (starszym mieszkańcom Lublina ta nazwa obszaru, znajdującego się między ul. Żołnierską a Puławską, jest znana). W tej dzielnicy wszystkie dzieci po odrobieniu lekcji spędzały czas na ciągłych zabawach, to jest bieganiu, graniu w piłkę, jeżdżeniu na rowerze. W zimie jeździliśmy na sankach, łyżwach, a nawet nartach. Był to początek zdobywania dość dużej sprawności fizycznej, co owocowało w przyszłości odpowiednim przygotowaniem do rozpoczęcia zajęć w lubelskich klubach sportowych (wtedy wystarczyło pójść do wybranego klubu i zgłosić chęć uprawiania określonej dyscypliny sportowej – pieniądze nie były potrzebne).

Po ukończeniu Szkoły Podstawowej nr 21 i Technikum Energetycznego na ul. Długiej, z przyczyn niezależnych ode mnie nie zdawałem na studia. W 1967 r. dostałem powołanie do wojska, gdzie spędziłem dwa lata. Po zakończeniu służby wojskowej dowiedziałem się, że koledzy, od których nie byłem gorszy intelektualnie (technikum ukończyłem z wyróżnieniem tzw. wzorowego ucznia), studiowali. Postanowiłem rozpocząć studia dzienne na Wydziale Elektrycznym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie. Dzięki solidnemu przygotowaniu zdobytemu w technikum, mimo pięciu kandydatów na jedno miejsce, zostałem studentem WSIInż. Podczas pierwszego miesiąca studiów zauważyłem, że pogorszyła się moja umiejętność przyswajania wiedzy. Postanowiłem znaleźć tego przyczynę, analizując możliwe czynniki. Biorąc pod uwagę fakt, iż tuż przed rozpoczęciem studiów zrezygnowałem z uprawiania sportu wyczynowego, jakim było kolarstwo (Start Lublin), doszedłem do wniosku, że to brak ruchu mógł mieć negatywny wpływ na moje możliwości przyswajania wiedzy. W związku z tym udałem się do Kierownika Studium Wychowania

Fizycznego, pana Witolda Stępniaaka z pytaniem, czy w AZS-ie istnieje możliwość uprawiania przeze mnie którejś z dyscyplin sportowych. Poinformowałem go, że jestem dość dobrze przygotowany wytrzymałościowo. Pan Stępniaak zapytał, czy potrafię jeździć na nartach. Odpowiedziałem, że wychowałem się prawie na Górkach Czechowskich, a tam niemal wszyscy jeździliśmy i biegaliśmy na nartach. „To dobrze”, usłyszałem. „W takim razie pojedziesz w grudniu na obóz narciarski do Szczyrku” (był to 1970 r.). Szybko okazało się, że całkiem dobrze radzę sobie z bieganiem na nartach w stylu klasycznym. I tak się to wszystko zaczęło. Z racji mojego zainteresowania strzelectwem sportowym, uczestniczyłem również we wszystkich zawodach strzeleckich w ramach reprezentacji WSiInż.

Rozpoczęcie uprawiania sportu w ramach AZS WSiInż. przyczyniło się do ustąpienia trudności z przyswajaniem wiedzy. Chęć wyjazdu na obozy sportowe do Szczyrku stanowiła dodatkową motywację do zdawania egzaminów w pierwszym terminie. Dzięki nowej motywacji w ciągu czterech lat uczestniczyłem w ośmiu obozach w Szczyrku. Wspominam ten czas jako naprawdę mile spędzony.

Już po pierwszym obozie w Szczyrku, który odbył się w grudniu 1970 r., zaczęła się kształtować grupa zawodników zdecydowanych na uprawianie narciarstwa biegowego stylem klasycznym.



Spotkanie sekcji narciarstwa biegowego stylem klasycznym AZS PL z Witoldem Stępniaakiem, Szczyrk, 1970 r. Ze zbiorów Antoniego Duka



Antoni Duk podczas treningu przed zawodami, Szczyrk, 1970 r. Ze zbiorów Antoniego Duka

Smarowanie w narciarstwie biegowym to klucz do sukcesów. Dzięki znajomościom udało nam się pozyskać smary najlepszych, jak na tamte czasy, marek pochodzących ze Skandynawii.

Aby osiągać dobre wyniki w zawodach, po podstawowym treningu przebiegałem dodatkowe kilkanaście kilometrów, co zwiększało moje szanse wygrywania nie tylko zawodów narciarskich, ale również tych na bieżni (bieg na 1500 m).

Ciekawostką jest to, że dostępne w Polsce kije bambusowe nie wytrzymały w moich rękach dużych obciążeń na treningach w tak górzystym terenie. Zdecydowałem się więc na zakup fińskich kijów, które mam do dziś.

Powyższe zdjęcia przedstawiają mój udział w biegu na 1500 m. Z tego, co pamiętam, zająłem czwarte czy piąte miejsce, uzyskując – jak dla biegacza narciarskiego – bardzo dobry wynik: lekko poniżej 4 minut (3:56). Nigdy więcej nie udało mi się powtórzyć tego osiągnięcia. Po sezonie narciarskim, biegając – jak to nazywam – „z łapanek”, osiągałem wyniki powyżej 4 minut.

Do tej skromnej kolekcji pucharów, które ocalały po kolejnych przeprowadzkach, należy dołożyć jeszcze kilkadziesiąt dyplomów oraz medali otrzymanych podczas różnych zawodów, przeważnie strzeleckich. Przy tym sporcie bowiem pozostałem, nie zaniedbując rekreacyjnego biegania na nartach czy też jazdy na rowerze.

Obecnie pełnię funkcję prezesa zarządu Klubu WSUK ORLIK, gdzie szkolimy młodzież, niejednokrotnie doprowadzając młodych ludzi do Finału Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży – najważniejszego startu w roku dla młodszych juniorów.

Chęć uporządkowania działalności Lubelskiego Związku Strzelectwa Sportowego skłoniła mnie do podjęcia wyzwania, jakim było objęcie funkcji prezesa zarządu tego związku. Pełnię tę rolę już drugą kadencję (prawdopodobnie ostatnią, ponieważ zdrowie nie dopisuje mi jak dawniej i w wieku 76 lat przyszedł czas, aby trochę zwolnić). Wydaje mi się, że spełniłem obietnice, które składałem na zebraniach sprawozdawczy-wyborczych Lubelskiego Związku Strzelectwa Sportowego.



Reprezentacja AZS WSInż. podczas zawodów lekkoatletycznych. Antoni Duk z numerem 483, Zielona Góra, 1973 r. Ze zbiorów Antoniego Duka



Bieg na 1500 m podczas Lekkoatletycznych Mistrzostw Wyższych Uczelni, Zielona Góra, 1973 r.
Ze zbiorów Antoniego Duka



Reprezentacja sekcji strzeleckiej AZS WSInż. podczas MP Szkół Wyższych, 1. poł lat 70.
Ze zbiorów Antoniego Duka



Danuta Welcz

Trenerka

Bez przesadnej skromności muszę przyznać, że od najmłodszych lat byłam uzdolniona sportowo. Dość powiedzieć, że w latach 1953–1957 posiadałam mistrzowską klasę w gimnastyce. Te zdolności postanowiłam wykorzystać, kształcąc się w dziedzinie rehabilitacji ruchowej. Umiejętności te były mi niezwykle przydatne w pracy w Centrum Rehabilitacji w Konstancinie i w szpitalu klinicznym w Lublinie. W 1969 r. podjęłam pracę w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie, która później przekształciła się w Politechnikę Lubelską. Swoją pracę tam zakończyłam w 2001 r.



Danuta Welcz, Witold Stępiak i rektor Stanisław Podkowa podczas oglądania wystawy dot. historii AZS na WSIŹ., 1970 r. Ze zbiorów Muzeum PL

Moje umiejętności i wiedza zdobyta, gdy sama byłam zawodniczką, predysponowały mnie do pracy trenerskiej. Stworzyłam na uczelni żeński zespół gimnastyki artystycznej. Mimo że była to uczelnia z wybitnie męskimi kierunkami studiów, to muszę przyznać, że zawsze udało mi się znaleźć zdolne i chętne do pracy studentki. Wspólne starania dość szybko przynosiły tak dobre efekty, że zespoły, które pozostawały pod moją opieką (a przez lata było ich kilka), uświetniały swoimi występami wszystkie oficjalne uroczystości uczelni.

Praca z tymi zespołami nie pochłaniała całego mojego czasu, dlatego też z chęcią wykorzystywałam posiadane uprawnienia z nauczania pływania. Nie ukrywam, że na przestrzeni lat umiejętność pływania dziewcząt i chłopców znacznie się poprawiła. Lublin dysponował ograniczoną liczbą basenów, dlatego godziny na pływalni musiały zostać rozdzielone między uczelnie. Sporą część mojej pracy na pływalni poświęcałam rehabilitacji studentek. Zajęcia te starałam się uatrakcyjnić poprzez aerobik.

Całkowicie odrębną pracę wykonywałam jako instruktor narciarstwa. Na uczelni organizowane były corocznie obozy narciarskie, które cieszyły się wielkim powodzeniem wśród studentów. Wynikało to też z tego, że indywidualny wyjazd na narty był w tamtych czasach dla wielu nieosiągalny. Uczelnia poza przejazdem, zakwaterowaniem, wyżywieniem w góralskich domostwach i opłatą za wyciągi wyposażała uczestników w sprzęt narciarski. Naszą bazą co roku był Szczyrk i jego stoki. Wielu studentów przygodę z narciarstwem zaczynało właśnie pod moją opieką. Z informacji, które do mnie docierają, wynika, że wielu z nich złapało wtedy bakcyli i podobno była to moja zasługa.

Szkolenie studentów sprawiało mi wielką frajdę. Nie wymieniam nazwisk osób, z którymi miałam przyjemność pracować i które miałam okazję uczyć, bo moja pamięć nie jest już taka jak kiedyś, a nie chciałabym kogokolwiek pominąć. Ale choć pamięć już nie ta, to radość z przeżytego życia pozostaje ogromna.



Romuald Bołtuć



Zawodnik

Mój kontakt ze sportem zaczął się już w Szkole Podstawowej nr 6 przy ulicy Czwartaków, do której uczęszczałem. Mój w miarę wysoki wzrost i szczupła sylwetka sprzyjały uprawianiu sportu. Jak większość chłopaków próbowałem grać z kolegami ze szkoły i podwórka w piłkę nożną, siatkówkę oraz koszykówkę. W „sito” i w „kosza” graliśmy po lekcjach na podwórku. Naszym „boiskiem” była zdeptana przez nas trawa i klepisko. Graliśmy na jedną bramkę, którą robiło się z kijków, stosując zasadę „trzy kornery – karny”. Najbardziej lubiłem siatkówkę. Uwielbialiśmy popisywać się przed mieszkańcami (głównie dziewczynami) mocnymi uderzeniami znad głowy oraz efektownymi padami po piłkę na ziemię.

Bloki, w których mieszkaliśmy, sąsiadowały z wojskowym, pełnowymiarowym boiskiem do piłki nożnej. Należało ono do obiektów nieistniejącego dziś 7. Kołobrzieskiego Pułku Zmechanizowanego, mieszczącego się w Lublinie na sporym terenie u zbiegu Alei Kraśnickiej i Alei Racławickich. Na boisko wchodziliśmy przez dziurę w płocie, żartując, że to komendant Dziura udzielił nam pozwolenia. Musieliśmy być czujni, bo oficer dyżurny często wysyłał wartowników, którzy przeganiali nas z terenu jednostki. Kilka razy udało im się złapać i „zaaresztować” któregoś z moich kolegów. Rodzice musieli odbierać aresztantów „z niewoli” i wysłuchiwać umoralniających przemów.

Przez ostatnie dwa lata szkoły podstawowej moim nauczycielem wychowania fizycznego był Roman Małyszek. Już wtedy trenował on międzyuczelnianą sekcję piłki ręcznej AZS Lublin. Należał do niej mój starszy brat Zbigniew Bołtuć, który był wówczas studentem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie. Nie zdziwiłem się więc, że trener Małyszek, pomimo mojego braku doświadczenia w tej dyscyplinie, zaczął mnie wystawiać w składzie reprezentacji klas siódmych, a potem ósmych naszej

podstawówki. W ramach koła sportowego zacząłem wtedy uczęszczać na treningi piłki ręcznej. W ósmej klasie trener Małyszek powołał mnie do reprezentacji szkoły. Chyba nie odnieśliśmy większych sukcesów, gdyż nic mi nie utknęło w pamięci. Reprezentowałem szkołę również w siatkówce.

Moje zainteresowanie piłką ręczną znacznie wzrosło w szkole średniej. Zdałem do I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Lublinie (wtedy zdawało się egzaminy do liceum). W „Stasiu” nie było sekcji piłki ręcznej, ale trener Małyszek namówił mnie do kontynuowania treningów w AZS. Jako licealiści i juniorzy, wraz z kilkoma innymi kolegami, stanowiliśmy juniorskie zaplecze dorosłych zawodników AZS Lublin. Trenowaliśmy ze starszymi kolegami – studentami, krzepnąc fizycznie i rozwijając swoje cechy motoryczne i umiejętności techniczno-taktyczne. Mecze rozgrywaliśmy na kortowym boisku położonym w miasteczku uniwersyteckim. Trener Małyszek, chcąc utwardzić ceglano-kortową nawierzchnię, załatwił pewnego razu hektolitry byczej krwi (nie mylić z winem) i kazał nam ją rozlać. Gdy przygrzało słońce, smród był okropny. Zadowolone były tylko muchy.

Braliśmy udział w wielu turniejach juniorskich. Pamiętam wspólne wyjazdy ze starszymi kolegami na zgrupowania kondycyjne. Szczególnie utkwił mi w pamięci wyjazd do Olsztyna, nad jezioro Kortowskie. Trener Małyszek znalazł w terenie leśnym prawie pionowe, piaszczyste wzgórze, na które musieliśmy wbiegać na czas. Nazwaliśmy to wzgórze Merane, na wzór słynnej niemieckiej „ściany płaczu”. Nam, juniorom, takie „dwa kroki do góry i jeden w dół” po piachu wychodziły lepiej niż starszym, trochę cięższym kolegom. Nie byli z tego zadowoleni, więc później się na nas odgrywali. Na zgrupowaniu obowiązywał regulamin, jak to zazwyczaj bywa na obozach sportowych. Od godziny 22 panowała cisza nocna i trzeba było już leżeć w łózkach. Naszej grupie juniorskiej raz zachciało się pobalować i wróciliśmy do hotelu koło północy. Wokół panowała cisza i było ciemno. Myśleliśmy, że nikt nie zauważył naszego spóźnienia, jednak kiedy weszliśmy do ciemnego pokoju z butami w rękach, nagle rozbłysło światło i zostaliśmy „przywitani” zwiniętymi w powróż mokrymi ręcznikami. Nie było klawo. Wyglądało to groźnie, nie obyło się też bez bólu, ale raczej postrzegaliśmy ich zachowanie jako żart i metodę wychowawczą. Trochę było nam wstyd. Starsi koledzy byli bardziej zdyscyplinowani (lub bardziej przemęczeni forsownymi treningami).

Treningi i gra sprawiały mi dużo frajdy, ale i zajmowały wiele czasu. Ćwiczyliśmy dwa lub trzy razy w tygodniu, dwa razy w roku mieliśmy też zgrupowania (obozy), a w soboty lub niedziele – mecze. Na szczęście potrafiłem tak zorganizować sobie czas, by nie mieć problemów z nauką i uzyskiwać bardzo dobre wyniki.

Wielu starszych kolegów było moimi wzorami jako piłkarze ręczni. Gdy zacząłem już grywać jako zawodnik pierwszej drużyny AZS-u, mój brat Zbyszek skończył studia, a co za tym idzie – zakończył swoją karierę sportową. Rozegraliśmy razem tylko kilka meczów. Najbardziej imponował mi technicznymi zagraniami, z których najbardziej spektakularne były niesygnalizowane, zaskakujące rzuty „z biodra”, dzisiaj nazywane rzutami z podłoża, oraz zagrania tyłem, też z biodra, do zawodnika na kole lub do innego wchodzącego równolegle w strefę obrony przeciwnika. Nigdy nie nauczyłem się robić tego tak dobrze jak on.

W liceum byłem zwolniony z obowiązku chodzenia na lekcje wychowania fizycznego. Nauczyciel uznał, że treningi i gra w AZS Lublin są wystarczające, by zaliczyć mi przedmiot. Chodziłem na te zajęcia tylko czasami, aby pograć w cokolwiek z kolegami z klasy – głównie w siatkówkę, koszykówkę i piłkę nożną. Zimą graliśmy też w hokeja na lodzie. Robiliśmy to na boisku szkolnym, które zamienialiśmy w lodowisko. Bandy robiliśmy z pryzm śniegu. Byłem dumny, gdyż jako jedyny posiadałem kij hokejowy renomowanej polskiej marki Smoleń.

Byłem chyba w czwartej klasie liceum, kiedy nauczyciel wychowania fizycznego powiedział mi: „Romek, ty grasz w piłkę ręczną, więc masz dobrze wytrenowaną rękę, dużą siłę rzutu. Będiesz reprezentował naszą szkołę w zawodach lekkoatletycznych”. Miałem rzucać oszczepem. Podczas zawodów pierwszy raz w życiu trzymałem oszczep w ręku. Nie przeszedłem żadnego przeszkolenia, usłyszałem tylko: „Rzucaj mocno, ile masz sił”. No i rzuciłem. Dobrze, że nie straciłem przytomności po tym, jak przy rzucie tylna część oszczepu uderzyła mnie w potylicę. Poza guzem na szczęście nic innego mi się nie stało. Wtedy dowiedziałem się, że to jednak technika, a nie siła, jest najważniejsza w tej konkurencji.

W 1972 r. zdałem egzamin wstępny i zostałem przyjęty do Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie. Dostałem się na Wydział Mechaniczny na specjalność budowa i eksploatacja pojazdów samochodowych. W moim życiu sportowym trochę się wtedy zmieniło. Dalej grałem w szczypiorniaka w AZS Lublin, który rywalizował na różnych szczeblach (raczej tych niższych) polskich lig piłki ręcznej. Ponadto indeks studenta umożliwił mi reprezentowanie mojej Alma Mater w turniejach akademickich. Doszło mi zatem trochę pracy. Z dumą i radością mogłem grać dodatkowo poza ligą w wielu turniejach międzyuczelnianych w Lublinie oraz w Akademickich Mistrzostwach Polski, które odbywały się co roku w różnych miastach na terenie całego kraju.

AZS Lublin, jako klub sportowy, miał za moich czasów całkowicie amatorski charakter. Nie miał sponsorów, nie otrzymywaliśmy żadnych apary, graliśmy dla przyjemności. Pamiętam, że o ile stroje na mecz oraz wyjściowe dresy dostawaliśmy od klubu, o tyle koszty obuwia sportowego, toreb, ubrań treningowych, skarpetek itp. musieliśmy ponosić sami. Zdarzało się, że zrzucaliśmy się na busa, by dojechać na mecz, lub opłacaliśmy sami bilety na pociąg. Wspólne wyjazdy na mecze ligowe i turnieje miały z pewnością dużą wartość towarzyską. Pozwalały nam lepiej integrować się i zaprzyjaźniać, co później przekładało się na nasze zgranie na boisku. To bardzo ważne w grach zespołowych. Poza tym, to, że mieliśmy różnorodne charaktery pozytywnie oddziaływało na drużyny. Dłużące się podróże na mecze wypełnialiśmy na różne sposoby. Kilku z nas, wraz z trenerem Małyszkiem, grało namiętnie w karty. Zdarzały się partie brydża, pokera, ale zdecydowanie królowała gra w kierki, podczas której pomijaliśmy poszczególne rozdania i ograniczaliśmy się tylko do „rozbójników”. Niekiedy graliśmy na punkty, ale najczęściej na pieniądze – raczej na małe stawki, adekwatne do studenckich kieszeni. W zależności od liczby chętnych, grały dwa lub trzy „stoliki”. W ten sposób podróże upływały nam szybciej i bez nudy.



Igrzyska Akademickie w Lublinie na terenie miasteczka akademickiego. Z numerem 10 Andrzej Urbanowicz, na bramkę rzuca Romuald Bołtuć, 1. poł. lat 70. Ze zbiorów Romualda Bołtucia



Turniej Piłki Ręcznej o Puchar Rektora – Włodzimierza Sitko, w hali WOSTiW, 1. poł. lat 70.
Ze zbiorów Romualda Bołtucia

W czasach, kiedy grałem w piłkę ręczną w AZS Lublin, stałym miejscem naszych treningów i rozgrywania meczów ligowych było boisko akademickie przy ul. Langiewicza, położone w sąsiedztwie kortów tenisowych. Nawierzchnią była specjalnego rodzaju czerwona mączka. Zdarzało się, że zawodnicy sami malowali sproszkowaną kredą linie. Nie było trybun ani ławek dla kibiców, a szkoda, bo dobry doping zawsze jest pożądany. Gdy rozgrywaliśmy mecze ligowe lub turniejowe, kibice – studenci z pobliskich akademików – stali po prostu w kilku rzędach po bokach boiska. Większość z nich niewiele widziała. Wśród tych kibiców wyróżniała się jedna dziewczyna, która do dziś towarzyszy mi jako żona i kibicuje mi dalej we wspólnej grze, jaką jest życie. W latach siedemdziesiątych XX wieku istniała tylko jedna hala widowiskowo-sportowa, której rozmiary ledwo odpowiadały przepisom gry w szczypiorniaka.

Była to hala Wojewódzkiego Ośrodka Sportu, Turystyki i Rekreacji (WOSTiW), obecnie nazywana chyba MOSiR-em, przy Al. Zygmuntowskich. Tam odbywały się treningi oraz mecze, gdy pogoda i pora roku nie sprzyjały grze na świeżym powietrzu. Wybudowana później hala Akademickiego Ośrodka Sportowego (AOS) była dla piłkarzy ręcznych niewymiarowa, za mała. Chyba mało kto pamięta i wie, że była jeszcze jedna duża hala sportowa w Lublinie, na którą nie mieli wstępu kibice, ale czasem trenowały w niej niektóre kluby piłki ręcznej z miasta. Była to hala sportowa przeznaczona dla żołnierzy, znajdująca się na terenie wspomnianego wcześniej 7. Kołobrzeskiego Pułku Zmechanizowanego. Nam również zdarzało się na niej odbywać treningi. Pamiętam, że okazjonalnie graliśmy tam także w tenisa ziemnego. Z ciekawostek przypomnę, że do gry w piłkę ręczną w Lublinie służyło też boisko na świeżym powietrzu na terenie klubu WKS Lublinianka na Wieniawie. Kilka lat wcześniej funkcjonowało tam lodowisko, które służyło hokeistom WKS Lublinianka do treningów i gier ligowych.

Niełatwo było pogodzić naukę z uprawianiem sportu na poziomie zawodniczym. Studia na Wydziale Mechanicznym WSInż. w Lublinie były bardzo wymagające: trudne przedmioty politechniczne, w tym rysunki



Szczypiorniści odpoczywający po meczu, 1. poł lat 70. Ze zbiorów Romualda Bołtucia

techniczne, projekty i prace przejściowe pochłaniały dużo czasu. W skomplikowanych obliczeniach i kreśleniu dużych projektów, nierzadko o formatach A1, A0, za pomocą prostego kalkulatora oraz ręcznych przyrządów kreślarskich, nie mógł wtedy pomóc internet, programy komputerowe czy plotery rysujące. Byłem raczej studentem ambitnym i nie chciałem mieć zaległości w nauce. Wszystkie prace robiłem z reguły na czas. To samo z egzaminami podczas sesji. Na naukę i projekty przeznaczałem bardzo często nocki. Nie było innego wyjścia. Z zazdrością patrzyłem na moich licealnych kolegów, studiujących na innych uczelniach na kierunkach humanistycznych, „łykających” wiedzę akademicką w knajpach. Na piwo i knajpy miałem mało czasu. Rekompensowałem to sobie satysfakcją, którą przynosiło mi łączenie bycia zawodnikiem AZS Lublin z niezłymi wynikami w nauce, uprawniającymi do otrzymywania przez większość czasu stypendium naukowego.

Wraz z zakończeniem studiów zakończyła się też moja kariera zawodnika AZS Lublin. Do ostatnich dni ważności legitymacji studenckiej grałem jeszcze w AMP. Miałem już w kieszeni bilet na podróż do Szkoły Oficerów Rezerwy, z wyznaczonym terminem stawienia się, gdy moja uczelnia wynegocjowała z komendantem SOR-u parę dni opóźnienia ze względu na mój udział w AMP. Tak też się stało. Nie pamiętam już wyników tych mistrzostw i tego, gdzie się odbywały. Za to dobrze pamiętam początek nowego etapu w moim życiu, w którym ojczyzna postanowiła podnieść moje wykształcenie wyższe poprzez roczne szkolenie w SOR-ze przy Wyższej Oficerskiej Szkole Samochodowej w Pile.

Dzisiaj, gdy sięgam pamięcią wstecz, myślę, że okres studiów, połączony z uprawianiem zawodniczo piłki ręcznej w AZS w Lublinie, był chyba najradośniejszym czasem w moim życiu.



Leszek Bobrzyk

Zawodnik

Moja przygoda ze sportem rozpoczęła się już po studiach – w Klubie Uczelnianym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie, a potem Politechniki Lubelskiej. W 1971 roku, po ukończeniu Politechniki Warszawskiej, trafiłem do pracy w WSInż. w Lublinie. Od razu zapisałem się do uczelnianego AZS-u i zacząłem treningi, ale na UMCS-ie, gdyż WSInż. nie miała wówczas własnych obiektów sportowych, z wyjątkiem bardzo małej salki gimnastycznej w tzw. Oxfordzie.

W Lublinie kontynuowałem aktywność sportową z czasów studiów w Warszawie. Jako amator – bez trenera – odnosiłem sukcesy w lekkoatletyce, sportach obronnych, a największe – niespodziewanie – w kulturystyce. Nie mając do niej odpowiednich warunków fizycznych, wygrywałem dzięki nadzwyczajnej wytrzymałości, a wszelkie straty w konkurencjach siłowych nadrabiałem rwaniem odważnika.

Przez cały okres pracy na uczelni w Lublinie, czyli 19 lat, pozostawałem wierny lekkoatletyce. Najważniejszą imprezą były wówczas Mistrzostwa Typów Uczelni, rozgrywane co dwa lata. Początkowo startowaliśmy w Mistrzostwach Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik, a po 1977 r. w MP Politechnik. Brałem udział w dziesięciu kolejnych edycjach tych mistrzostw, gdyż regulamin dopuszczał start pracowników uczelni. Ponieważ byłem zawodnikiem wszechstronnym, uczelnię reprezentowałem w takich konkurencjach jak: rzut dyskiem i oszczepem, pchnięcie kulą, skok w dal i wzwyż oraz biegi sztafetowe. Największe sukcesy odnosiłem w swojej ulubionej konkurencji – w rzucie dyskiem. Wszystkie medale, jakie zdobyłem w MPTU, wywalczyłem właśnie w tej dyscyplinie, w tym dwukrotnie tytuł mistrzowski. W tamtych latach odczuwałem pewien niedosyt związany z niewielką liczbą imprez lekkoatletycznych, w których mogłem brać udział jako



Wyjazd na MP Szkół Wyższych w Lekkoatletyce. Od lewej: Jolanta Lewandowska, Maria Goetz, Leszek Bobrzyk, Hanna Bamburska, Koszalin, 1977 r. Ze zbiorów Leszka Bobrzyka

pracownik uczelni. W latach 1972–1990 uczestniczyłem więc we wszystkich akademickich mistrzostwach Lublina oraz mistrzostwach województwa lubelskiego seniorów. W latach siedemdziesiątych poziom sportowy tych zawodów był bardzo wysoki. Stawałem na podium w rzucie dyskiem, pchnięciu kulą i dziesięcioboju.



Leszek Bobrzyk w swojej koronnej konkurencji – rzucie dyskiem, podczas AMP, stadion Startu w Lublinie, 1978 r. Ze zbiorów Archiwum PL

W latach osiemdziesiątych nasza uczelnia dwukrotnie rywalizowała z uczelnią z Weimaru, m.in. w lekkoatletyce. Była to dla wielu zawodników okazja do wyjazdu do dawnego NRD. Rywalizacja zakończyła się remisem, ale najważniejsza była możliwość integracji reprezentantów obu uczelni.

Po zakończeniu pracy na uczelni przez niemal cztery lata pracowałem w ratuszu. Nie zerwałem wówczas całkowicie kontaktu ze sportem. Od czasu do czasu udawało mi się wyrwać wieczorem na trening, a nawet wziąć udział w zawodach, choć było to bardzo trudne ze względu na napięty grafik. Do pracy na uczelni już nie wróciłem. Rozpocząłem karierę w bankowości, którą kontynuowałem aż do emerytury.

Sport akademicki charakteryzuje się tym, że około 90% zawodników kończy karierę wraz z ukończeniem studiów. W moim przypadku było całkowicie inaczej – w barwach AZS-u (Warszawa, Lublin) startowałem przez ponad 50 lat, aż do 2018 r. W 1997 r. zacząłem brać udział w zawodach weteranów w lekkoatletyce i startuję w nich do dziś. Od 2001 r. startowałem we wszystkich letnich mistrzostwach świata, Europy i Polski. Są to zawody organizowane na bardzo wysokim poziomie, wymagane są stroje narodowe, a liczba uczestników sięga nawet 8 000 lekkoatletów. Dekoracje medalowe wyglądają jak te przeprowadzane na olimpiadach. Do tej pory udało mi się zdobyć 22 medale na mistrzostwach świata i Europy.

Rywalizacja sportowa dała mi możliwość zwiedzania całego świata. Liczba pięknych, egzotycznych miejsc, które odwiedziłem, przekroczyła moje marzenia – byłem w Brazylii, USA, Portoryko, dwukrotnie w Australii. Odwiedziłem też niemal całą Europę. Przy okazji nawiązałem wiele serdecznych znajomości z zawodnikami ze wszystkich kontynentów oraz z naszymi rodakami zamieszkującymi nawet bardzo odległe kraje.

Udział w zawodach wymaga ode mnie systematycznego treningu, niezależnie od pogody, oraz utrzymywania dobrej kondycji fizycznej. Moje obecne minimum to dwa-trzy treningi tygodniowo. Sport, a w szczególności lekkoatletyka, nauczył mnie cierpliwości, systematyczności, ale także pozwolił nabyć odporność na ból i choroby.

Od 2015 r. prowadzę społecznie w Lublinie lekkoatletyczny klub sportowy, a także szkole grupę młodych miłośników lekkoatletyki. Odnoszę wrażenie, że kontakt z tak zróżnicowaną pod względem umiejętności grupą sportowców pomaga mi w kontynuowaniu mojej już bardzo długiej przygody ze sportem.



Akademickie Igrzyska Sportowe w Lublinie. Leszek Bobrzyk czeka na dyplom i wejście na podium, 1. poł. lat 70. Ze zbiorów Leszka Bobrzyka



Andrzej Sydor

Zawodnik

Moja przygoda z lubelskim AZS-em zaczęła się niespodziewanie, w zamierzchłych czasach, o których nie pamiętają już najstarsi górale. Gdzieś w listopadzie 1951 r. do „Zamojszczaka” zgłosił się niejaki mistrz Gromek, szukając do lubelskiego AZS-u juniora, który potrafiłby przestawić figury na szachownicy. Padło na mnie i w wieku zaledwie niecałych piętnastu lat zostałem azetesiakiem. Grałem w przesympatycznej drużynie, w której często ważniejszy od szachów okazywał się dobry kawał sprawiony koledze, z którego mogła się potem długo śmiać cała ekipa.



Andrzej Sydor podczas międzynarodowego turnieju szachowego, 1970 r. Ze zbiorów Andrzeja Sydora





Rozgrywki szachowe w stołówce WSiInż. Po prawej Andrzej Sydor, początek lat 80. Ze zbiorów Muzeum PL

Nie pokładano we mnie może na początku dużych nadziei, ale tak się złożyło, że wygrywałem wszystkie partie, a w lipcu 1953 r. zdobyłem dla AZS-u, no i dla siebie oczywiście, tytuł Mistrza Polski Juniorów. Potem przyszedł studia na Politechnice Warszawskiej, gdzie przez wiele lat grałem w pierwszoligowej drużynie, a jakże, AZS Warszawa.

Po studiach wróciłem do rodzinnego miasta. Początkowo pracowałem w FSC, ale po kilku latach okazało się, że pogodzenie pracy w fabryce z wyczynowym graniem w szachy jest praktycznie niemożliwe. W 1966 r. zostałem asystentem na uczelni, która jeszcze wtedy funkcjonowała jako WSiInż. Przez lata awansowałem do stopnia starszego wykładowcy. Pracowałem w Zakładzie Zespołu Geometrii Wykreślnej i Rysunku Technicznego, który dla studentów pierwszego roku był zmorem i przyczyną wielu nieprzespanych nocy. Mimo wszystko starałem się moim studentom przekazać umiejętność widzenia przestrzennego, tak koniecznego każdemu inżynierowi. Myślę, że w wielu wypadkach mi się to udało.

Uczelnia oferowała stosunkowo długie wakacje, a w miesiącach letnich w Europie rozgrywało się wiele ważnych międzynarodowych turniejów, w których grałem z niejakim powodzeniem. W tym okresie zdobyłem tytuł mistrza międzynarodowego. Wielokrotnie uczestniczyłem w rozgrywkach,

w których grali prawie wyłącznie zawodowi szachiści. Ja w tym czasie pracowałem na uczelni, byłem dodatkowo rzeczoznawcą NOT i biegłym w zakresie gospodarki wodnej, piszącym – w wolnych chwilach, to znaczy zwykle w nocy – ekspertyzy i opinie techniczne. Niestety w Lublinie nie było wyczynowej sekcji szachowej AZS-u i tułałem się po innych lubelskich ligowych drużynach. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Już po zakończeniu kariery wyczynowej ściągnął mnie do lubelskiego AZS-u mój przyjaciel, działacz sportowy, trener Taczalski, z którym, co prawda, nie rozegrałem żadnej partii szachowej, ale często grałem w tenisa (tu akurat bez powodzenia). Tak więc ostatnie partie turniejowe w życiu rozegrałem jako zawodnik lubelskiego AZS-u. Prawdę mówiąc, myślę, że dalej jestem azetesiakiem, nikt mi nie powiedział, że nie jestem. Tak więc moja kariera w AZS-ie zatoczyła pełny krąg. Pozostały wspomnienia dobrych lat...



Międzynarodowy turniej szachowy w Bagneux, w którym uczestniczyło 360 zawodników, zakończony zwycięstwem Andrzeja Sydora, Francja, 1981 r. Ze zbiorów Andrzeja Sydora



Tadeusz Syta

Zawodnik

Nazywam się Tadeusz Syta, urodziłem się w 1952 r. Studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie rozpocząłem w 1971 r. Wcześniej uczęszczałem do Technikum Łączności nr 2 w Lublinie, gdzie już w pierwszej klasie zetknąłem się z piłką ręczną. Moim pierwszym trenerem był Antoni Cwalina. Potem trafiłem do Międzyszkolnego Klubu Sportowego w Lublinie, gdzie trenerem był Arkadiusz Łątka, pasjonat piłki ręcznej i nauczyciel wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej nr 9 przy ul. Lipowej. Tam też 2–3 razy w tygodniu odbywały się treningi, w ciepłe pory roku na boisku asfaltowym, a w zimie w sali gimnastycznej na terenie jednostki wojskowej w Lublinie. Trener był bardzo wymagający, podczas zajęć potrafił wyciskać z nas siódme poty, ale zaowocowało to wychowaniem nas na zawodników, którym wpojone zostały podstawowe, niezbędne do gry cechy.

Gdy wszedłem do podstawowego składu drużyny środowiskowej AZS Lublin, byłem już zatem w pełni ukształtowanym zawodnikiem. Trzon zespołu stanowili lubelscy studenci WSIInż., a trenerem był Roman Małyszek. Wspominam go jako osobę ciepłą, serdeczną, opiekuńczą i w pełni oddaną piłce ręcznej. Występowaliśmy w lidze międzywojewódzkiej, konkurując między innymi z lokalną Lublinianką, aspirującą wówczas do drugiej ligi. W derbach potrafiliśmy sprawić niemałą niespodziankę, pokonując ją. Mecze rozgrywano w miasteczku akademickim, na boisku z nawierzchnią typu „mączka” przy kortach tenisowych. W lidze międzywojewódzkiej, oprócz AZS Lublin i Lublinianki, występowały wówczas zespoły, spośród których zapamiętałem kilka: Uranię Ruda Śląska, Ruch Radzionków, Fablok Chrzanów oraz Hutnik Kraków. Nie wiodło nam się najlepiej w tej lidze, byliśmy na nią zbyt słabi, dlatego występowaliśmy na przemian w lidze międzywojewódzkiej i okręgowej, gdzie z kolei byliśmy dla rywali zbyt silni.

Podczas studiów zajęcia z wychowania fizycznego prowadził Witold Stępniaak. Ze względu na grę w AZS-ie byłem podczas nich traktowany bardzo ulgowo, ale mimo to uczestniczyłem w nich chętnie. Jeśli chodzi o inne przedmioty, nie przypominam sobie, aby prowadzący stosowali wobec mnie jakieś taryfy ulgowe, wynikające z uprawiania sportu i reprezentowania uczelni na zawodach sportowych.

Nie pamiętam dokładnie, w jakich zawodach czy turniejach braliśmy udział jako drużyna reprezentująca WSInż., ale wiem, że stanowiliśmy wówczas najmocniejszą spośród wszystkich ówczesnych drużyn z uczelni lubelskich: UMCS-u, WSR-u, KUL-u, AM-u. WSInż. nie miał jeszcze wtedy własnej hali sportowej, trenowaliśmy na boisku przy kortach tenisowych oraz w hali WOSTiW-u. Korzystaliśmy również z krytej pływalni przy WOSTiW-ie oraz pływalni AOS-u w miasteczku akademickim. Nie przypominam sobie, aby w czasie moich studiów na uczelni zatrudniona była osoba prowadząca drużynę i treningi piłki ręcznej. Pan Arkadiusz Łątka nie był jeszcze wtedy pracownikiem. W związku z tym podczas rozgrywania meczów funkcję trenera – a raczej opiekuna – pełnili Witold Stępniaak, Jarosław Grochol-ski, oraz jeszcze jedna osoba, której nazwiska niestety nie pamiętam, ale wiem, że zajmował się siatkówką.

Z czasów studiów mam zaledwie kilka fotografii powiązanych z piłką ręczną. Prawdopodobnie pochodzą one z zawodów, w których reprezentowaliśmy naszą uczelnię. Odbływały się one na kortach akademickich w Lublinie.



Reprezentacja AZS w piłce ręcznej. Od lewej: Marek Sławomirski, NN, Andrzej Urbanowicz, Marek Korniak, Tadeusz Syta, NN, Adam Radko, Waldemar Jaworzyński – kapitan i „mózg” drużyny, Andrzej Jarnicki, Roman Kuraś, Leszek Lechman, 1. poł. lat 70. Ze zbiorów Tadeusza Syty



Nasi szczypiorniści z pucharem i dyplomami. Od lewej: Roman Kuraś, Marek Sławomirski, Wincenty Korniak, Romuald Bołtuć, Andrzej Urbanowicz, Andrzej Jarnicki, Janusz Szyszko, Tadeusz Syta, Waldemar Jaworzyński, Stanisław Brennenstuhl, 1. poł. lat 70. Ze zbiorów Tadeusza Syty



Akademickie Igrzyska Sportowe w Lublinie na terenie miasteczka akademickiego. Z numerem 8 Marek Sławomirski, w środku Tadeusz Syta, z numerem 13 Romuald Bołtuć, 1. poł. lat 70. Ze zbiorów Tadeusza Syty

Bardzo miło wspominam lata studiów, kolegów z drużyny, wspólne wyprawy na mecze, najczęściej pociągami, atmosferę w czasie wyjazdów i zgrupowań, zabawne sytuacje czy obozy treningowe. Po studiach, w 1975 r., zakończyłem grę w piłkę ręczną. Poświęciłem się pracy zawodowej i życiu rodzinnemu.



Siatkarze AZS PL w hali WOSTiW w Lublinie. Od lewej: Stanisław Brennenstuhl, Roman Kuraś, Waldemar Piwiński, Tadeusz Syta, Romuald Bołtuć, Józef Sajecki, Andrzej Urbanowicz, Marek Sławomirski, Wincenty Korniak, Andrzej Iżycki, 1. poł. lat 70. Ze zbiorów Tadeusza Syty



Dariusz Dudak

Prezes

IV kadencja Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie przypadła na lata 1973–1975. Pełniłem wtedy obowiązki prezesa Klubu AZS. Wiceprezesem był Sławomir Wilkołek, a sekretarzem Małgorzata Gutowska. Działalność prowadzono w 13 sekcjach sportowych, każdy więc mógł wybrać aktywność odpowiadającą swoim zainteresowaniom i predyspozycjom. Te sekcje to: siatkówka mężczyzn i kobiet, lekkoatletyka, koszykówka mężczyzn i kobiet, piłka nożna, tenis stołowy, sporty zimowe, piłka ręczna, żeglarstwo, gimnastyka artystyczna kobiet, judo oraz sekcja pływacka.

Dużą popularnością cieszyła się piłka siatkowa mężczyzn. Sekcję prowadził trener Stanisław Kleczkowski, a od 1973 r. Stanisław Koprianiuk. Jej zawodnicy brali udział w rozgrywkach środowiskowej drużyny drużoligowej. W swojej bogatej historii sekcja wielokrotnie reprezentowała uczelnię, zajmując czołowe miejsca w Mistrzostwach Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik. W Turnieju o Puchar Rektora WSIInż. w Lublinie siatkarze w latach 1973–1975 zajmowali zawsze I miejsce. Wyróżniającymi się zawodnikami drużyny byli: Lech Ciepielewski, Stanisław Wiertel, Tomasz Maliszewski, Zbigniew Magolan.

Zawodnikami sekcji piłki ręcznej mężczyzn byli: Henryk Lechman, Henryk Bołtuć, Marek Korniak, Waldemar Jaworzyński, Bohdan Kozyra. Zespół zdobył I miejsce w Turnieju o Puchar Rektora UMCS w rozgrywkach z udziałem najlepszych drużyn uniwersyteckich. Zawodnicy tej sekcji stanowili trzon środowiskowej drużyny piłki ręcznej mężczyzn. Trenerami tej dyscypliny byli: Arkadiusz Łątka oraz Roman Małyszek.

Sekcja pływacka zajęła I miejsce w Turnieju o Puchar Głównego Zarządu AZS oraz w Mistrzostwach Wyższych Szkół Inżynierskich i Wyższych Szkół Morskich. Jej najlepszymi zawodnikami byli: Małgorzata Tyrała, Magdalena

Majewska, Maryla Danilewicz, Ewa Goleniewska, Helena Czajka, Jan Nastaj, Waldemar Borowiec i Bohdan Dobosz. Sztafeta w składzie: Sokół, Nastaj, Borowiec, Dobosz zdobyła I miejsce (złoty medal) w MP Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik. Trenerem sekcji był Witold Ruzikowski, a od 1975 r. Grzegorz Stefanowski. Należy wspomnieć, iż treningi tej sekcji rozpoczynały się bardzo wcześnie, bo już o godzinie 6 rano. Frekwencja była prawie 100%. Nasze zawodniczki i zawodnicy mogli być pod tym względem wzorem dla innych. Tak wczesna godzina treningów wynikała z tego, że z pływalni chcieli korzystać studenci z różnych lubelskich uczelni.

Kolejną sekcją cieszącą się dużym zainteresowaniem wśród studentów była siatkówka kobiet. Jej trenerami byli: Witold Stępnia, Danuta Welcz, Stanisław Koprianiuk. Siatkarki WSIInż. Lublin zajęły III miejsce w Mistrzostwach Polski Szkół Wyższych. Trzon zespołu stanowiły: Maria Cimek, Barbara Parzymieś, Krystyna Jaroszyńska, Grażyna Król, Hanna Stępnia, Joanna Kolasa.

Sekcja koszykówki mężczyzn powstała w 1965 r. Do jej najlepszych zawodników należeli: Marek Kozłowski, Krzysztof Bryda, Andrzej Artamanow. Koszykarze zajmowali czołowe miejsca w spartakiadach międzyuczelnianych. Trenerami byli: Zenon Jaźwierski, Zdzisław Niedziela, Adam Dąbrowski. Najwybitniejszym zawodnikiem zespołu był Janusz Florczak, reprezentant I Ligi Państwowej Koszykówki.

Zawodnicy sekcji sportów zimowych co roku w okresie ferii i przerw międzysemestralnych uczestniczyli w obozach sportowych w Szczyrku. Zajmowali wysokie lokaty w spartakiadach zimowych lubelskich uczelni w następujących konkurencjach: zjazd mężczyzn i slalom specjalny, bieg kobiet i mężczyzn, szybka jazda na lodzie kobiet i mężczyzn. W 1973 r. drużyna zajęła I miejsce w ogólnej punktacji. Do wyróżniających się zawodników tej sekcji należeli: Antoni Duk, Jacek Mirosław, Marek Kornia, Jerzy Knajdrowski, Grażyna Lisowska, Elżbieta Sęk, Grzegorz Fijałka, Ryszard Barański, Dariusz Dudak, Teresa Figiel. Instruktorami byli: Witold Stępnia, Danuta Welcz i Jarosław Grocholski.

Sekcja judo również cieszyła się dużą popularnością. W 1973 r. zdobyła II miejsce w MP Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik. Jej trenerami byli: Bohdan Majewski i Nikodem Żukowski. Do najlepszych zawodników należeli: Jerzy Bagiński, Waldemar Borowiec, Zbigniew Friedman i Waldemar Sitniczek.

Założycielem i trenerem sekcji lekkoatletyki był Jarosław Grocholski. Jej wyróżniający się zawodnicy to: Mieczysław Włodek, Leszek Bobrzyk,



Dariusz Dudak otrzymuje nagrodę od Władysława Zalewskiego, Lublin, 1975 r. Ze zbiorów Muzeum PL

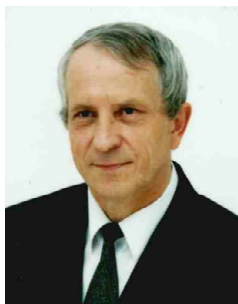
Maria Cimek. Znaczące sukcesy odnosili lekkoatleci Klubu Uczelnianego, a jednocześnie Sekcji Środowiskowej AZS. Sekcja lekkoatletyki KU AZS WSInż. zdobyła III miejsce w MP Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik.

Sekcja tenisa stołowego ma na swoim koncie tytuł Mistrza Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik. Do czołowych zawodników tej sekcji zaliczali się: Antoni Czop, Ludwik Uchymiak, Marek Morszyński, Marta Malik. Pierwszym trenerem był Antoni Czop, a następnie Włodzimierz Kosacki. W spartakiadach wyższych uczelni miasta Lublin nasza sekcja zajmowała często I miejsca. Do najlepszych zawodników należeli: Marek Kliszczyński, Artur Czubaszek, Jan Kasperek, Krzysztof Mikołajewski. Aktywnym członkiem tej sekcji byli również pracownicy uczelni: Kazimierz Zagórski, Lech Mierzwa, Wiktor Pidek, Zbigniew Ratajewicz, Wacław Jaśkiewicz.

Największy sukces sekcji strzelectwa sportowego to zdobycie wicemistrzostwa Lublina w strzelaniu z broni pneumatycznej w 1973 r. Najlepsi zawodnicy tej sekcji to: Krzysztof Filipiak, Wiesław Łachaj, Antoni Duk, Lech Bałabuszek, Ryszard Tarski, Anna Kuś, Danuta Sokolińska. Trenerem sekcji był Stefan Dworakowski, operatorem major Eugeniusz Wierchowski, a opiekę nad sekcją sprawował Ośrodek Szkolenia Obronnego.

Opiekunem zarówno drużyny kobiecej, jak i męskiej sekcji szachowej KU AZS WSInż. Lublin był Jarosław Grocholski. Przedstawiciele tej sekcji zajmowali czołowe lokaty w MP Szkół Inżynierskich i WSM. Do sekcji należeli zarówno pracownicy: Andrzej Sidor, Zbigniew Ratajewicz, jak i studenci.

Opisane osiągnięcia sportowe i organizacyjne studentów WSInż. były możliwe dzięki wszechstronnej współpracy Klubu Uczelnianego AZS ze SWFiS, a w szczególności z kierownictwem: Witoldem Stępnikiem, Grzegorzem Stefanowskim i Stanisławem Koprianiukiem.



Leopold Koczan

Zawodnik

Urodziłem się 2 stycznia 1945 r. w Rudzie Różanieckiej w powiecie lubaczowskim. Było to wówczas województwo lwowskie, którego odległa o 80 km w linii prostej stolica – Lwów – była siedzibą tamtejszej szkoły matematycznej.

Moja edukacja zawodowa rozpoczęła się od nauki stolarstwa w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Przemyślu, a po jej ukończeniu kontynuowałem naukę w Technikum Przemysłu Drzewnego w pięknym mieście – Gdańsku, gdzie zdałem maturę. To właśnie w technikum odkryłem moje pierwsze pasje: grę w szachy i brydża. Natomiast moim głównym zainteresowaniem była matematyka.

W 1965 r. podjąłem studia matematyczne w Lublinie, na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Uczęszczałem tam w latach 1965–1970. Przez cały okres studiów mieszkalem w akademiku. W tamtych czasach główną rozrywką studentów – w tym moją – była właśnie gra w szachy oraz w brydża.

Po ukończeniu studiów w 1970 r. podjąłem pracę w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie. W tamtym czasie Jarosław Grocholski – pracownik Studium Wychowania Fizycznego i opiekun Klubu Uczelnianego AZS niemalże od jego założenia, tj. od 1965 r., organizował rozgrywki szachowe (archiwalia wskazują, że został zatrudniony w 1967 r.). Odbływały się mecze pracownicy–studenci, mistrzostwa uczelni w szachach oraz rozgrywki szachowe drużyn z Lubelszczyzny. W gronie tych drużyn oczywiście znajdowała się drużyna WSIInż., z moją skromną osobą w składzie. Tradycje te były kontynuowane później, kiedy WSIInż. przekształciło się w 1977 r. w Politechnikę Lubelską.

Należy tu dodać, że nieżyjący już Jarosław Grocholski propagował grę w szachy również wśród młodzieży, prowadząc wiele szkółek szachowych w Lublinie, np. w dzielnicowych domach kultury. Do jednej takiej szkółki przy ul. Skierki uczęszczały później moje dzieci: Aneta i Grzegorz.

Wracając pamięcią do najsilniejszych szachistów w historii Politechniki Lubelskiej, trzeba wymienić Andrzeja Sydora, wykładającego rysunek techniczny i geometrię wykreślną co najmniej od końca lat sześćdziesiątych. Andrzej Sydor jest międzynarodowym mistrzem od 1970 r., a najwyższe miejsce w rankingu, czyli 2425 punktów, uzyskał w 1976 r. Zawodnik ten dwukrotnie zdobył brązowy medal Indywidualnych Mistrzostw Polski Seniorów w Lublinie w 1965 i 1969 r. Ponadto zdobywał medale wszystkich kolorów w drużynowych MP oraz grał w Olimpiadzie Szachowej w Skopje w 1972 r. Niestety Andrzej Sydor jako profesjonalny szachista nie uczestniczył, odkąd pamiętam, w zajęciach sekcji szachowej, ani nie grał w turniejach, reprezentując Politechnikę Lubelską – choć co najmniej raz brał udział w meczu pracownicy–studenci. Wiem jednak, że uczęszczał on na zajęcia sekcji szachowej AZS UMCS, a przynajmniej na pewno w latach 1997–1998, kiedy chodził na nią mój syn. Szachową sekcję UMCS-u prowadził Janusz Taczański.



Seniorzy sekcji szachowej PL, od lewej: Zbigniew Ratajewicz, Jarosław Grocholski (opiekun sekcji), Jacek Majewski oraz Leopold Koczan, 1988 r. Ze zbiorów Leopolda Koczana



Rozgrywki szachowe w stołówce WSIlnż., studenci kontra pracownicy, w ramach turnieju im. Jerzego Grycza. Trzeci z prawej: Leopold Koczan, pocz. lat 70. Ze zbiorów Muzeum PL

Wracając do silnych szachistów Politechniki Lubelskiej, to utkwiło mi w pamięci niespodziewane zwycięstwo jednego studenta, właśnie ze wspomnianym wyżej mistrzem międzynarodowym Sydorem. Zdarzenie, jeśli się nie mylę, miało miejsce podczas meczu pracownicy–studenci. Wtedy nie byłem jeszcze związany z sekcją szachową, ale być może to właśnie wspomniany mecz mnie do niej przyciągnął. Nie pamiętam jego wyniku, ale zwycięską partię zagarnął Henryk Dobosz, który studiował inżynierię sanitarną

na Wydziale Budownictwa i Architektury. Kto wie, może ta wygrana zainicjowała jego późniejszą karierę szachową. Henryk Dobosz został mistrzem międzynarodowym w 1978 r., a najwyższe miejsce w rankingu – 2465 punktów, osiągnął w 2003 r. Zdobywał on medale wszystkich kolorów w drużynowych MP, a w wielu międzynarodowych turniejach zajmował miejsca na podium. Co ciekawe, Henryk Dobosz zdobył także drużynowy złoty medal w Akademickich Mistrzostwach Polski w roku akademickim 1975/1976, reprezentując UMCS. Nie wiem, jakie były okoliczności reprezentowania UMCS-u w roku ukończenia przez zawodnika studiów na WSInż.

Jeśli chodzi o innych silnych graczy tamtego czasu, to archiwalia wskazują na studenta Jerzego Semczuka oraz na studentkę Barbarę Pleszczyńską. W latach osiemdziesiątych, pod opieką Grocholskiego, godnie reprezentowali oni naszą uczelnię w szachach. Jerzy Semczuk najwyższy wynik rankingowy, 2250 punktów, uzyskał w 1984 r., a Barbara Pleszczyńska rok później wygrała mistrzostwa województwa. Nietrudno domyślić się, że zakończenie studiów tej dwójki przyczyniło się do spadku osiąganych przez sekcję szachową wyników. Nie oznacza to, że wśród pracowników Politechniki Lubelskiej brakowało lub brakuje mocnych szachistów. Mianowicie została w niej zatrudniona sama Barbara Pleszczyńska. Innym przykładem może być Mirosław Wendeker, posiadający co najmniej pierwszą kategorię szachową. Niestety Wendeker nigdy nie uczęszczał na zajęcia sekcji szachowej, ale za to reprezentował pracowników we wspominanych już meczach pracownicy-studenci, organizowanych przez Grocholskiego.

Po śmierci Grocholskiego w 2002 r. otrzymałem propozycję od Witolda Zimnego (będącego niegdyś notabene moim studentem), reprezentującego SWF PL, aby objąć funkcję prowadzącego sekcji szachowej. Propozycję tę przyjąłem. W tym czasie Politechnika odnosiła liczne sukcesy w Mistrzostwach Wyższych Uczelni Lublina i Akademickich Mistrzostwach Województwa Lubelskiego w szachach, zdobywając wiele czołowych miejsc. Politechnika Lubelska uczestniczyła także wielokrotnie w AMP w szachach, uzyskując wyniki w środku tabeli. Naszą największą konkurencją w Lublinie była silna drużyna UMCS-u, która w zawodach lokalnych często spychała nas na drugie miejsce. Zdarzały się jednak pewne odstępstwa od tego scenariusza.

Chronologicznie pierwszym przykładem niech będzie I miejsce w klasyfikacji drużynowej na AMWL w szachach 8 grudnia 2009 r. I miejsce zajęliśmy również w klasyfikacji drużynowej turnieju indywidualnego AMWL 15 grudnia 2012 r. Niestety w kolejnej edycji turnieju w kwietniu 2013 r. nie udało się utrzymać tego miejsca. Trzeci przykład to sukces

z 11 marca 2017 r., kiedy zdobyliśmy I miejsce także w klasyfikacji drużynowej indywidualnego turnieju w szachach błyskawicznych na AMWL.

W okresie, kiedy prowadziłem sekcję szachową, najsilniej grającymi szachistami, jakich zapamiętałem, byli studenci Michał Mirosław oraz Ignat Bogdanov. Michał Mirosław został mistrzem FIDE w 2008 r., 2340 punktów w rankingu osiągnął w 2012 r. Jego najlepsze wyniki, to dzielone I miejsce w turnieju Krynica Open w 2009 r. oraz złoty medal w Mistrzostwach Polski Informatyków w szachach błyskawicznych (Wrocław 2010 r.). Jeśli chodzi o Ignata Bogdanova, to nie należy go mylić z jego jeszcze lepiej grającym bratem Egorem Bogdanovem. Natomiast Ignat Bogdanov osiągnął najwyższy wynik w rankingu blitzowym, 2197 punktów, bodajże w 2022 r. Tutaj trzeba zaznaczyć, że w sekcji najczęściej grane były szachy szybkie albo właśnie szachy błyskawiczne (blitzowe) i nie zajmowaliśmy się teorią szachów.

Poza rozgrywkami szachowymi, równie aktywnie uczestniczyłem w rozgrywkach prężnie działającej sekcji brydżowej Politechniki Lubelskiej prowadzonej przez Piotra Waniurskiego – arcymistrza krajowego w brydżu sportowym. Brydżyści Politechniki Lubelskiej także zdobywali wiele czołowych miejsc, często pierwszych, m.in. w Mistrzostwach Wyższych Uczelni Lublina oraz w Akademickich Mistrzostwach Województwa Lubelskiego w brydżu sportowym. Warto wspomnieć, że sekcja brydżowa Politechniki



AMWL w szachach. W głębi, w prawym rogu, Leopold Koczan, 2009 r. Źródło: <https://azspl.prv.pl/index.php?go=20.html>

Lubelskiej wygrywa w AMWL regularnie od 2018 r. Największym jej sukcesem jest jednak brązowy medal w kategorii uczelni technicznych w drużynowych AMP w brydżu sportowym w 2018 r. Szóste miejsce w generalnej klasyfikacji drużynowej AMP w 2018 r. również jest sporym sukcesem.

Dzięki uprzejmości Waniurskiego powyższą notkę o sekcji brydżowej mogłem jeszcze uzupełnić o przesłane przez niego informacje – notabene zdjęcia oraz niektóre inne szczegóły także otrzymałem od niego (również o sekcji szachowej). Wobec tego załączam poniżej te informacje.

To teraz trochę o brydżu na naszej uczelni. Na początek nieco „prehistorii”, czyli lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku. Opiekunem sekcji był wówczas Klaudiusz Lenik (obecnie profesor na emeryturze). Wiem, że Politechnika Lubelska zdobywała wtedy wiele medali na AMP, także złotych. Najśłynniejszym graczem tamtej ekipy był Jacek Pszczoła, obecnie zawodowy brydżysta, wielokrotny mistrz świata, przy czym najwyższej rangi tytuł drużynowego mistrza świata osiągnął w 2017 roku jako reprezentant USA. Nie wiem, kiedy dokładnie i dlaczego, ale pod koniec XX wieku sekcja brydżowa naszej AZS przestała istnieć.

Około 2010 roku poproszono mnie o reaktywowanie brydża na naszym uniwersytecie. Głównie chodziło o zdobywanie punktów w ogólnosportowej klasyfikacji uczelni w ramach AMWL. Tymczasem, początkowo zupełnie niespodziewanie dla władz Klubu Uczelnianego AZS, zaczęliśmy w pewnym momencie zdobywać medale na AMP. W 2016 roku w Łodzi, para Jakub Jagodziński i Piotr Waniurski zdobyła złoty medal w turnieju par w kategorii uczelni technicznych. Zapewne z tego powodu student Politechniki Lubelskiej Jakub Jagodziński został w tym samym roku powołany do akademickiej reprezentacji Polski, w której zdobył złoty medal w drużynowych Akademickich Mistrzostwach Świata. O sukcesie drużynowym i brązowym medalu AMP w 2018 roku już było pisane wcześniej.

Od 2020 r. przywozimy co roku przynajmniej jeden medal z AMP, w 2021 r. był to nawet medal złoty w konkurencji drużynowej w kategorii uczelni technicznych, i ten rezultat uważam za największy sukces prowadzonej przeze mnie sekcji.

Warto wymienić nazwiska wszystkich naszych medalistów AMP w brydżu sportowym (od czasu, gdy prowadzę sekcję).

STUDENCI: Przemysław Golba, Julia Grodzka, Jakub Jagodziński, Miłosz Murawski, Wojciech Okuniewski, Damian Ulewicz.

PRACOWNICY: Jakub Gajewski, Leopold Koczan, Tomasz Krajka, Wojciech Rosa, Paweł Zaprawa, Piotr Waniurski.



Zajęcia szachowe dla seniorów na Politechnice Lubelskiej. Od lewej: Leopold Koczan, Piotr Waniurski (opiekun sekcji brydżowej i szachowej oraz zajęć dla seniorów) oraz Mikołaj Roszczenko (uczestnik zajęć), 2023 r. Źródło: <https://pollub.pl/rekrutacja/aktualnosci/badz-aktywnym-seniorem-zajecia-sportowe-na-politechnice-lubelskiej-619.html>

W 2020 r. zakończyłem czynną pracę w sekcji szachów Politechniki Lubelskiej, przekazując pałeczkę młodszemu pokoleniu. Lata 2020 i 2021 to trudny czas lockdownu spowodowanego pandemią COVID-19. Ponadto na początku 2021 r. przeszedłem na emeryturę. Nie porzuciłem jednak szachów ani brydża i wciąż biorę udział w szachowych zajęciach i turniejach dla seniorów na Politechnice Lubelskiej. Regularnie odwiedzam także naszą sekcję brydżową.

Pracę opiekuna sekcji szachowej Politechniki Lubelskiej podjął Waniurski, który wcześniej także uczestniczył w zajęciach prowadzonej przeze mnie sekcji szachowej. Teraz łączy tę pracę z pracą w sekcji brydżowej Politechniki Lubelskiej i oczywiście z pracą naukowo-dydaktyczną w dziedzinie matematyki. Obie sekcje, szachowa i brydżowa, pod jego opieką odnoszą sukcesy, czego najlepszym dowodem są pierwsze miejsca na ostatnich AMWL w obu tych dyscyplinach w 2024 r.



Tomasz Maliszewski

Zawodnik

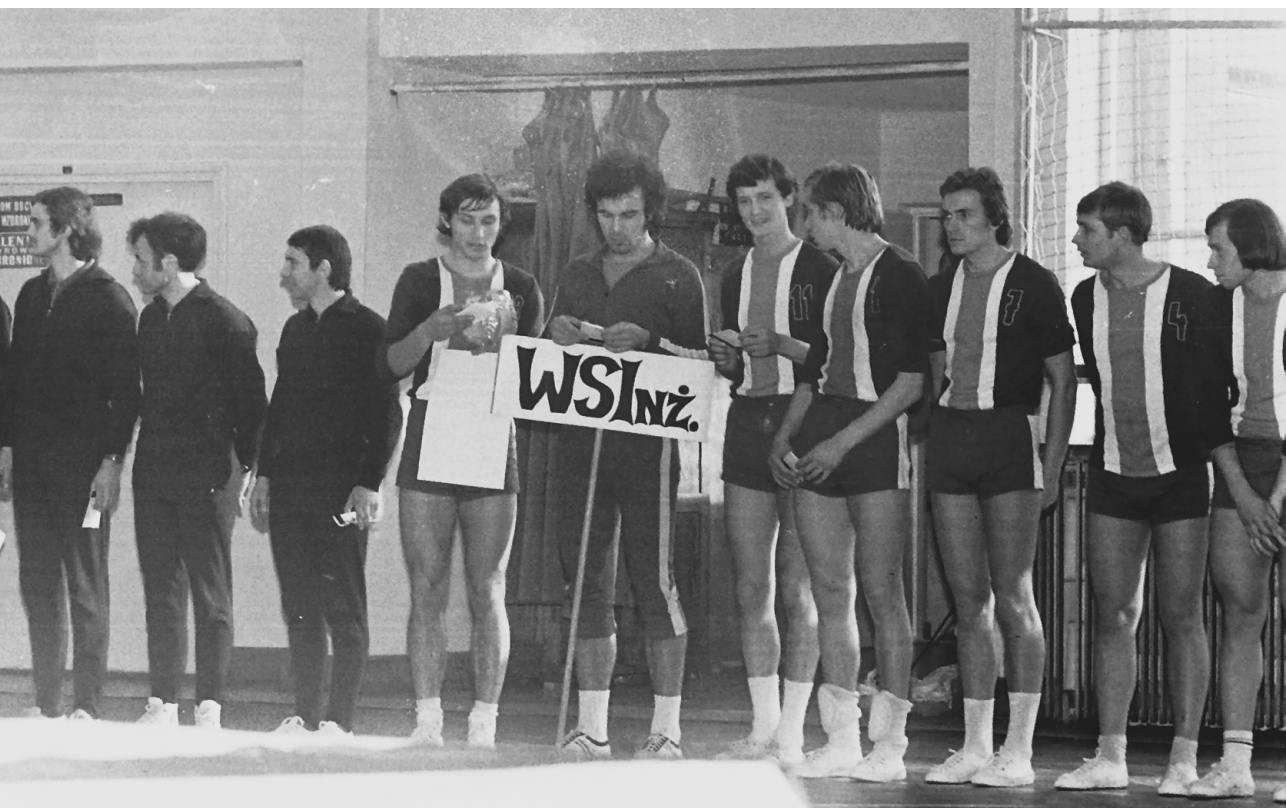
Siatkówkę uprawiałem od 1965 do 1974 r. Na studia dzienne na WSIŃ. uczęszczałem w latach 1970–1974. Pierwsze kontakty z siatkówką miałem podczas lekcji wychowania fizycznego w technikum budowlanym, pod okiem nauczyciela Stanisława Kleczkowskiego. Był on bardzo zasłużony dla sportu szkolnego, wychował w „budowlance” dziesiątki siatkarzy. Pracował nieraz do późnej nocy. Z nim zdobyliśmy brąz w mistrzostwach Polski szkół średnich w 1969 r. w Warszawie. Prowadził również na początku lat 70. drużynę KU AZS WSIŃ.

Pamiętam, że na początku wybraliśmy się na mecz AZS-u Lublin z Lublinianką. W sezonie 1965/1966 oba kluby były w I lidze. Mecz odbywał się w Garnizonowym Klubie Oficerskim przy ul. Żwirki i Wigury. Zostaliśmy poinstruowani, jak oglądać, żeby jak najwięcej się nauczyć: należy upatrzeć sobie jednego zawodnika i śledzić cały czas, jak się porusza po boisku. Byliśmy pod wrażeniem ich gry, sami nie potrafiliśmy zaatakować nad taśmą, dopiero uczyliśmy się podstaw. W AZS grali wtedy m.in. Jerzy Kędra, Jakub Kuźma, Jerzy Welcz, Gajewski, Hubert Puch, Stępień, bracia Żmigrodzcy. Jerzy Welcz był potem moim trenerem, a Hubert Puch kierownikiem drużyny i zawodnikiem. Większość z nich to ludzie znani i zasłużeni dla Lublina. Niestety AZS zaraz wypadł z I ligi i już nigdy później nie awansował. Po paru latach spadła też Lublinianka.

Z Hubertem łączy się ciekawa historia. W latach 1972–1974 wspólnie wielokrotnie toczyliśmy pojedynki z drużyną UMCS-u, zdarzyło się wtedy, że graliśmy zacięte mecze, podczas których nieraz wyraźnie prowadziliśmy. Hubert sędziował na słupku. Jako absolwent UMCS-u większą sympatią darzył kolegów z uniwersytetu niż nas z WSIŃ., choć razem graliśmy w AZS środowiskowym. Kiedy już nasza przewaga była znaczna, jakimś dziwnym trafem gwizdek sędziowski wpadł mu do słupka zrobionego

z rury stalowej. Zrobiło się zamieszanie, konieczna była przerwa, demontaż siatki i odzyskiwanie zguby. Trwało to parę minut i mogło wpłynąć na wynik meczu. Wydaje mi się, że mimo wszystko wygraliśmy to spotkanie. Całe zdarzenie nigdy nie zostało wyjaśnione.

Pamiętam też podobne zdarzenie podczas meczu z drużyną technikum mechanicznego w Lublinie, w naszej sali szkolnej. Mecz był trudny, sala mała, a doping przeciwników na galerii potworny. Mechanicy mieli w drużynie Mietka Rzędzickiego, (później AZS i Avia Świdnik), Piotrka Radzkiego i Romka Sagana (później zawodników w AZS i absolwentów WSIŃ.). Gra była bardzo wyrównana, ale sędzia zaczął rażąco gwizdać na korzyść Mechanika. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Wtedy z nieznanых przyczyn nagle zgasło w sali światło. Mecz został przerwany. Trwało to jakiś czas, wszyscy trochę ochłonęli i trener poszedł włączyć



Mistrzostwa Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Szkół Morskich i Filii Politechnik. Puchar trzyma Tomasz Maliszewski; dalej: Zbigniew Magolan, Jan Konon, Kuba Wolańczyk, Piotr Radzki, Roman Sagan, Janusz Targoński, Opole, 1974 r. Ze zbiorów Tomasza Maliszewskiego

dopływ prądu. Pomogło, bo sędzia się uspokoił i wygraliśmy ten mecz. Ludzie plotkowali na temat nagłej awarii zasilania, podejrzewając o to gospodarzy obiektu. Jak zwykle i w tej plotce jest pewnie trochę prawdy.

Czas studiów była to ciągła nauka i sport. Nie było czasu na prywatki ani inne rozrywki. Z treningów wracałem po godzinie 22 i siadałem do nauki. Obliczenia do projektów robiło się na arytmometrach, tzw. kręciolkach. Proszę sobie wyobrazić rozwiązanie układu równań z trzema, a nawet czterema niewiadomymi, które należało wykonać dla belki ciągłej. Hałas tej maszyny nie dawał spać rodzicom. Jest to nie do pojęcia w obecnych czasach. Mało tego, często w wakacje podejmowaliśmy prace na budowach, w młynie i innych miejscach, gdzie można było zarobić. W tygodniu miałem co najmniej dwa treningi, a w sobotę i niedzielę mecze. Zespoły drugoligowe były rozrzucone po całej Polsce. Podróżowaliśmy przeważnie pociągami, w potwornym tłoku. Dlatego też dwukrotnie nawet lecieliśmy samolotem (Wrocław–Warszawa, Warszawa–Szczecin). To były lata 1970–1974, mało kto wtedy latał. Pamiętam, że samoloty trzęsły jak podczas jazdy po kocich łbach.

Bardzo lubiłem jazdę na nartach, dlatego w zimie nie mogłem odmówić sobie tej przyjemności. Z okna toalety Wydziału Elektrycznego widać było, czy ludzie jeżdżą na Globusie. Jeśli ich widziałem, to zaraz się pakowałem, żeby do nich dołączyć.

Pewne zdarzenie szczególnie świadczy o moim zamiłowaniu do narciarstwa. Było to po meczu ligowym z Elaną w Toruniu. Wracaliśmy do Lublina pociągiem. Wcześniej pozdawałem egzaminy, zdobyłem zaliczenia i obroniłem projekty. W domu czekały już na mnie wypożyczone narty – metal 205 cm. Musiałem po dojechaniu do Lublina pokonać trasę od dworca do ul. Nadbystrzyckiej, gdzie mieszkalem, spakować się i z powrotem biec na dworzec. Był późny wieczór i padał deszcz. Trasę w obu kierunkach pokonałem nieprzerwanie biegnąc, m.in. przez Park Ludowy i łąki. Byłem cały w błocie. W pociągu poszedłem prosto do toalety, gdzie się umyłem i przebrałem. Rusiak, który był wtedy naszym trenerem, nie był zachwycony moim wyjazdem, ale wtedy się tym nie przejmowałem. Miał zastrzeżenia, ponieważ w bucie narciarskim stopa jest usztywniona i traci się skoczność potrzebną w siatkówce.

W Szczyrku bywało różnie. Trasy były oblodzone, narty proste, wąskie, długie i nie chciały skręcać. Zdarzało się, że musieliśmy szukać śniegu i jeździliśmy tylko po jego wąskich paskach. Kolejki do wyciągów były strasznie długie. Podczas jednego z turnusów mieszkaliśmy w domkach kempingowych z piecykami akumulacyjnymi. Mimo to połknąłem

bakcyła narciarstwa. Dało się to już zauważyć, kiedy przebywaliśmy z AZS na zgrupowaniu w Krościenku. Były tam jakieś stoki, ale nam zamarzył się Kasprowy. Pewnej niedzieli z kolegą Romkiem Saganem wybraliśmy się do Zakopanego. Po dotarciu do Kuźnic okazało się, że czeka tam tłum ludzi i nie mamy szans dostać się do kolejki. My, sportowcy, podjęliśmy więc szybką decyzję: idziemy na piechotę. Ludzie tamtędy chodzili, bo były tam głębokie ślady wygniecione w śniegu, w których i my stawialiśmy stopy. Szło się ze dwie godziny, ale daliśmy radę. Doszliśmy do Myślenickich Turni, a dalej już krzesło. Na Kasprowym było ciężko. Tam nikt nie atakował stoku. W końcu upadłem na plecy i moja narta się zgięła (Polsport metal). Musiałem ją wyprostować i zjeżdżać. Sprzęt narciarski oczywiście pożyczaliśmy ze studium wychowania fizycznego, a jak się dało, to pożyczaliśmy i ubranie. Studentom się nie przelewało.

Sport, który wymagał dużo czasu i wysiłku, pomagał nam jednak w łagodzeniu stresu, dawał odprężenie i również wiele radości, szczególnie, kiedy coś udało się wygrać. Dwa razy zdobyliśmy MP Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik oraz odnieśliśmy wiele sportowych sukcesów w mieście i województwie. Z II ligą pożegnałem się po skończeniu studiów, po czterech latach gry. Ciepło wspominam wszystkie przyjaźnie i znajomości zacieśnione w drużynie i na zgrupowaniach. Wiele z tych relacji trwa do dziś.



Janusz Targoński

Zawodnik

Swoją przygodę z siatkówką na Politechnice Lubelskiej rozpocząłem w 1973 r. Uczelnia nosiła jeszcze wtedy nazwę Wyższa Szkoła Inżynierska w Lublinie, ale mój rocznik był pierwszym, który realizował program politechniki. W tym czasie byłem zawodnikiem drugoligowego zespołu siatkówki w Klubie Środowiskowym AZS Lublin.

Wracając do wcześniejszych lat, moje pierwsze poważniejsze spotkanie z siatkówką miało miejsce w szkole średniej w Państwowych Szkołach Budownictwa, gdzie razem z Tomkiem Wójtowiczem, późniejszym mistrzem świata i mistrzem olimpijskim, trenowaliśmy i graliśmy w Szkolnym Klubie Sportowym. Tomek uczęszczał do klasy C, a ja do równoległej klasy A w technikum. Oczywiście Tomek od początku wyróżniał się nieprzeciętnymi warunkami fizycznymi i talentem siatkarskim. Po pewnym czasie przestaliśmy mieć wspólne treningi, gdyż reprezentował on wyższy poziom.

Nasz zespół w WSIInż. składał się w większości z zawodników drugoligowego AZS Lublin. Trenerem drużyny przez cały okres mojej gry był Stanisław Koprianiuk. W tym czasie uczestniczyliśmy w rozgrywkach siatkówki międzyuczelnianej Lublina, przeważnie zajmując pierwsze miejsce.

Najważniejszą imprezą sportową były dla nas Ogólnopolskie MP Wyższych Szkół Inżynierskich, Szkół Morskich i Filii Politechnik. Pierwszy złoty medal i tytuł mistrza zdobyliśmy w 1974 r. w Opolu. W zespole grali wtedy między innymi: Tomasz Maliszewski, Zbigniew Magolan, Piotr Radzki, Roman Sagan, Janusz Targoński, Kuba Wolańczyk, Marek Kamiński, Stanisław Wertel.

Drugi złoty medal i tytuł Mistrza Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Szkół Morskich i Filii Politechnik zdobyliśmy w 1976 r. Ówczesny skład zespołu znacznie różnił się od tego z roku 1974, gdyż w międzyczasie kilku

zawodników ukończyło uczelnię. Reprezentantami, oprócz mnie, byli między innymi: Roman Pogoda, Piotr Szewczyk, Marek Wasiluk, Piotr Radzki, Sławomir Sobocki, Mirosław Bobrowski, Jan Konon.

W 1976 r. uczestniczyliśmy też w Igrzyskach Młodzieży Szkolnej i Studenckiej w Poznaniu. Środowiska były reprezentowane przez poszczególne uczelnie – zdobywców pierwszych miejsc Mistrzostw Polski Typów Uczelni. Treningi do igrzysk odbywały się na kortach ziemnych (na otwartej przestrzeni) UMCS-u w Lublinie, przy ul. Langiewicza. Zakwaterowanie było w Domu Studenckim H. Równoległe z naszymi przygotowaniem, w hali WOSiR przy al. Zygmunta, do igrzysk olimpijskich w Montrealu pod opieką Huberta Wagnera trenował zespół polskich siatkarzy. W drużynie tej występowało dwóch lubelskich zawodników: Tomasz Wójtowicz i Lech Łasko. W ramach ćwiczeń zorganizowano pewnego razu sparingowy mecz pokazowy między dwiema szóstkami reprezentantów Polski. Widowisko zgromadziło wielu kibiców, więc oglądałem mecz na stojąco, wraz z moją przyszłą żoną. Jak wiemy, siatkarze pod wodzą trenera Huberta Wagnera zdobyli 30 lipca 1976 r. złoty medal olimpijski.

Na kortach ziemnych w Poznaniu wywalczyliśmy srebrny medal, przegrywając w finale 3:1 z Akademią Rolniczą z Olsztyna. W drużynie z Olsztyna występowali zawodnicy z pierwszo- i drugoligowego AZS Olsztyn, wtedy jednego z najsilniejszych klubów siatkarskich w Polsce.

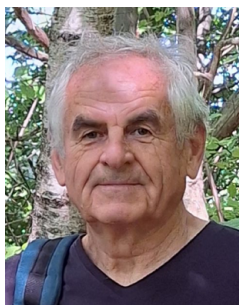
Kolejny – już trzeci – złoty medal Ogólnopolskich Mistrzostw Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Szkół Morskich i Filii Politechnik zdobyliśmy w 1977 r. Zwyczajowo po zdobyciu złotego medalu kierownictwo stawiało szampana. Tamtym razem się go nie doczekaliśmy, co wywołało nasze niezadowolenie. Szampany zostały jednak zakupione za składkowe pieniądze zawodników i wypite w pociągu, w drodze powrotnej do domu.

Z ciekawostek dotyczących przygotowań do występów turniejowych czy przygotowań do sezonu ligowego, warto wspomnieć, że nie ćwiczyliśmy na siłowni. Trening koncentrował się na elementach techniki i wytrzymałości. Jest to duża różnica w porównaniu z obecną sytuacją, gdy ćwiczenia siłowe są stałym elementem codziennego treningu. W naszych czasach nikt nie stosował także odpowiedniej, kontrolowanej przez dietetyków, diety sportowej, co w tej chwili jest niemal obowiązkiem. Pamiętam, że jeden z kolegów na godzinę przed meczem wypił piwo i nie robiło to na nikim specjalnie złego wrażenia. Były to także inne czasy, jeśli chodzi o sprzęt sportowy i piłki. Dostępne były tylko kiepskie tenisówki polskiej produkcji. Niektórzy za własne pieniądze sprowadzali z zagranicy buty

o nieporównywalnie lepszej jakości – w takich aż chciało się grać. Popularne były wtedy zwłaszcza czeskie tenisówki – średniej klasy, ale także trudno dostępne. Dresy, koszulki, spodenki były reglamentowane przez klub, natomiast skarpetki kupowaliśmy sami. Także jakość piłek była nieporównywalna z piłkami, które używane są obecnie.



Drużyna siatkarska podczas MP Wyższych Szkół Inżynierskich, Szkół Morskich i Filii Politechnik, od lewej: Piotr Radzki, Tomasz Maliszewski, Roman Sagan, Stanisław Koprianiuk, Kuba Wolańczyk, Marek Kamiński, Jan Konon; siedzą na parkiecie: Janusz Targoński, Eugeniusz Czyżma, Opole, 1974 r. Ze zbiorów Janusza Targońskiego



Andrzej Pecio

Wiceprezes

Odpowiadając na apel kolegi Witka Zimnego, chciałbym podzielić się kilkoma wspomnieniami z czasów studenckich oraz działań w uczelnianym klubie AZS Politechniki Lubelskiej. Moja znajomość z Witkiem rozpoczęła się znacznie wcześniej niż na uczelni. Przez pięć lat uczęszczaliśmy do tej samej klasy Technikum Elektrycznego przy ul. Długiej. Siedzieliśmy w jednym rzędzie, ławka za ławką.

Byliśmy pierwszym rocznikiem studentów na Politechnice (1973 r.). Pamiętam nasze dyskusje o tym, jak postarzyć (spatynować) nowe tablice z brązu z nazwami poszczególnych wydziałów uczelni, aby nie były takie nowe i błyszczące. Mówiono, że procesem patynowania zajął się Zbigniew Ratajewicz, wykładający elektrochemię dla elektryków.

Pierwsze kontakty z klubem AZS zadzierzgnąłem za namową Witka. Już wtedy nosił przydomek „Cieplusi”, w kontrze do nazwiska Zimny. W tym czasie prezesem klubu AZS był Dariusz Dudak. Dariusz wprowadzał nas w działalność organizacyjną klubu. Witek został wiceprezesem, a ja – skarbnikiem. To były początki naszej działalności w AZS. W czasie pracy w nim poznałem swoją przyszłą żonę – Elżbietę.

Politechnika Lubelska współpracowała z Uniwersytetem Technicznym w Koszycach. W początkowym okresie mojej działalności w klubie (prawdopodobnie w 1974 r.), uczelnia z Koszyc zorganizowała turniej piłki nożnej oraz koncert zespołów studenckich. W ramach delegacji do Koszyc pojechała reprezentacja PL w piłce nożnej oraz liczne grono śpiewających i tańczących studentów. Była wśród nich również młoda Beata Kozidrak z bratem. Jej występy już w tamtym czasie były przyjmowane przez brać studencką bardzo pozytywnie i z dużym aplauzem. Na tym koncercie wystąpiła również przedstawicielka Politechniki, Maja Waliniak, czołowa solistka Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej (tzw. „Kaniorowcy”).



Członkowie AZS podczas pochodu pierwszomajowego na al. Racławickich, od lewej: Andrzej Pecio i Witold Zimny, 1. poł. lat 70. Ze zbiorów Andrzeja Pecio

Wyjazd był niezwykle udany i zaowocował dalszymi kontaktami na polu naukowym, sportowym i towarzyskim.

AZS ściśle współpracował ze Studium Wychowania Fizycznego PL. Wspólnie organizowano obozy narciarskie w Szczyrku. Pamiętam początki mojej nauki jazdy na nartach. W tym czasie powszechne były skórzane buty narciarskie, chociaż pojawiały się już plastikowe buty-skorupy. Jedne z pierwszych takich butów nosiły nazwę „Kasprowy” i były wyjątkowo niewygodne, ciasne i niedopasowane. W następnych latach pojawiły się znacznie lepsze buty „San Marco”. Podobnie było z nartami: pierwsze były drewniane, następne miały wykładziny plastikowe z metalowymi krawędziami mocowanymi wkrętami do szkieletu narty. Wiązania narciarskie również bardzo się zmieniły.

Na tych obozach nauka jazdy odbywała się w trzech grupach, zależnie od stopnia zaawansowania. Najbardziej zaawansowani mieli możliwość podnoszenia swoich umiejętności z Danutą Welcz, która – ze względu na czarny strój narciarski – miała przydomek „Czarna Błyskawica”. Jeździła znakomicie. Na jednym z tych obozów uczestnikiem był bardzo dobry narciarz klasyczny pochodzący z Roztocza. O ile pamiętam, miał na imię Marian. Na swoich nartach biegowych wyczyniał cuda, zjeżdżając z „alpejczykami” z dużych stoków. To były czasy długich kolejek, niskich temperatur oraz słabego przygotowania stoków i licznych wyciągów orczykowych, ale było bardzo radośnie i wesoło. Poza kolejnością jeździli na nartach wczasowicze pracujący w kopalniach.

Po skończeniu studiów, kiedy pracowałem w górnictwie, miałem jeszcze kilka razy okazję jeździć na nartach. Częściej korzystałem z nart podczas pracy w wodociągach. Do dziś staram się pielęgnować to sportowe hobby. W czasie pracy w wodociągach znalazłem wspólny język z prezesem Tadeuszem Fijałką (również absolwent Technikum Energetycznego), który także był pasjonatem sportu i udzielał się w Klubie Uczelnianym AZS Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

Liczne znajomości z czasów pracy w klubie uczelnianym AZS pozwoliły mi lepiej poznać wielu sportowców z Lubelszczyzny. A dzięki współpracy wodociągów z różnymi firmami miałem możliwość nawiązać kontakt z jednym z najlepszych sportowców AZS Lublin – Tomaszem Ziarnem. Obecnie od kilku lat przebywa w Stanach Zjednoczonych. Niezwykle serdecznie wspomina on swoje lata trenowania sportu profesjonalnego na terenie Lubelszczyzny.

Z przyjemnością wracam też myślami do czasów współpracy z pracownikami Studium Wychowania Fizycznego PL. To były bardzo

wartościowe chwile. Z dużym sentymentem wspominam również koleżanki i kolegów ze studiów, z którymi wspólnie pracowaliśmy w organizacji klubu. Chciałbym też podkreślić duże zaangażowanie w życie sportowe uczelni młodego wówczas rektora Politechniki – Włodzimierza Sitko. Kiedy pracowałem w wodociągach rozmawiałem z nim kilkakrotnie na temat sportu studenckiego na Politechnice Lubelskiej.



Zawody pływackie o Puchar Dyrektora Instytutu na AOS, drugi z prawej: Andrzej Pecio, 1976 r.
Ze zbiorów Muzeum PL



Witold Zimny

Prezes

Był rok 1973. Dumny z wywalczenia indeksu Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie stawilem się wraz kolegami na pierwsze zajęcia wychowania fizycznego. Nie pamiętam, czy było to w „Oxfordzie” (tak nazywano budynek, w którym była salka gimnastyczna), czy Akademickim Ośrodku Sportowym (nazywanym skrótowo AOS-em; wówczas był to międzyuczelniany obiekt sportowy). Pamiętam, że kierownik Studium Wychowania Fizycznego, Witold Stępiak oraz prezes Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie, Darek Dudak, opowiedzieli o klubie. A przyznać należy, że mieli co opowiadać. Na pierwszych zajęciach wychowania fizycznego rozdano druki deklaracji członkowskich, a wielu, w tym i mnie – znaczek AZS-u.

Naprawdę wiele dla mnie znaczył! Nadal uważam go za najpiękniejszy, ale swą aktualność utracił, gdy szkoły inżynierskie uzyskały status politechnik. W Lublinie stało się to w 1977 r.

Taki znaczek dostosowany był do konkretnych typów szkół wyższych, bo wówczas rywalizowaliśmy w grupie wyższych szkół inżynierskich i morskich. Ten maleńki symbol AZS-u wręczył mi kierownik studium (może z sympatii dla imienia identycznego z moim), a prezes Darek Dudak zaprosił mnie na zebranie Zarządu Klubu Uczelnianego AZS WSInż. Data powstania klubu – 12 listopada – to chyba jakiś znak losu, bo przecież 12 listopada wypadają imieniny Witolda. Przypadek?

Rosłem i doroślałem, a sport akademicki coraz bardziej mnie pochłaniał. Szczęście dopełniło się, kiedy na posiedzeniu zarządu zaproponowano mi objęcie funkcji gospodarza klubu. Nazwa funkcji brzmiała poważnie, jednak szybko zorientowałem się, że moje obowiązki sprowadzają się do podlewania kwiatków i dbałości, aby kurz nie osiadał na klubowych trofeach. Chyba to wtedy moje silne postanowienie, aby kontynuować kształcenie na

inżyniera elektryka wyraźnie osłabło. Nie zamierzałem jednak rezygnować ze studiów, więc ukończyłem w terminie jako magister inżynier, z oceną „dobry” na dyplomie. Z pewnym wstydem muszę przyznać, że studia jako okres edukacyjno-naukowy nie za bardzo mnie zajmowały. Nie oznaczało to bynajmniej, że lekceważyłem zajęcia czy wykładowców. Jako dowód mogę przytoczyć fakt, że przez pięć godzin wykładów (prawie bez przerwy) słuchałem Janusza Turowskiego, który przyjeżdżał do Lublina gościnnie z Politechniki Łódzkiej. Nawet długo po studiach potrafiłem wyprowadzić słynne i trudne równania Maxwella. To był taki mój inżynierski numer popisowy.

W Studenckiej Spółdzielni Pracy „Juventus” imaliśmy się różnych prac, od porządkowych po wysoce specjalistyczne, zwłaszcza kiedy zdobyliśmy właściwe uprawnienia. Z tych pierwszych bardzo miło wspominam „konserwację powierzchni płaskich”, czyli sprzątanie parkietu, ale z cyklinowaniem za pomocą metalowych wiórek, w Biurze Projektów Kolejowych przy ulicy Okopowej. Cyklinowanie normalnie było bowiem nudne i uciążliwe. Usprawniliśmy technologię czyszczenia poprzez wylanie na podłogę terpentyny i zgarnięcie jej razem z pastami, woskami i brudem. Jaśniejąca podłoga i zapach świeżości, który dawała terpentyna, tak ujął dyrekcję i pracowników, że poza zapłatą otrzymaliśmy coś bezcennego, bo wtedy nie do dostania – rulon kalki technicznej. Bardziej skomplikowane, specjalistyczne prace polegały na określaniu za pomocą mierników, a następnie matematycznym opracowaniu, skuteczności uziemiania i zerowania urządzeń elektrycznych. Tę robotę mógł dużo szybciej zrobić ktoś z działu głównego mechanika danego przedsiębiorstwa, ale pod naszym opracowaniem podpisywał się pracownik naukowy uczelni, co miało gwarantować wysoką jakość. Nawet po odliczeniu kosztów pracy uczonego akademika zarabiał się świetnie. Byłem niczym postać z ówczesnej propagandówki: Nauka – Praca – Sport. W moim przypadku kolejność i hierarchia tych wartości była jednak odwrotna.

Akademickie Igrzyska Sportowe (AIS) miasta Lublina były najważniejszą imprezą naszego środowiska akademickiego. W założeniach były sprawdzianem sportowego poziomu poszczególnych dyscyplin w KU AZS lubelskich uczelni, a jednocześnie przygotowaniem do Mistrzostw Polski Typów Uczelni. Program sportowy był bardzo bogaty, bo zakresem odpowiadał programowi MPTU. Poziom emocji warunkowały faktyczne derby w różnych konfiguracjach. W organizację angażowały się wszystkie Studia Wychowania Fizycznego (dalej SWF) oraz kluby uczelniane AZS. Organizatorem był Zarząd Środowiskowy AZS, ale program, regulaminy, podział zadań i ról tworzyła Komisja Klubów Uczelnianych AZS. Przewodniczącym tej

komisji był „SzeŹ”, czyli Henryk Gerłowski, a sekretarzem Janusz Domański, pierwszy prezes KU AZS WSIŹ. W pracach tych z racji pełnionych funkcji uczestniczyli kierownicy SWF oraz prezesi klubów uczelnianych AZS. Sytuację personalną w poszczególnych uczelniach pokazuje dość schematyczne zestawienie. Otóż, kiedy szefem Studium WF-u na Akademii Medycznej był Andrzej Pełowski, to funkcję prezesa KU AZS pełnił Tomasz Hasiec. Odpowiednio, na Akademii Rolniczej Janusz Czerwiński współpracował z prezesem Leszkiem Deptułą. Na KUL-u Stanisław Dobosz współdziałał z Tadeuszem Niedźwiadkiem, a na UMCS-ie Andrzej Prędkiewicz z Ryszardem Struzikiem. Na mojej WSIŹ. w roli prezesa pracowałem wspólnie ze wspomnianym Witoldem Stępnikiem.

AIS, jako impreza sztandarowa środowiska, wymagały wiele pracy organizatorskiej. W tej organizacyjnej gorączce nie unikaliśmy szeregu kłopotów, może nawet błędów wynikających z nadmiaru dobrych chęci i chyba też z braku wyobraźni. Na przykład, powieszenie transparentu na przewodzie telefonicznym przy Domu Studenckim Amor skutkowało znakomitym efektem informacyjnym i estetycznym, ale także chwilowymi trudnościami w łączach i dopływie prądu. Po harówce przy rozwieszaniu, rozstawianiu i przystrajaniu postanowiliśmy odpocząć w gabinecie ówczesnego sekretarza zarządu, Wojtka Sokołowskiego.



Akademickie Igrzyska Sportowe (AIS) na stadionie Startu. Od lewej: zastępca kierownika SWFiS UMCS Andrzej Strycharzewski, Witold Zimny oraz kierownik SWFiS PL Witold Stępnik ustalają taktykę, Lublin, 1975 r. Ze zbiorów Muzeum PL

Jedną z oryginalnych konkurencji, w której rywalizowali rektorzy lubelskich uczelni było rozbijanie namiotów. Te zaś leżały na razie w kącie wspomnianego gabinetu. Namiot i zielona wykładzina, a taka leżała na podłodze, nie mogły się inaczej kojarzyć jak tylko z trawką (wtedy trawka kojarzyła się tylko z łąką) i biwakiem. Rozbity namiot, ognisko z lampki i integracyjne toasty uspiły strudzonych organizatorów. Obudziła nas zdławionym krzykiem sprzątaczką. I dobrze, że to zrobiła, bo dzięki temu usłyszeliśmy z radia pozdrowienia dla uczestników Akademickich Igrzysk Sportowych miasta Lublina od „Sygnałów Dnia” (taka była wtedy poranna audycja I Programu Polskiego Radia).

Ich Magnificencie, o których wspomniałem przy okazji rozbijania namiotów, zawsze żywo interesowały się uczelnianym sportem. Co jakiś czas odbywało się Kolegium Rektorów poświęcone sportowi akademickiemu. Najbardziej pamiętne okazało się Kolegium nad jeziorem Piaseczno w roku, którego dokładnie nie pamiętam, bo mnie tam po prostu nie było. Wedle opowieści powtarzanej w czasie studiów mógł to być rok 1972, gdyż uczestniczył w nim jeszcze rektor Stanisław Podkowa.

Kolegium to stało się pamiętne ze względu na przylot helikopterem komendanta „Szkoły Orłąt” z Dębina. Nieco inną wagę miały Mistrzostwa Polski Typów Uczelni. Była to ogólnopolska, stricte sportowa rywalizacja szkół wyższych reprezentowanych przez kluby uczelniane AZS-u. W okresie moich studiów rywalizacja odbywała się pomiędzy siedmioma typami uczelni: uniwersytetami, politechnikami, wyższymi szkołami rolniczymi, ekonomicznymi, pedagogicznymi, akademiami medycznymi i akademiami wychowania fizycznego. Każdy typ uczelni wybierał dyscypliny, w których rywalizowały kluby uczelniane. Następowala wtedy pełna mobilizacja sił i posiadanych (i nieposiadanych) środków, aby uzyskać jak najlepszą lokatę w tej ogólnopolskiej rywalizacji. Liczyła się i ilość startujących sekcji, i końcowy efekt punktowy rywalizacji. Nie wszystkie uczelnie miały takie same lub choćby porównywalne warunki dla uprawiania sportu. Te różnice miał, choćby w części, niwelować ich podział na typy. Nawet w obrębie tych typów nie wszystkim uczelniom udawało się wystawić reprezentacje we wszystkich dyscyplinach.

W związku z MPTU poszczególne sekcje sportów pracowały intensywniej, a trenerzy zabiegali u wykładowców, żeby nauka nie zakłóciła cyklu przygotowań do mistrzostw liderom tychże dyscyplin. Organizatorzy wszystkich zawodów także dokładali starań, aby oprawa rywalizacji okazywała się jak najgodniejsza. Choć byłem za słabym sportowcem, aby reprezentować moją uczelnię w jakiegokolwiek dyscyplinie, to

jako prezes KU AZS przeżywałem w dwójkasób każdy nasz start. Byłoby pewną przesadą stwierdzenie, że utożsamiałem się z każdym sukcesem na bieżni, skoczni, boisku czy pływalni, ale porażki – pewnie bezsensownie – postrzegałem jako osobiste. Stres „zajadałem”. Był to bowiem czas, kiedy moja sylwetka nie odzwierciedlała jeszcze ilości pochłanianych pokarmów. Właśnie podczas mistrzostw w lekkoatletyce w Koszalinie w 1976 r. po raz pierwszy zjadłem placek po węgiersku.

W latach siedemdziesiątych XX w. działanie AZS-u opierało się na ściślejszej współpracy z uczelnianymi SWF-ami. Ich nauczyciele byli azetesiakami i przyjaciółmi AZS-u. Ta symbioza skutkowałą także wspólnymi obozami żeglarskimi, spływami kajakowymi w lecie, a w zimie zjazdami narciarskimi. I – uwaga – sprzęt, wyżywienie i zakwaterowanie zapewniała uczestnikom uczelnia.

Dzięki temu już na pierwszym roku pojechałem na obóz narciarski do Szczyrku (indywidualnie nigdy nie byłoby mnie na to stać). Wspominając to dzisiaj, przeżywam niemal każdy moment tych wyjazdów. Utkwiło mi na przykład w pamięci pobieranie sprzętu: buty, tzw. trzewiki sznurowane oraz narty „Wierchy” długości 215 cm, ale z plastikowym ślizgiem i wiązaniami typu „kandahar”. Ponieważ był to mój pierwszy kontakt z tą



Koszykarze AZS PL. Od lewej: Przemysław Pawlik, Andrzej Turski, Zbigniew Polkowski, Jan Teodorczyk, „Ziutek” Krasucki, Leszek Stasiak, lata 70. Ze zbiorów Witolda Zimnego



Prezes KU AZS WSIlnż. Witold Zimny z dumą prezentuje puchar zdobyty podczas MPTU, 1976 r. Ze zbiorów Muzeum PL

dyscypliną sportu, nie dostrzegałem niczego, co mogłoby pomniejszyć moją ekscytację z wyjazdu na narty. Instrukтором grupy początkującej była Danuta Welcz. Kobieta cudo! Na pierwsze zajęcia pojechaliśmy na Przełęcz Salmopolską, gdzie na górze był w miarę wypłaszczony teren, zwany, nie wiadomo dlaczego, „oślą łączką”. Tam ćwiczyliśmy „jodełki” i pierwszy poważny element narciarskiego kunsztu – tzw. „pług”. Nasza pani pokazała nam, jak można skręcać dzięki tej technice. Muszę się pochwalić, że nawet moje długachne „Wierchy” dawały radę na oślej łączce. Zbliżała się pora powrotu i jedyna droga do autokaru to była trudna do przejścia tzw. czerwona trasa. Pani Danusia dała nam bardzo dobrą radę: „Ponieważ trasa jest mocno pokryta muldami, jedźcie przy lesie, tak jak ja” i pojechała. Muldy na trasie były dwa razy większe od tych, które dzisiaj obserwować można na zawodach typu *freestyle*. Dzięki posiadanej umiejętności skręcania z pługu, płynnie pokonałem pierwszą muldę i wylądowałem na plecach głową w dół stoku. Wiązania typu „kandahar” nie pozwoliły mi zgubić nart, w końcu były własnością uczelni, czyli państwowe. Troska wiązań o narty była odwrotnie proporcjonalna do troski nart o moje członki. W połowie stoku było małe wypłaszczenie, a mój

wspaniały czarny strój narciarski jakby zmniejszył poślizg i przez myśl mi przemknęła nadzieja, że w końcu się zatrzymam.

Nim nadzieja skryształizowała się do końca, z jeszcze większym impetem pogałem w dół. Byłem drugi! To był mój kolejny „sportowy” sukces – wprawdzie byłem drugi, ale za zawodowcem-trenerką!

Szczęśliwie, ten zjazd, bo slalomem tego wyczynu nie można nazwać, nie spowodował żadnych strat w ludziach ani sprzęcie. Sukces był tym większy, że ostatniego na mecie wyprzedziłem o ponad godzinę. Oczekiwanie na zamknięcie trasy umilałem sobie piwem i koszmarnie drogim pieczonym ziemniakiem. Wtedy też zrozumiałem, co znaczy mądrość góralskiego powiedzenia, głoszona przez Staszka Marusarza, że narciarstwo to jest „pikny sport, zaroz pirsy po dupceni”. Na trzecim miejscu była natomiast rozkosz zdejmowania butów narciarskich. W słuszności tej ostatniej sentencji utwierdziły mnie buty marki „Tatry”. Ale o tym poniżej.

Trzeba przyznać, że w latach moich studiów uczelnie dbały o to, aby istniała także bogata wymiana sportowa. W ramach jednej z umów moja uczelnia kooperowała z zaprzyjaźnioną Wyższą Szkołą Techniczną w Koszycach (wtedy była to Czechosłowacja). Tak się złożyło, że jednocześnie odbywał się tradycyjny obóz narciarski w Szczyrku i na ten sam termin zaproszenie wystosowali Słowacy. Ja byłem na obozie w Szczyrku i niespodziewanie, przynajmniej dla mnie, przyjechała ekipa jadąca do Martina pod kierownictwem Witolda Stępnia, który zaproponował, abym pojechał z nimi. Szczerze powiem, że ta propozycja stała w konflikcie z moimi osobistymi, towarzyskimi planami na pobyt w Szczyrku. Ale tu pokazała się słabość mojego charakteru, a może po prostu powód pozostania w Szczyrku nie był dość kuszący. Koniec końców kierownik przekupił mnie parą nowych, plastikowych butów marki „Tatry” (tak jak kiedyś „kupił” mnie do AZS-u przez wręczony mi metalowy znaczek). Pojechałem. Zakwaterowanie, ekstra hotel, dowóz na trasy na Martinske Hole – były znakomicie przygotowane. But „trzymał nogę” – sprawdzałem na dywanie – okazał się rewelacyjny. W pierwszy dzień czyniłem duże postępy w kierowaniu nartami, choć spece od narciarstwa mogliby mieć kłopot z nazwaniem moich ewolucji. Drobne otarcia na kostkach tłumażyłem nowością butów. Myślałem, że to tak jak z tymi na studniówkę, nie „rozchodziły się” i stąd były bąble. Na drugi dzień jazda była już mniej komfortowa. Obtarcia kostek z obu stron nogi. Należało zmienić położenie kostek względem zawiasów łączących cholewkę z butem, bo to właśnie owe metalowe zawiasy psuły rozkosz jazdy. Oczywiście były też sprawcami „radości” malującej się na mojej twarzy po zdjęciu butów. Zmiana

położenia zawiasów w butach była niemożliwa, natomiast podłożenie zwiniętej skarpetki pod piętę wydawało się skutecznym rozwiązaniem. Jak się okazało po pierwszym tego dnia zjeździe, akcent powinien być położony na „wydawało się”. A poza tym, czy ktoś dzisiaj jeździ w butach na obcasach? Postanowiłem przestać narzekać i znaleźć sobie jakieś inne zajęcie, które do końca nie odzierałoby mnie z estymy praktykującego narciarza. Wspomniane buty miały jednak zaletę, że przy rozpiętych klamrach pięknie dzwoniły przy stawianiu kroków. Tak więc, wchodząc do restauracji na szczycie góry i dzwoniąc, co zwracało uwagę, czułem się jak westernowy John Wayne wkraczający do *saloonu*. Myślę jednak, iż mój czarny stój i reszta ekwipunku upodabniały mnie raczej do Tony’ego Sailera. Przestawałem przypominać obie postacie, kiedy zamawiałem tzw. U-boota, czyli kufel piwa z kieliszkiem „borowiczki” w środku. Ta morska, a w zasadzie podmorska bitwa nie mogła być zbyt intensywna, bo trzeba jednak było zjechać na dół na nartach.

Łagodność nartostrady umożliwiała konwersacje jadących nią narciarzy. Kiedyś, jadąc za Hansią (Anną Stępniać), córką Witolda, wszechstronnie sportowo utalentowaną dziewczyną, wymienialiśmy zdania na różne tematy, a że ona jechała przede mną, swoje kwestie wypowiadała twarzą skierowaną do mnie, czyli przeciwnie do kierunku jazdy. Ponieważ nasi bracia Słowacy dla upamiętnienia walk pozostawili jako pomniki czołgi i armaty, jedna z luf nieuchronnie zbliżała się do głowy mojej koleżanki. Ponieważ z anatomii nie byłem zbyt dobry, nie bardzo wiedziałem, czy gorzej będzie, jak dostanie lufą w tył głowy, czy jak krzyknę i dostanie w czoło. Jednak krzyknąłem, ona się odwróciła, schyliła i tym sposobem uratowaliśmy jej życie. Zresztą zawdzięczała mi je też innym razem, kiedy jej wołanie usłyszałem w świerkach obok trasy z Małego Skrzycznego. Tak nieszczęśliwie wypadła z trasy w te chaszcze, że nie mogła wypiąć nart ani nic zrobić poza wołaniem o pomoc. Gdyby nie mój słuch, zostałaaby tam do wiosny.

Potwierdziła się bliskość kultury fizycznej i duchowej. Mój wizerunek Tony’ego Sailera, który był aktorem i piosenkarzem, umożliwił mi poznanie artystki czechosłowackiego Teatru Narodowego (*umelec národného divadla*). Bliższe kontakty zaowocowały zaproszeniem naszej ekipy do teatru na prapremierę sztuki, w której moja znajoma grała główną rolę. W dniu spektaklu stawiliśmy się nawet schludnie odziani. Gdy kurtyna poszła w górę, przez pierwsze pięć minut nie mogliśmy wyjść ze zdumienia, gdyż aktorzy mówili po węgiersku. Część ekipy wprawdzie nie mogła wyjść ze zdumienia, ale mogła z teatru. Ja zostałem, ale nie dlatego, żebym znał węgierski.

Równie atrakcyjnie przedstawiał się nasz polski rewanż za narciarskie wakacje. Jako KU AZS WSInż. podejmowaliśmy (choć organizacyjnie wszystko trzymał w garści Witold Stępnia) drużynę koszykarzy uczelni technicznej z Koszyc, która właśnie u nas, na AOS-ie, przygotowywała się do rozgrywek o mistrzostwo Czechosłowacji. Podstawowym graczem tej ekipy był Jiří Zidek senior (ur. 1944 r.), reprezentant Czechosłowacji, olimpijczyk, późniejszy trener oraz świeżo upieczony ojciec Jiří'ego Zídka juniora, co ciekawe, za kilkadziesiąt lat zawodnika NBA.

W tej samej hali, ale kilka lat później, do Igrzysk Olimpijskich w Montrealu w 1976 r. przygotowywała się reprezentacja polskich siatkarzy pod nadzorem wymagającego katorżniczej pracy trenera Huberta Wagnera i jego „łagodnego” asystenta Jerzego Welcza. Byłem biernym obserwatorem tych wydarzeń, choć trzeba przyznać, że obserwacja ta była utrudniona, gdyż decyzją trenera wszystkie treningi były zamknięte dla widzów.

W ramach międzynarodowej wymiany odwiedzaliśmy także naszego zachodniego sąsiada, Niemiecką Republikę Demokratyczną. Nasza uczelnia miała kontakty ze szkołą wyższą w Dreźnie, podobnie jak wcześniej z uczelnią z Koszyc. Nie pamiętam, z reprezentantami jakich dyscyplin wyjechaliśmy do Drezna, ale w pamięci utkwiło mi spotkanie młodzieży polskiej i niemieckiej. Takie spotkania miały ugruntowywać międzynarodowy charakter naszego obozu. Ponieważ też byłem wtedy młody, a poza tym prezesowałem klubowi, byłem gotów integrować się z młodzieżą niemiecką, oczywiście bez podtekstów ideologiczno-politycznych. Razem z kolegą Andrzejem Peciem (w szkole średniej razem graliśmy w siatkówkę) nawiązaliśmy kontakt z dwiema ślicznymi dziewczynami. Gdybyśmy znali niemiecki, byłby to kontakt werbalny, ale doprawdy nie wiem, jak nazwać taką „ręcznie robioną” komunikację. Spotkanie odbywało się w konwencji biesiady przy świniobiociu. Serwowano świeżonki, kaszanki itp. oraz piwo. Z dziewczynami byliśmy, jakby to nie zabrzmiało, „po słowie”. W pewnym momencie nas opuściły i pojawiły się na scenie w kimonach, aby następnie poniewierać tam publicznie dwóch facetów. Goście byli dużo więksi od nas, a fruwali jak *vogel*, czyli po niemiecku „ptak”. To zdecydowało o zakończeniu naszych załotów.

Jako że krew nie woda, przed wyjazdem na Węgry postanowiliśmy poznać niezbędne słowa do konwersacji z ładniejszą częścią węgierskiego narodu, bo na tę z brzydszą jest skuteczne stare powiedzenie... Te magiczne słowa to: *tetszel nekem* oraz *szeretlek*.

W letnie dni chłonałem AZS całym sobą w pięknych okolicznościach przyrody nad jeziorem Piaseczno. Właśnie tam klub wybudował i posiadał pawilon dla żeglarzy. Prężna sekcja Antares została powołana do życia

w 1964 r. z inicjatywy ówczesnego Prezesa KU AZS WSR Tadeusza Karpińskiego. Grupa ta związana była z Wyższą Szkołą Rolniczą, ale skład miał charakter ogólnouczelniany. Bycie członkiem tej sekcji nobilitowało. Antares kultywowała dbałość o żeglarskie tradycje, szacunek wobec ceremoniałów i stosownych zachowań. Poza szkoleniem żeglarskim utrzymywała porządek na terenie ośrodka, a to przede wszystkim za sprawą pierwszego komandora Ryszarda Strońskiego. Rysiek z zawodu był ichtiologiem, z charakteru cholerykiem, a z zamiłowania żeglarzem.

By zasmakować atmosfery tamtego miejsca, ludzie przyjeżdżali z odległych stron Polski. Poza kilkoma pokojami we wspomnianym pawilonie, głównym lokum były namioty dostarczające postronnym wielu wrażeń, jako że nie były dźwiękoszczelne. W ośrodku, poza szkoleniem żeglarskim, odbywały się także obozy dla klubów uczelnianych nie tylko z naszego środowiska, ale także coroczne spotkania pracowników SWFiS lubelskich uczelni – wtedy autentycznych azetesiaków. Największym dobrem sekcji byli jej członkowie, którzy poza sezonem letnim każdą chwilę spędzali na pracach skutniczych i bosmańskich, aby przygotować sprzęt na lato. Na potrzeby szkolenia żeglarskiego dostępne były łodzie: jedna DZ, pięć Omeg, bączek i motorówka. Bączek, mała łódka wiosłowa, służyła do przewozu załóg na i z łodzi zacumowanych opodal brzegu. Motorówka, ze sternikiem Januszem Domańskim, stanowiąca zabezpieczanie załóg łodzi uczestniczących



Członkowie KU AZS PL w ciepłych źródłach, Miskolc, 1977 r. Ze zbiorów Witolda Zimnego



Reprezentacja AZS Lublin podczas przerwy w meczu koszykówki. Witek Zimny motywuje zawodników, lata 80. Ze zbiorów Muzeum PL

w kursie na stopień żeglarza, ciągała narciarzy wodnych. Była to duża frajda. Najaktywniejsi członkowie sekcji, w nagrodę za pracę na jej rzecz, wyjeżdżali na rejsy po jeziorach mazurskich. Kabinowe łodzie „Atos”, „Portos” i „Aramis” przewożono wtedy na Mazury. To była typowo amatorska sekcja.

Z inicjatywy Wacława Kruszewskiego, kierownika SWFiS KUL-u, nad jeziorem Rogóźno wybudowano ośrodek sportowo-wypoczynkowy, który po nieładzie budowlanym uprzętnęli i przygotowali pod kątem własnej działalności studenci (nie tylko z KUL-u). Meble natomiast zakupił Zarząd Środowiskowy AZS. Długo nie nacieszyliśmy się nowym obiektem, bo decyzją władz katolickiej uczelni w latach 80. XX w. przekształcono go w ośrodek modlitewny czy coś podobnego. Pamiętam, że spokojny nad wyraz pan Wacław z irytacji siarczyście przeklinał z tego powodu. Ale i ta ostatnia funkcja ośrodka nie obroniła go ostatecznie przed buldożerem.

Dzięki Środowiskowej Komisji Klubów Uczelnianych my, studenci z zarządów klubów uczelnianych AZS-u, tworzyliśmy zgrane grono. Wspomniane szkolenia w Piasecznie czy Rogóźnie integrowały nas i jeszcze bardziej się zaprzyjaźnialiśmy. Wprawdzie okolica i przyroda nie nastrajały do poważnych debat, ale mimo to wiele ustaleń zapadłych na tych naradach miało istotny wpływ na funkcjonowanie AZS-u w naszym środowisku w ciągu całego roku akademickiego.

Drugą moją „szkołą AZS” były obozy CKKU, które odbywały się w ośrodku Zarządu Głównego AZS w Wilkasach. CKKU, w azetesowskim slangu nazywana „cesarsko-królewską komisją klubów uczelnianych”, była doradczym organem ZG AZS w sprawach upowszechniania sportu, systemów współzawodnictwa międzyuczelnianego oraz relacji na linii AZS-SWFiS. Tam dzięki starszym kolegom poznawałem historię AZS-u, ale przede wszystkim poznawałem ich samych jako wspaniałych ludzi. Byliśmy na tyle zżyci z koleżankami i kolegami ze wszystkich środowisk, że przyjaźnie i znajomości wówczas zawarte przetrwały do dzisiaj. Moje doświadczenie i efekty kierowania klubem uczelnianym zostały dostrzeżone i stałem się członkiem CKKU. Obowiązkiem członków tej komisji był udział w szkoleniach akademickich organizatorów sportu, tzn. koleżanek i kolegów rozpoczynających przygodę z AZS-em. Jedno z takich szkoleń odbywało się w Mielnie. Do Mielna przemieszczałem się z Wilkasów razem z trzyletnią córką. Pociąg zwany „włóczęgą północy” – z Olsztyna do Szczecina – zatrzymywał się na każdej stacji. Były to czasy, kiedy w pociągach trudno było znaleźć nawet stojące miejsce. Wtedy też obowiązkowa była służba wojskowa, a odejście do cywila któregoś rocznika tworzyło barwną, choć nie zawsze bezpieczną mieszaninę różnych aktywności podczas podróży, a trzeba też dodać, iż w tamtych czasach w pociągach sprzedawano piwo.

Tego wszystkiego zazналиśmy na trasie Wilkasy (nadal jest taki przystanek kolejowy) – Koszalin. Podróż trwała naście godzin i kiedy nad ranem wysiedliśmy w Koszalinie, zdecydowałem się na rozrzutność i odrobinę luksusu, głównie ze względu na dziecko. Taksówkarz był miły, zapytał skąd przyjechaliśmy. Nawiązała się rozmowa, w której nieopatrznie powiedziałem, że jesteśmy z Lublina. Przestało być miło. „To z Lublina przysłałście tego...!” Na myśli, ale i na języku szofer miał I Sekretarza KW PZPR Władysława Kozdrę, którego partia rzuciła na nowy odcinek do Koszalina. Ze względów bezpieczeństwa powinienem był integrować się z taksjarem, ale ze względów finansowych bliższy był mi Kozdra, który w jedną strefę taxi połączył Koszalin i Mielno.

Może moja aparycja i niewątpliwa elokwencja, a może efekty rywalizacji KU AZS WSInż. w Mistrzostwach Polski Typów Uczelni sprawiły, że zostałem zauważony i zgodnie z ówczesnym trendem pełnej reprezentatywności w ciałach kolegialnych związku, ja, student Zimny, zostałem członkiem Prezydium ZG AZS – jak to się wtedy mówiło, „z klucza”. Jako młody, (podobno) dobrze zapowiadający się działacz, po jednym z posiedzeń zarządów dostałem zaszczytu dzielenia hotelowego pokoju, ze znakomitą postacią naszego związku, trenerem Zygmuntem Olesiewiczem.

Okolo godziny 23 pan Zygmunt wydał dyspozycję: „Śpimy!”. Potem zgasił światło, położył się i zaczął głośno oddychać, co niektórzy nazywają chrapaniem. Ta łagodna nazwa nijak nie przystawała do dźwięków wydawanych przez pana Zygmunta. Znałem na to kilka sposobów – podobne dźwięki eliminujące, a wśród nich: cmokanie, gwizdanie, klaskanie. Skutkowały na chwilę, ale po kolejnej serii cisza stała się dłuższa. Wtedy usłyszałem kroki i klik zapalanego światła. Nade mną stał pan Zygmunt i zwrócił mi delikatnie uwagę: „Młody, zobacz, która godzina, trzeba spać, a ty klaszczesz, cmokasz, gwizdzesz – śpij do cholery!”. Zaraz potem zgasił światło, położył się i natychmiast ponownie zaczął „głośno oddychać”. Zdrzemnąłem się na korytarzu, a rano byłem obiektem drwin połączonych z udawanym współczuciem.

Byłoby nieuczciwością, gdybym nie przypomniał, że wszystko, co działo się w życiu społecznym, także w sporcie akademickim i na samych studiach, silnie związane było wówczas z polityką. Ja, którego ojciec był oficerem Ludowego Wojska Polskiego, a matka związkową aktywistką, jako dziecko dorastałem wśród obrońców i tzw. utrwalaczy władzy ludowej. Szczerze przyznam, że nie miałem wówczas żadnych obiekcji



Początki żeglarskiej fascynacji Witka Zimnego. Ośrodek AZS Wilkasy nad Niegocinem, lata 80. Ze zbiorów Witolda Zimnego

ani refleksji, co do słuszności czy jej braku w działaniach partii i rządu. Apel Edwarda Gierka ukryty w pytaniu „Pomożecie?” w mojej nastoletniej głowie spotkał się z natychmiastową akceptacją. Na szczęście obeszło się bez konkretnych czynów. Moje późniejsze polityczne wybory były pozbawione wewnętrznych dylematów. Na studiach zostałem członkiem PZPR, a później, w konsekwencji (może dalej na zasadzie „student z klucza”) członkiem Komitetu Uczelnianego PZPR. Dla mnie ważny był jednak znamieny dla epoki mechanizm: ponieważ sekretarzem komitetu był kierownik SWFiS, pozycja sportu na uczelni była, z tego właśnie powodu, pozytywnie ugruntowana.

Były także ciekawe momenty wynikające z tej ingerencji polityki w sport. W 1977 r. moja uczelnia otrzymała status akademicki i zaszczytny tytuł Politechniki Lubelskiej. To niewątpliwie ważne wydarzenie wymusiło szereg działań wśród przygotowujących tę uroczystość. Jako prezes KU AZS i członek partii zostałem w nie zaangażowany. Otóż miałem udostępnić klubowe pomieszczenia dla utrzymania łączności między członkami ochrony premiera Piotra Jaroszewicza, który miał zaszczyścić uroczystość swoją obecnością. Nie było z tym problemu, bo dowódca tych służb poprosił tylko, abym był z nimi choćby dla ochrony zgromadzonego tu sporego majątku. Inne zadanie chciał mi powierzyć prorektor Kazimierz Szabelski, odpowiedzialny za uroczystość w auli. Mówił: „Panie Kolego...” (tu trzeba nadmienić, że zwrot „Panie Kolego” zawsze zwiastował jakieś kłopoty) „Panie Kolego Zimny, pan jesteś sportowiec, musi pan mieć donośny głos. Dobrze by było, jakby po wejściu za stół prezydialny premiera Jaroszewicza, krzyknął pan: Młodzież z Partią! Młodzież z Partią!”. Udało mi się przekonać profesora, że wprawdzie może się to spodobać premierowi, ale reakcja studentów raczej nie będzie odpowiadała gustom szefa rządu. Przyznał mi rację, choć bez wielkiego przekonania, i chyba postanowił trzymać się pierwotnego pomysłu. Całkowicie jednak zaniechał go dopiero, gdy powiedziałem, że „robię w ochronie” pana premiera. Jaroszewicz po uroczystościach miał zjeść obiad w restauracji Unia, ale pominął ten punkt i pognął do Warszawy, o czym dowiedzieliśmy się w klubowych pomieszczeniach ze sprzętem wewnętrznej łączności należącym do „borowików”. Kiedy padły słowa: „Opuścił województwo”, na twarzach ochrony pojawiła się ulga i niebezpieczna nadzieja, że część nietkniętego przecież jedzenia z przyjęcia trafi do nas. Tak też się stało.

W tym samym, 1977 r. miało miejsce jeszcze inne ważne dla mnie wydarzenie – Uniwersjada w Sofii. Ważne dlatego, że wygłaszałem tam referat o sporcie na polskich uczelniach. Działo się to na konferencji CESU

(Commission pour l'Étude du Sport Universitaire), która stanowiła forum wymiany doświadczeń na temat sportu uniwersyteckiego i była integralną częścią prac FISU (Fédération Internationale du Sport Universitaire, czyli Międzynarodowej Federacji Sportu Studenckiego). Zgodnie z panującymi zasadami tekst swojego wystąpienia wysłałem oczywiście wcześniej. W sposób jak najpełniejszy chciałem przedstawić dokonania AZS-u w zakresie będącym tematem konferencji. Organizatorzy uprzejmie poprosili o skrócenie wystąpienia do 10 minut. Tak też się stało. Referat wygłosiłem po rosyjsku, bo to jeden z języków obowiązujący w FISU. Ponieważ byłem oficjелеm, to tak jak i pozostałej części ekipy należał mi się strój reprezentacyjny. Otrzymałem więc papier z wyrysowanym wykrojem oraz dwie sztuki materiału o fakturze jeansu: jedna biała – na spodnie, druga w kolorze indygo, choć dla mnie był to po prostu niebieski. Nie pamiętam, czy były też nici. Umiejętności mojej mamy okazały się wtedy bezcenne. Nawet nie próbuję wyobrażać sobie reakcji dzisiejszych oficjeli czy sportowców na taki sposób ich ubierania...

Ważnym elementem wszystkich sportowych imprez jest ceremonia otwarcia, po której gospodarz zwykle wydaje bankiet dla gości. Minister sportu Bułgarii także to zrobił. Okrągły i sporych rozmiarów szwedzki stół był pełen smakołyków. Generalnie dla nas Polaków taki stół nie powinien być nowiną ani atrakcją, bo to Jan Sobiepan Zamojski wymyślił ten sposób serwowania potraw. Ponieważ konsumpcję wypadało zacząć po toaście gospodarza, goście w małych kóteczkach to zbliżali się do stołu, to znów oddalali. Z góry pewnie wyglądało to jak zmieniający się słonecznik. Kiedy bułgarski odpowiednik naszego Bolesława Kapitana dał znak, że już można, byłem na zewnątrz i chwilę zajęło mi przedarcie się do stołu. Skonstatowałem, że był to bezsensowny wysiłek, gdy zobaczyłem to, co pozostało. Jednak szczęście mnie nie opuściło. Okazało się bowiem, że salę bankietową okalały wnęki, a w jednej z nich był nasz prezes – Janusz Górski – w rękach miał salaterkę z kawiozem i kiwał w moją stronę. W przeciwieństwie do mnie był tuż przy stole w chwili, gdy zaczęła się „grabież”. Powiedział: „Po prostu zaakceptowałem zasady”. Teraz zaczęła się prawdziwa międzynarodowa integracja. Następował handel wymienny. Moim zadaniem było dokonywanie transakcji. Jako że mieliśmy bardzo wartościowy towar (kawior), nasza nisza szybko zapełniła się różnymi smakołykami, których na stole nie widziałem. Pokochałem *high life*...

Zgodnie z zasadami nieistniejącej już partii, studenckie organizacje winny ściśle współpracować w wychowaniu młodzieży studenckiej. Służyć miało temu między innymi personalne powiązanie AZS-u i Socjalistycznego

Związku Studentów Polskich. Takim kulminacyjnym punktem była Krajowa Narada Aktywu Sportowego AZS – SZSP, którą poprzedziły zebrania na szczeblu wojewódzkim. Nie mogę sobie przypomnieć żadnych konkretnych z tych narad poza faktem, że na kordialne pytanie kierownika jednego z wydziałów Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Włodzimierza Tieturki: „Co tam u ciebie?”, odpowiedziałem równie bezpośrednio: „Dobrze. A u ciebie?”. Moje zachowanie nie wywołało żadnej reakcji u towarzysza, ale za to spowodowało błąd szefa wojewódzkiej administracji sportowej, dyrektora Aleksandra Łuckiewicza. Próba reprimendy w stosunku do mnie i wyrazem jego irytacji były znamienne słowa: „Jak można tak zwracać się do towarzysza z KW”.

Muszę wspomnieć jeszcze o jednym moim zainteresowaniu, które zaszczerpił we mnie Jan Wójtowicz, lektor język rosyjskiego. Był aktywnym członkiem stowarzyszenia „Barwa i Broń” (mam nadzieję, że nie przekreślam nazwy). Wójtowicz zainteresował mnie historią i literaturą rosyjską. Poza tym był fanem Fiodora Szalapina, rosyjskiego śpiewaka. Dzięki niemu – Wójtowiczowi, nie Szalapinowi – nauczyłem się rosyjskiego. Ta umiejętność bardzo pomogła mi w późniejszym życiu.

Na trzecim roku studiów w każdy czwartek mieliśmy „wojsko”, czyli przez sześć godzin przygotowywaliśmy się „na sucho” do odparcia ataku imperialistycznego wroga. Był to okres jakichś reform, bo wojowaliśmy w cywilnych ciuchach za pulpitemi ławek, a nie, jak nasi starsi koledzy, na poligonach. Nam i to udogodnienie wydawało się za małe i kombinowaliśmy, jak się w ogóle wymigać z tych niezwykle nudnych zajęć. Mnie przychodziło to łatwo, gdyż miałem zaprzyjaźnioną sekretarkę w Komitecie Uczelnianym Partii. Wiele razy prosiłem ją, aby zadzwoniła do Studium Wojskowego z informacją, że jestem wzywany do Komitetu. Po takim telefonie byłem wręcz wynoszony z zajęć. Najlepszym sposobem na zbiorowe wymigiwanie się było natomiast honorowe oddawanie krwi. Za „ćwiartkę” krwi należał się usprawiedliwiony dzień wolny od zajęć, tabliczka czekolady i bon na obiad do restauracji PZMot. Całą operację niektórzy opłacili zdrowiem. Nie żeby samo oddanie krwi było dla nich niebezpieczne. Wykańczała ich raczej uprzejmość kelnerów, którzy bon obiadowy zamieniali na winiak na jarzębiaku czy jarzębiak na winiaku. To właśnie zamiana płynów w układzie krwionośnym przynosiła te fatalne skutki.

Zbliżał się koniec studiów i należało wybrać temat pracy dyplomowej. Byłem pochłonięty innymi sprawami i w konsekwencji miałem ograniczony wybór. Szczęśliwie, zarówno temat pracy, jak i promotor bardzo mi podpasowali. Temat brzmiał: „Zasilanie odwadniania Kopalni Lubelskiego

Zagłębia Węglowego Bogdanka” i wymuszał na autorze zaprojektowanie doboru pomp odwadniających kopalnię oraz całego systemu zasilania elektrycznego tych urządzeń. Promotorem został Mieczysław Żuk, pracownik biura projektowego kopalni, praktyk. Zbierając materiały, jeździłem do Katowic, Krakowa, do instytucji nadzorujących polskie górnictwo. W efekcie, w 1978 r. zakończyłem studia, pomyślnie zdając końcowy egzamin. Jednak i podczas egzaminu był pewien dramatyczny moment. Kiedy opowiadałem o zaprojektowanych rozwiązaniach technicznych, sekretarz komisji wniósł na salę i wręczył wszystkim członkom komisji egzemplarze „Kurier Lubelskiego”. Jako że moja wypowiedź trafiała w próżnię, bo członkowie komisji zajęli się czytaniem, ja – po trosze urażony – zamilkłem. Po pewnym czasie przewodniczący komisji przerwał krępującą (przede wszystkim dla mnie) ciszę, prosząc, abym przeczytał nagłówek artykułu. Wielkimi literami było napisane: „Zalało szyb K-2 Bogdanki” (dodam: mój szyb!). Ze strony komisji padło: „I co pan na to?”. Kiedy dziarsko odpowiedziałem, że „wybrali inne rozwiązanie niż proponowałem”, szybko zakończono egzamin i zostałem magistrem inżynierem elektrykiem.



Maria Goetz-Kwapich

Zawodniczka

W 1974 r. rozpoczęłam studia na Wyższej Szkole Inżynierskiej, która w trakcie mojej nauki przekształciła się w Politechnikę Lubelską. Studia ukończyłam w 1979 r. Sport zawsze był moją pasją, w liceum grałam w koszykówkę w środowiskowym AZS-ie. Na studiach, już na pierwszych zajęciach z wychowania fizycznego, odbywających się na stadionie Lublinianki, pojawił się ówczesny prezes Klubu Uczelnianego AZS WSInż., Dariusz Dudak, i opowiedział nam o działalności klubu, szerokiej ofercie sekcji oraz korzyściach wynikających z przynależności do tej organizacji. Ulegając jego namowom, wkrótce zostałam członkinią klubu.

W tamtym czasie na naszej uczelni nie było wielu dziewcząt, zwłaszcza takich, które garnęłyby się do sportu i chciałyby reprezentować uniwersytet na zawodach. Wkrótce, dzięki sprawności fizycznej, którą zawdzięczałam kilkuletnim treningom koszykarskim, znalazłam się w różnych sekcjach i reprezentowałam WSInż., a później Politechnikę Lubelską, na mistrzostwach Lublina oraz na zawodach ogólnopolskich w piłce siatkowej, koszykówce, lekkoatletyce i narciarstwie alpejskim.

Do udziału w zawodach zachęcał nas Witold Stępniaś, kierownik Studium Wychowania Fizycznego. Przypominam sobie sytuację w szatni, po meczu koszykówki z dziewczynami z UMCS-u. Pan Stępniaś zaproponował nam wtedy, byśmy szybko wzięły prysznic i się ubrały, a on zawiezie nas na zawody w tenisie stołowym. Gdy zaprotestowałyśmy, tłumacząc, że nie potrafimy grać w ping-ponga i jesteśmy zmęczone, stwierdził, że to nie problem – wystarczy, że stanjemy przy stołach z raketką w ręku, a punkty dla uczelni będą zdobyte.

Pamiętam też, że brałam udział w zawodach lekkoatletycznych, bez specjalnego przygotowania, opierając się jedynie na swojej sprawności i intuicyjnym podejściu do przydzielonych mi konkurencji – skoku w dal



Reprezentacja siatkarek AZS WSInż. podczas Akademickich Mistrzostw Polski, druga z lewej Maria Goetz, Opole, 1977 r. Ze zbiorów Muzeum PL



Uroczyste podsumowanie sezonu 1979/1980, od lewej: prezes klubu Witold Stępniak, Anna Stępniak, Maria Goetz. Ze zbiorów Muzeum PL

i wzwyż. Reprezentowałam uczelnię również w mistrzostwach Lublina w narciarstwie alpejskim, mając za sobą jedynie udział w pierwszym w życiu obozie narciarskim w Szczyrku. Jako początkująca narciarka, zjeżdżając rozpaczliwym pługiem, o dziwo wygrałam te zawody, ponieważ wszystkie doświadczone zawodniczki, takie jak m.in. Hansia (Anna Stępiak) czy Anka Majerczyk z UMCS-u, wypadły z trasy. Ja, posuwając się z prędkością żółwia, pokonałam wszystkie bramki, zdobywając pierwsze miejsce i złoty medal. Kolejne obozy w Szczyrku, pod okiem nieocenionej pani Danuty Welcz, pozwoliły mi opanować umiejętności narciarskie na całkiem niezłym poziomie, a miłość do nart, zaszczerpiona podczas wyjazdów klubowych, pozostała mi do dziś.

Największym sukcesem w mojej sportowej karierze na Politechnice było to, że nasz zespół zajął III miejsce i zdobył brązowy medal w Mistrzostwach Polski Politechnik w koszykówce, które odbyły się w Lublinie w 1977 r. Trzon drużyny stanowiły wówczas: Małgorzata Siewruk, Izabela Przychodzeń, Hanna Bamburska, Marta Widomska oraz ja.

Reprezentowanie uczelni na zawodach i przynależność do klubu wiązały się również z niezapomnianymi wyjazdami szkoleniowo-wypoczynkowymi zarówno krajowymi, jak i zagranicznymi. Szczególnie wspominam



Koszykarki AZS PL razem z trenerem Grzegorzem Stefanowskim, w górnym rzędzie druga z lewej Maria Goetz, lata 70. Ze zbiorów Muzeum PL

wyjazdy do Szczyrku, które odbywały się dwa razy w roku – w przerwie świątecznej i międzysemestralnej. Już sama podróż autokarem dostarczała wielu wrażeń dzięki pamiętnym występom wokalnno-słownym nieżyjącego już Marka Korniaaka, jego brata Wicka, Zbyszka Friedmana i Witka Zimnego. Było zawsze bardzo głośno i wesoło. W Szczyrku świetnie bawiliśmy się w świetlicy u pani Hołdysowej (ach, te sylwestry i minidyskoteki).

Bardzo atrakcyjne były również wyjazdy zagraniczne, szczególnie w czasach komunizmu, kiedy niewielu z nas miało możliwość zwiedzania, nawet państw ościennych. Dzięki KU PL w ramach wymiany międzyuczelnianej odwiedziłam Weimar, Miskolc i Martin, co było udanym doświadczeniem zarówno pod względem turystycznym, jak i towarzyskim.

Wspominając te wydarzenia, uświadomiłam sobie, jak dużą i pozytywną rolę odegrał sport w moim życiu studenckim. Dał mi szansę poznania wielu ciekawych miejsc i ludzi. Wracanie pamięcią do tych czasów oraz oglądanie zdjęć z tamtych lat wywołuje we mnie wzruszenie i nostalgię za minionymi czasami.



Grupa studentów AZS PL podczas zgrupowania, Szczyrk, 2. poł. lat 70. Ze zbiorów Marii Goetz



Izabela Szymanek

(z domu Przychodzeń)

Zawodniczka

Kiedy w 1974 r. wraz z kilkoma koleżankami grającymi w koszykówkę rozpoczęłyśmy studia na WSInż. w Lublinie, okazało się, że ta uczelnia potrzebowała wysportowanych dziewczyn jak kania dżdżu.

Wiadomo było, że stworzymy sekcję koszykówki i będziemy przez kilka lat grać w rozgrywkach międzyuczelnianych, ale to, że weźmiemy udział jako gospodarze (z kolegami koszykarzami) w Mistrzostwach Polski Politechnik, nawet nam się nie śniło. Zdobyłyśmy wtedy brązowy medal, a nasi koledzy złoto, co było wspaniałym zwieńczeniem naszego reprezentowania uczelni w koszykówce.



Studenci i studentki AZS WSInż. podczas pochodu pierwszomajowego na Krakowskim Przedmieściu, z lewej Izabela Szymanek, 1976 r. Ze zbiorów Izabeli Szymanek

Ale przez tych pięć lat nie ograniczałyśmy się jedynie do koszykówki. Kadra z Witoldem Stępnikiem na czele uważała, że można śmiało wykorzystać nasze umiejętności w innych dyscyplinach. Startowałyśmy więc w zawodach siatkówki, lekkoatletyki i narciarstwa, jedynie na panczeny nie dałyśmy się namówić.

Jeździliśmy na obozy letnie (m.in. do Weimaru i Miszkolca) oraz zimowe – do Szczyrku. To był piękny czas. Mój syn, Dominik Szymanek, świetny koszykarz, studiujący w latach 2000–2005, nie miał już wyjazdów sponsorowanych przez uczelnię. Reprezentanci uniwersytetu sami musieli płacić za wszystkie wyprawy i obozy sportowe. I tak chyba już zostało.

Chętnie dorzucę tu jeszcze jedno – bardziej prywatne – wspomnienie. Nasze Studium Wychowania Fizycznego i Sportu lubiło werbować co bardziej wysportowane studentki do udziału w treningach różnych dyscyplin sportowych. W ten sposób zostałam dokooptowana do drużyny siatkarek. Czekał nas wyjazd do Opola, więc trenowałyśmy ostro. Któregoś razu obok trenera Stanisława Palucha pojawił się pewien nieznany nam chłopak.

W czasie meczu obcinał mnie wzrokiem tak bardzo, że mnie zdekoncentrował i zaczęłam psuć piłki. Trener zdjął mnie z boiska, posadził na



Drużyna siatkarek AZS z trenerem Stanisławem Paluchem i Witoldem Zimnym, prezesem klubu, podczas wyjazdu na mistrzostwa WSiNż., 2. poł. lat 70. Ze zbiorów Izabeli Szymanek



Lubelskie Uczelniane Mistrzostwa Narciarskie, Szczyrk, koniec lat 70. Ze zbiorów Izabeli Szymanek

ławce i przedstawił mi tego chłopaka – Marka – jako nowego kierownika drużyny. Ten chłopak to, już od 46 lat, mój mąż – Marek Szymanek, wtedy reprezentant PL w koszykówce. To tyle w temacie tego, jak sport na Politechnice Lubelskiej zbliżał ludzi.

A teraz trochę wspomnień dotyczących narciarstwa na PL. Już od pierwszego roku studiów, tak jak inni sportowcy lub działacze sportowi, mogłam jeździć na obozy narciarskie do Szczyrku, które były organizowane przez SWF z kierownikiem Stępnikiem na czele. Całą wyprawę trzeba było zacząć od wypożyczenia sobie sprzętu z wypożyczalni, gdzie rządziła słynna pani Stolarzowa. Kiedy już udało się skompletować sprzęt, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia należało zapakować się do autokaru pod Chatką Żaka, skąd ruszaliśmy do Szczyrku. Szybko trafiłam do grupy zaawansowanej. Narciarstwo zjazdowe stało się moją pasją do tego stopnia, że na którymś obozie byłam gotowa jeździć na nartach dwa razy dziennie. Za drugim razem zawsze przy świetle latarni, nie bojąc się, że wyłożę się na licznych wtedy muldach.

Zwieńczeniem wyczynów w Szczyrku był start w Uczelnianych Mistrzostwach Narciarskich Lublina w Krasnobrodzie, gdzie trzeba było zjechać slalomem przez ustawione na stoku bramki. Zaraz na początku był bardzo ostry zakręt, na którym większość z nas wypadała z trasy. Tak było z Hanią (Anną Stępnia), najlepszą wtedy naszą narciarką, tak też było ze mną. Zawody wygrała Maria Goetz, która wolno, ale skutecznie dotarła do mety.

Po latach przerwy, podczas których skupiałam się na sprawach rodzinnych, wróciłam do nart, chociaż były to już zupełnie inne narty, bo carvingowe. Staram się każdej zimy gdzieś pojeździć. Ostatnio byłam w Kalnicy w Bieszczadach. Kiedyś wydawało mi się, że w moim wieku (w tym roku kończę 70 lat) nie będzie to już możliwe. Myślę, że uprawianie sportu, najpierw na uczelni, a potem indywidualnie, po latach przynosi pozytywne rezultaty. Aktywność fizyczną serdecznie polecam obecnym studentom.



Michał Kwiecień

Zawodnik

Od dziecka lubiłem rzucać wszystkim, co mi wpadło w ręce, najchętniej kamieniami. Gdy miałem 10 lat, zorganizowałem u mego ojca (który był dyrektorem PGR-u) konkurs rzutu patykiem leszczynowym, który stanowił namiastkę oszczepu. Startowało 10 moich kolegów – konkurs wygrałem ja. W wieku lat 12 dorobiłem się własnego oszczepu, który kupiłem za swoje oszczędności w sklepie sportowym, i sam zacząłem trenować na pobliskim boisku. Pewnego popołudnia po lekcjach rzucaliśmy oszczepem między sobą z kolegą z bloku z odległości około 30 metrów. W pewnym momencie, po moim rzucie, kolega stracił orientację i oszczep, odbiwszy się od podłoża, przebił jego łydkę. Spowodowało to jego dwumiesięczną nieobecność w szkole.

W 1971 r. zacząłem naukę w III Liceum Ogólnokształcącym im. Unii Lubelskiej. Mój nauczyciel wychowania fizycznego, widząc moje uzdolnienia w kierunku rzutów, zaprowadził mnie do trenera sekcji rzutu oszczepem w KS Start w Lublinie, Stefana Jędrejka. Trener spojrzał na mnie i powiedział, że w sekcji jest za dużo zawodników i nie potrzebuje nowych. Jeden z moich kolegów z podstawówki doradził mi, abym spróbował wystartować w zawodach „Pierwszy krok sportowy”, organizowanych przez KS Start. Udałem się tam w piątek po południu i rzuciłem na odległość 49,8 m, bijąc na głowę moich konkurentów, mimo że startowałem w zwykłych trampkach. Trener Jędrejek, widząc moje rzuty, podszedł do mnie i zaproponował mi dołączenie do sekcji.

Treningi były bardzo męczące, ćwiczyłem siedem razy w tygodniu (trzy razy siłownia, trzy razy technika na stadionie, a w niedzielę szybkość i skoczność w Parku Ludowym). Jeszcze w tym samym roku zdobyłem tytuł Mistrza Okręgu Młodzików. W następnym sezonie przeszedłem do juniorów i zmieniłem oszczep na cięższy, 800-gramowy. Po roku pojawiły

się u mnie problemy z kontuzjami, które spowodowały, że moje sukcesy nie były już tak spektakularne. W maturalnej klasie (1974 r.) zacząłem grać w brydża sportowego. Wciągnęło mnie to i zabierało coraz więcej czasu, więc zakończyłem treningi w rzucie oszczepem.

W 1975 r. dostałem się na studia na Politechnikę Lubelską (wówczas jeszcze Wyższą Szkołę Inżynierską) i zostałem etatowym reprezentantem w rzucie oszczepem na wszelkiego rodzaju zawodach uczelnianych (czasami występowałem jeszcze jako zapchajdziura w dyscyplinie pchnięcia kulą). Dzięki temu zostałem członkiem AZS-u. Moje największe osiągnięcie sportowe w barwach uczelni to zdobycie srebrnego medalu w rzucie oszczepem na Akademickich Mistrzostwach Polski w Łodzi w 1981 r. (wówczas od 7 lat już nie trenowałem). Pamiętam, że przed zawodami moja forma fizyczna pozostawiała wiele do życzenia, nie zrobiłem nawet porządnej rozgrzewki, postanowiłem zaskoczyć przeciwników „świeżością”. W pierwszej próbie rzuciłem 63,5 m i prowadziłem do ostatniej, szóstej serii rzutów, w której ten wynik został poprawiony przez kolegę z innej uczelni. Ale rezultat mojego rzutu był i tak bardzo dobry, zważywszy na kompletny brak przygotowania.

W tamtym czasie członkowie AZS-u mogli dwa razy w roku wyjeżdżać na obozy narciarskie do Szczyrku, gdzie były najlepsze warunki w kraju do jazdy. Dzięki temu nauczyłem się dobrze jeździć na nartach i sport ten z upodobaniem uprawiam do dziś. W czerwcu 1981 r. obroniłem pracę magisterską, otrzymałem tytuł magistra inżyniera i niestety musiałem zacząć pracę. Wydawało mi się, że złote lata się skończyły. Jednocześnie moja kariera brydżowa przyspieszyła i w czerwcu 1982 r. w Montecatini Terme we Włoszech zdobyłem tytuł Drużynowego Mistrza Europy w brydżu w kategorii juniorów. Od tamtej pory bardzo często wyjeżdżałem na turnieje i mistrzostwa brydżowe, co wiązało się z częstą nieobecnością w pracy. W 1986 r. postanowiłem dorobić sobie na Zachodzie i udałem się do Belgii, gdzie mój przyjaciel Serge obiecał wprowadzić mnie do klubu brydżowego. Grano tam w brydża robowego na pieniądze. Serge znalazł mi dwóch wprowadzających, co było wymagane, aby tam grać, ale powiedział, że Polakom za dobrze tam idzie, więc może lepiej byłoby, gdybym udawał, że jestem Czechem. No cóż, przedstawiłem się jako Mihal z Brna i zacząłem zarabiać całkiem przyzwoite pieniądze, gdyż – jak się okazało – byli tam kompletni amatorzy. Niestety w klubie grali też Polacy ze starej emigracji, do których przyjechała przyjaciółka z Gdańska, która powiedziała im, że prędejką jest maharadzą niż ja jestem Czechem. Musiałem

się przyznać do kłamstwa, ale ponieważ byłem młody i sympatyczny, to członkowie klubu mi to wybaczyli.

Z klubem wiąże się jeszcze inna historyjka. Koleżanka załatwiła mi w Belgii pracę przy pakowaniu paczek do Polski (z czekoladą, kawą, pomarańczami itp.), pracowałem tam dwa dni i zarobiłem przez 20 godzin około 100 \$, co było równe moim pięciomiesięcznym zarobkom w Polsce. Byłem potem bardzo zmęczony i spałem 12 godzin. Następnego dnia udałem się do klubu, a ponieważ karta mi szła wyśmienicie, a przeciwnicy grali bardzo słabo, to przez trzy i pół godziny wygrałem 500\$. To spowodowało u mnie całkowitą niechęć do jakiegokolwiek innej pracy na Zachodzie.



Reprezentacja Polski seniorów na najwyższym stopniu podium Drużynowych Mistrzostw Świata w Brydżu Sportowym, Salsomaggiore Terme, 2022 r., Michał Kwiecień pierwszy od lewej. Ze zbiorów Michała Kwietnia

Siłą rzeczy, zamiast robić karierę zawodową, zacząłem robić karierę w brydżu sportowym. Chociaż nie do końca tak to wyglądało. Dzięki znajomościom brydżowym w 1990 r. założyłem firmę, a w 1994 r. z moimi przyjaciółmi z Belgii założyliśmy *joint venture*, które zaczęło produkować różnego rodzaju artykuły gospodarstwa domowego. Firmę tę sprzedałem w 2005 r. i przeszedłem na „zawodowstwo” w brydżu.

Na pytanie, co robiłem w życiu, odpowiedziałbym, że chyba sporo. Mnóstwo czytałem, trochę trenowałem, prowadziłem dużą firmę, a przede wszystkim ciągle grałem w brydża. Poza tym mam liczne pasje, interesuję się historią, fizyką, geografią, polityką i muzyką klasyczną oraz filmową, jeżdżę na nartach i rowerze, a dla zabawy często rozwiązuję zadania matematyczne, najczęściej związane z analizą matematyczną.

Moim największym sukcesem sportowym było najprawdopodobniej zwycięstwo wraz z Jackiem Pszczołą w Mistrzostwach Świata Parami w Brydżu Sportowym w Lille w 1998 r., gdzie startowało 635 par zawodniczych.

W moim dorobku sportowym mam zwycięstwa w czterech Mistrzostwach Świata (lata 1998, 2018, 2021, 2022), czterech Mistrzostwach Europy, dziewięciu Drużynowych Mistrzostwach Polski i wiele innych. Mam również tytuły klasyfikacyjne w Polsce – arcymistrz światowy (2009) i na świecie – *world grand master* (2002).

Dzięki brydżowi odwiedziłem wszystkie kontynenty. Zamierzam grać jeszcze długo, na szczęście w mojej konkurencji nie ma limitów wiekowych.



Anna Hartfil

(z domu Stępnia)

Zawodniczka

Pozwolę sobie przybliżyć nie tylko moją AZS-owską historię, ale i mojego taty, Witolda Stępnia, który angażował się w sportową działalność społeczną. Razem z podobnymi mu zapaleńcami sportowymi utworzył organizację Zryw, która propagowała aktywność fizyczną wśród mieszkańców naszego miasta, a ucząc w Państwowych Szkołach Budownictwa, organizował dla uczniów obozy wędrowne po Tatrach i Bieszczadach. Był pasjonatem, społecznikiem i bardzo dobrym organizatorem.

Kiedy przy Wyższej Szkole Inżynierskiej powstało Studium Wychowania Fizycznego, mój tato został jego kierownikiem. Swoją pasją do sportu zarażał innych. Potrafił wzbudzać w studentach zainteresowanie różnymi rodzajami aktywności fizycznej, a także zaangażować ich do działalności na rzecz Klubu Uczelnianego AZS. Na przykład długoletni prezes KU WSInż. i KU PL, potem AZS-u Zarządu Środowiskowego, a następnie Zarządu Głównego AZS, obecnie Członek Honorowy ZG AZS – Witold Zimny – został „kupiony” za znaczek AZS-u, który dał mu tato. Potem na współpracę w KU AZS Witek namówił także kolegę z roku – Andrzeja Pecio.

Poza tym mój tato pojawiał się osobiście na pierwszych zajęciach sportowych studentów I roku i namawiał ich do działalności oraz uczestnictwa w różnych sekcjach. Często nie były ważne ich umiejętności. Wystarczyło namówić sprawniejszych studentów do startu w zupełnie obcych im dyscyplinach, np. lekkoatletyce, tenisie stołowym czy jeździe szybkiej na lodzie. Dzięki temu nasza uczelnia miała reprezentację na wszelkich zawodach.

Jako kierownik SWF, mój tato dbał bardzo o jego wizerunek na tle innych uczelni lubelskich. W związku z tym kupował nieosiągalny często dla innych sprzęt sportowy, wyposażał sale gimnastyczne i tworzył kolejne sekcje. Stosownie dobierał też personel studium, żeby mieć

specjalistów-trenerów z różnych dyscyplin. Z dużym zaangażowaniem organizował również obozy i wyjazdy sportowe, zarówno w kraju, jak i za granicą, np.: do Szczyrku, Koszyc, Miskolca, Weimaru itd., będąc prekursorem kontaktów sportowych z innymi uczelniami o podobnych profilach.

Tata tworzył też dobrą atmosferę wśród zawodników. Wiedzieli, że są dla niego ważni i że o nich zadba, „walcząc” niejednokrotnie z wykładowcami o ich wyniki w nauce. Jego zaangażowanie sprawiło, że wielu byłych sportowców po zakończeniu studiów kontynuowało amatorskie uprawianie sportu.

Będąc społecznikiem i zapaleńcem, mój tato, dla którego nie istniały przeszkody nie do pokonania, po wielu latach uprawiania sporów, pertraktacji i negocjacji z władzami uczelni i miasta, postawił na swoim i zrealizował projekt budowy nowej hali sportowej SWF PL.

Pochodząc z bardzo usportowionej rodziny, od najmłodszych lat miałam kontakt z różnymi dyscyplinami sportu – amatorsko lub uczestnicząc w rywalizacjach międzyszkolnych (sanki, łyżwy, gimnastyka artystyczna, koszykówka, siatkówka, narciarstwo).

W 1973 r. podjęłam studia na WSiNż. w Lublinie i zapisałam się do KU AZS. Trenowałam wtedy w sekcji pływackiej, narciarskiej i siatkówki.



Siatkarki AZS WSiNż. na Mistrzostwach Polski Politechnik, Anna Stępniaś trzyma napis „Lublin”, AOS, 1977 r. Ze zbiorów Muzeum PL



W drodze do Opola na VII Akademickie Mistrzostwa Polski w siatkówce, w środku Anna Stępniak, 1974 r. Ze zbiorów Anny Hartfil (z domu Stępniak)

W związku z tym, że dziewcząt chętnych do startów w zawodach międzyuczelnianych było mało, pomimo niskiego wzrostu, grałam też w koszykówkę. Okazjonalnie startowałam również w zawodach jazdy szybkiej na lodzie. Odbывały się one najczęściej na jeziorze Rogóžno. Jazda na pancznach po chropowatej tafli jeziora było nie lada wyzwaniem, ale wraz z Alą Grudzień i Elżbietą Szymanek dzielnie reprezentowałyśmy barwy uczelni.

Grając w drużynie siatkówki, już w pierwszych latach zdobyłyśmy medal w Mistrzostwach Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik. Zawodniczkami, oprócz mnie, były między innymi: Ewa Górniak, Małgorzata Drzymulska, Joanna Kolasa-Puch, Elżbieta Szymanek, Jolanta Klauzer, Anna Kulik, Elżbieta Zalewska – niestety reszta nazwisk uleciała mi z pamięci.

Jednym z większych sukcesów w następnych latach było zdobycie przez naszą drużynę męską siatkarzy Mistrzostwa Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik w Opolu (1974 lub 1975 r.), a przez drużynę kobiecą – brązowego medalu. Było super!

Często też spotykaliśmy się w ramach współpracy międzyuczelnianej z niemieckimi sportowcami z WSI w Weimarze, gdzie rywalizowaliśmy



Zimowa spartakiada międzyuczelniana. Od lewej: Jarosław Grocholski, Danuta Wangrat, Witold Stępnia, Miśka Goetz, Małgorzata Gutowska, Elżbieta Zalewska, na końcu stoi Danuta Welcz. Siedzą: Tamara „Ziówna” Stolarz i Anna Stępnia, Szczyrk, 1976 r. Ze zbiorów Muzeum PL

w pływaniu i siatkówce mężczyzn. Były to spotkania towarzyskie, ale nie zabrakło w nich woli walki i determinacji, choć prywatnie często przyjaźniliśmy się ze sportowymi przeciwnikami.

Sezon zimowy, poczynając od drugiego dnia świąt, spędzaliśmy w Szczyrku, szlifując formę narciarską. Drugi obóz był w przerwie międzysemestralnej. Początkowo jeździły tam też inne lubelskie uczelnie, więc w Szczyrku odbywały się Mistrzostwa Uczelni Lublina. Wraz z Tamarą Anną Stolarz (zwaną Ziówną), Marią Goetz (Misia), Izabelą Przychodzeń, Hanną Bamburską (Bamburą) i Danutą Wangrat startowałyśmy w tych zawodach, zdobywając medale i nagrody. Do startów przygotowywaliśmy się podczas treningów ogólnorozwojowych pod okiem trenerów: Jerzego Maca, Jarosława Grocholskiego, Marka Kornia.

W Szczyrku, w domu wypoczynkowym „Maria”, odbywała się Gala Narciarstwa, podczas której ogłaszano wyniki zawodów. Miały tam też miejsce pamiętne sylwestry, chrzty narciarskie, zawody brydżowe oraz moc innych atrakcji, np. noworoczne narty Jurka Ostrowskiego (Termita), występy na stoku w piżamach albo „wizyty” w Myśliwskiej czy Żylicy. Na zakończenie każdego obozu, gdy wracaliśmy autokarem ze Szczyrku, obowiązkowy był przystanek nieopodal ronda w Radomiu. Miło to wspominać.

Warto też napomknąć, że SWF robiło co mogło, żeby wyposażyć swoich zawodników w jak najlepszy sprzęt. Byliśmy im za to bardzo wdzięczni. Sami też próbowaliśmy „ulepszać” nasze narty i buty. Do dziś pamiętam, jak wraz z Markiem Korniakiem i pomysłodawcą Pawłem Bobińskim, z arkuszy plexi produkowaliśmy „wysokie łyżki” do butów Alpina, aby móc jeździć tzw. 4. Rozgrzane miękkie plexi przykładano się do łydki i szybko wkładało do butów, aby się dobrze ukształtowało. Och, biedne były potem nasze kostki i pięty po długiej jeździe. Ale przeżyliśmy. No cóż, młodzieńcza fantazja nie zna granic.

Na przełomie 1978 i 1979 r. wyjechaliśmy z grupą zawodników na Słowację, do miejscowości Martin. Tam wraz z trenerem, który był jednocześnie przyjacielem i kolegą ze studiów mojego taty, Bolesławem Słupikiem i grupą studentów z bratniej uczelni w Koszycach, przygotowywaliśmy się do Mistrzostw Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Wyższych Szkół Morskich i Filii Politechnik w Zwardoniu. Podczas treningów musieliśmy się namęczyć, żeby dorównać zawodnikom słowackim, niektórzy z nich mieli większe umiejętności niż my i startowali nawet w międzynarodowych zawodach. Jednak nasza ambicja nie pozwalała nam pozostać w tyle i choć często na slalomie specjalnym wylatywaliśmy na pierwszych dziecięciu bramkach, to walczyliśmy!



Anna Stępnia i Jarosław Urban na balu sportowca podczas zimowej spartakiady w Krasnobrodzie, koniec lat 70. Ze zbiorów Anny Hartfil (z domu Stępnia)



Międzynarodowe zawody pływackie w Weimarze, od lewej: Jan Nastaj, Anna Stępiak, obok Maryla Borowiec, Jerzy Bruszewski koniec lat 70. Ze zbiorów Anny Hartfil (z domu Stępiak)

Miało to z pewnością wpływ na osiągane przez nas później dobre wyniki w mistrzostwach Polski. Udało mi się nawet zostać mistrzynią Polski w dwuboju alpejskim kobiet. Nasze sukcesy często znajdowały odbicie w wysokich miejscach zajmowanych przez kobiety w corocznym plebiscycie na najlepszego sportowca WSiNz., a następnie PL. Zajmowałyśmy miejsca od 4. do 9. Plebiscyt kończył się balem sportowca. Były to wspaniałe imprezy, długo wspomniane i komentowane, bo jako „brać sportowa” wszyscy się lubiliśmy, co gwarantowało bardzo udaną zabawę.

Kolejnym sportem, którym się zajmowałam, było pływanie, a pływałam stylem klasycznym (tzw. żabką) i motylkiem. Może nie odnosiliśmy w czasie moich studiów spektakularnych sukcesów, ale trenowaliśmy gorliwie. Od 6:30 pływałyśmy na AOS-ie wraz z zawodnikami Lublinianki. Naszym trenerem był wymagający Witold Ruzikowski. Przez rok lub dwa trenowali z nami starsi studenci, którzy byli naprawdę dobrzy w swoich konkurencjach: Maryla i Waldemar Borowiec, Czesław Grudzień, Bogdan Dobosz wraz z późniejszą małżonką, której imienia i nazwiska niestety nie pamiętam, oraz Jan Nastaj. Ze mną trenowali: Elżbieta Szymanek, Anna Matuniak, Jerzy Bruszewski, Andrzej Krempski.

Kolejną dyscypliną sportu, w której się udzielałam, była koszykówka. Co prawda z racji mojego wzrostu (156 cm), nie byłam najlepszą snajperką, ale starałam się pomóc w rozgrywaniu piłki. W 1977 r. w odbywających się w Lublinie MP Politechnik w koszykówce męska drużyna zdobyła po zaciętej walce złoty medal, a kobiety – brązowy. Najlepszymi zawodnikami turnieju zostali: Leszek Stasiak i Małgorzata Siewruk, reprezentujący barwy PL.

Tak więc studiowanie na PL, oprócz uzyskanej wiedzy, pozwoliło mi na rozwinięcie się w różnych dyscyplinach sportu. Działalność w KU AZS nauczyła mnie współpracy z różnymi ludźmi i instytucjami, dała także możliwość poznania wspaniałych działaczy i pasjonatów, co poskutkowało wieloma przyjaźniami. To był wspaniały okres, w którym pomimo dużej ilości nauki znalazł się czas na rewelacyjną i pożyteczną rozrywkę.



Zwycięskie drużyny Politechniki Lubelskiej (żeńska i męska) podczas Mistrzostw Polski Politechnik w Koszykówce. Od lewej w pierwszym rzędzie: Leszek Stasiak, Izabela Przychodzeń, Małgorzata Siewruk, Anna Stępiak, NN, Miśka Goetz, pozostałe cztery panie NN. Od lewej w drugim rzędzie: Marek Marzec, Adam Dąbrowski, Jan Teodorczyk, Zbigniew Łysakowski, Zbigniew Szalak, Andrzej Turski, Zbigniew Polkowski, Zbigniew Szczeńsiak, Przemysław Pawlik, Krzysztof Link, Grzegorz Stefanowski, Krzysztof Kołoszewski, Mirosław Caban, Lublin, 1979 r. Ze zbiorów Muzeum PL



Grzegorz Stefanowski

Trener

Moja przygoda z Klubem Uczelnianym AZS Politechniki Lubelskiej zaczęła się w 1975 r., kiedy zostałem przyjęty do pracy w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie. Prowadziłem sekcję pływacką kobiet i mężczyzn. Mimo bardzo wczesnych godzin treningów, zajęcia na AOS-ie cieszyły się dużym zainteresowaniem studentów. Brało w nich udział ok. 30 osób.

Czołowymi zawodnikami w latach 1975–1980 byli: Małgorzata Tyrała, Hanna Stępiak, Ewa Goleniewska, Eliza Hetman, Anna Matuniak, Elżbieta Szymanek, Halina Plewik, Jan Nastaj, Waldemar Borowiec, Bogdan Dobosz, Ziemowit Sokół, Czesław Grudzień, Andrzej Kremski, Jerzy Bruszewski, Piotr Szczegot, Mirosław Hynowski (brązowy medalista na 100 m stylem klasycznym w Gdyni w 1975 r., z czasem 1:19,3), Krzysztof Czech, Andrzej Serefko, Ryszard Kulicki, Andrzej Wypychowski, Krystian Klementowicz, Leszek Krzesiński.

Druga grupa to zawodnicy z lat 1980–1990: Zofia Głogowska (srebrna medalistka na 100 m stylem klasycznym w Gdańsku w 1983 r., z czasem 1:31,28), Barbara Kurek, Marzena Wojcieszyn, Beata Janocińska-Kowalska, Katarzyna Popiel, Robert Klin, Jarosław Klin (złoty medalista na 100 m stylem grzbietowym, z czasem 1:03,02 i brązowy medalista na 100 m stylem dowolnym w Gdańsku w 1983 r., z czasem 0:56,40), Zbigniew Tupaj, Maciej Musioł, Leszek Koper, Jarosław Polański, Robert Kościelniak.

Ostatni znaczący sukces na Mistrzostwach Polski Politechnik pływacy odnieśli w 2002 r. w Poznaniu, byli to: Tomasz Stefańczyk, Maciej Krzysiak, Robert Kościelniak, Jarosław Polański, Jakub Przysucha, Piotr Żyła, Ireneusz Walencik (brązowy medalista na 100 m stylem klasycznym, czas 1:12,11), Jarosław Mazurek (złoty medalista na 100 m stylem grzbietowym, z czasem 1:00,30 i złoty medalista na 50 m stylem grzbietowym, z wynikiem 0:28,03) oraz Michał Mikołajewski.

Wyżej wymienieni zawodnicy wielokrotnie zdobywali mistrzostwo Ligi Międzyuczelnianej Lublina.

W okresie 1975–2010 miałem w grupie pływaków na najwyższym poziomie – mistrzów Polski politechnik. Najlepszymi zawodnikami byli studenci pływający stylem grzbietowym. Byli to:

- Robert Klin – finalista MP w Gdańsku w 1983 r.,
- Jarosław Klin – złoty medalista na 100 m stylem grzbietowym (1:03,02) oraz brązowy medalista na 50 m stylem dowolnym (0:56,40) w Gdańsku w 1983 r.,
- Jarosław Mazurek – złoty medalista na 100 m stylem grzbietowym (1:00,30) oraz złoty medalista na 50 m stylem grzbietowym (0:28,03),
- Mateusz Całka – złoty medalista na 100 m stylem grzbietowym (0:58,48) i złoty medalista na 50 m stylem grzbietowym (0:27,96) w Katowicach w 2009 r. oraz złoty medalista na 100 m stylem grzbietowym (0:57,36) i złoty medalista na 50 m stylem grzbietowym (0:27,48) w Warszawie w 2010 r.

Sekcja koszykówki kobiet powstała w 1976 r., z mojej inicjatywy. Zawodniczkami były: Izabela Przychodzeń, Maria Goetz, Hanna Bamburska, Anna Stępiak, Małgorzata Siewruk i pracowniczka Politechniki Lubelskiej Danuta Kunc (panieńskie Kuchta – moja uczennica ze SP nr 13 w Lublinie). Na MP Politechnik w Lublinie w 1979 r. kobiety zdobyły brązowy medal, a mężczyźni – złoty. Koszykarze byli prowadzeni przez Adama Dąbrowskiego. Drużyna kobiet brała też udział w MP Politechnik w Gdańsku i Krakowie, nie odnosząc większych sukcesów. W roku 1980 zawieszono działalność sekcji w związku z małym zainteresowaniem studentek grą w koszykówkę.

Moją pasją na Politechnice Lubelskiej były także tenis ziemny i szkolenie studentów na obozach narciarskich. Dwa razy brałem udział w szkoleniu z tenisa ziemnego w Kortowie (miasteczko akademickie w Olsztynie) oraz dwa razy w Tresnej, w szkoleniu narciarskim organizowanym przez Ministerstwo Szkół Wyższych.

Sekcję tenisa ziemnego założyłem w roku 1988. Na zajęcia uczęszczali pracownicy i studenci uczelni. Spośród pracowników byli to: Marek Rogatko, Bogusław Szmygin, Zofia Kozyra, a spośród studentów: Zbigniew Moszczyński, Tomasz Wiraszka, Maciej Być, Anna Dragan, Renata Wójec, Sławomir Bałdyga, Paweł Perz, Mariusz Ciota, Konrad Gładosz, Monika Sak, Beata Majewska, Artur Pietrzyk, Michał Stańczyk – brązowy medalista w grze deblowej we Wrocławiu w 2001 r., razem z zawodnikiem UMCS-u Krzysztofem Michałowskim.

W dniach 25–28 maja 1989 r. sekcja pojechała do Warszawy na MP Politechnik, na których nie odniosła specjalnych sukcesów. W 2009 r., w dniach 8–10 maja w Kielcach drużyna w składzie: Bartłomiej Marzec, Przemysław Jakubiak – dzisiaj trener tenisa, Michał Matachowski, dostała się do finału we Wrocławiu, gdzie zdobyła IV miejsce.

Przez te wszystkie lata na zajęcia sekcji uczęszczali pasjonaci, którzy w przyszłości zostali propagatorami aktywnego wypoczynku.

Organizowanie obozów letnich, które obejmowały spływy kajakowe Czarną Hańczą, Brdą, Rospudą, były kolejnym rodzajem naszej działalności na rzecz studentów-sportowców PL. Zabieraliśmy na nie młodzież z sekcji sportowych, w nagrodę za zaangażowanie w sekcji. Spływy kajakowe cieszyły się wśród studentów wielką popularnością. Przepłynięcie kajakiem 50 km w ciągu 10 dni, z pełnym obciążeniem – z namiotami, wyżywieniem i rzeczami osobistymi – było nie lada wyczynem dla studenta. Rozbijanie



Bartłomiej Marzec i Przemysław Jakubiak na kortach UMCS, 2009 r. Ze zbiorów Muzeum PL

namiotów, przygotowywanie posiłków i wieczorne ogniska były natomiast dużą atrakcją i nagrodą za trud.

Sama organizacja spływu kajakowego w latach 70. i 80. była wielkim wyzwaniem. Po wiele produktów, takich jak konserwy mięsne, rybne, żółte sery zwracano się do Urzędu Miasta Lublina i on przydzielał nam pewną ilość tych produktów. Wydawano je w specjalnie wydzielonych sklepach na terenie miasta. Pływałem chyba ze wszystkimi pracownikami studium, ale na obozy jeździłem głównie z Arkadiuszem Łątką i Rysiem Stachaszewskim. To była nasza „trójka” sprawdzona w bojach – gotowanie: Stachaszewski, rozbijanie namiotów: Łątka, ustalanie trasy danego dnia: Stefanowski.

Spływy kajakowe obfitowały też w przygody i niespodzianki. Pewnego roku, kiedy przyjechaliśmy do Augustowa, pan z wypożyczalni kajaków oznajmił, że mimo złożonego przez uczelnię zamówienia, nie ma dla mnie kajaków – może mi dać jedynie dwa. Byłem w szoku. Mielśmy wyżywienie, komplet garnków do gotowania, no i dwudziestu zawiedzionych studentów – co robić? Zdecydowałem o rozbiciu namiotów nad Jeziorem Studzienicznym,



Letni spływ kajakowy studentów PL. Od lewej: Adam Górski, Grzegorz Stefanowski, Jolanta Zawadzka, Robert Fit, Czarna Hańcza, 1983 r. Ze zbiorów Muzeum PL

traktując to jako obóz stacjonarny. Wykorzystując otrzymane dwa kajaki, studenci codziennie robili rundki dookoła jeziora. Poza tym chodziliśmy na jagody i poziomki, a wieczorem siedzieliśmy przy ognisku, snując opowieści z tysiąca i jednej nocy. Pomimo komplikacji studenci miło wspominali ten pobyt nad jeziorem. Pływaliśmy Czarną Hańczę, odwiedzając jeziora: Białe, Studzieniczne, Serwy, Mikaszewo, Wigry, Białe Wigierskie oraz Wyspę Kamień na Wigrach. Na Czarnej Hańczy rozbijaliśmy namioty w Starym Folwarku, Maćkowej Rudzie, Wysokim Brzegu, Jałowym Rogu, Grzybku, Frąckach. Mieliśmy różne spotkania i przygody. Pewnego roku, gdy rozbiliśmy się na wysokim brzegu, podpłynęła grupa studentów AWF-u z Warszawy, z prowadzącym Bielczykiem – oszczepnikiem. Miałem z nimi duże problemy, gdyż za wszelką cenę chcieli poznać nasze dziewczyny. Byli tak agresywni, że zagroziłem im, że skontaktuję się z innym Bielczykiem, (ojcem prowadzącego), który był odpowiedzialny za spływy kajakowe na AWF-ie. Całą noc czuwałem przy naszych namiotach, na szczęście skoro świt studenci AWF-u popłynęli w dalszą trasę. Odetchnąłem z ulgą.



Grzegorz Stefanowski ze studentami podczas rozbijania namiotów w lesie, 1981 r. Ze zbiorów Muzeum PL

Innym razem poszliśmy z Rysiem Stachaszewskim na wieś po mleko. Przynieśliśmy pełną kankę, ok. 20 litrów, i postawiliśmy ją z tyłu namiotu. Na kolację każdy dostał po kubku wiejskiego mleka. Na samym końcu, gdy dawaliśmy każdemu dokładkę, na dnie kanki zobaczyliśmy dużą dżdżownicę. Był to „prezent” od naszych sąsiadów z UMCS-u z Wiesiem Dolińskim na czele – taki niewinny żart. Oczywiście o tym „odkryciu” nie poinformowałem studentów.

Będąc w Jałowym Rogu, chodziliśmy ze studentami do sauny, a potem wskakiwaliśmy z pomostu do Czarnej Hańczy. Pewnego roku siedząc w saunie, na podłodze przy drzwiach zobaczyliśmy węża. Nie wiedzieliśmy, czy to jest żmija, czy zaskroniec. Na szczęście ktoś przytomny otworzył drzwi sauny i wąż wyszedł na przyległą łąkę. Trochę najedliśmy się strachu.

Pewnego razu chciałem poznać nową trasę: na początku przeprawa rzeką Blizną do jeziora Blizno, a później w Bryzgielu podróż na Wigry. Okazało się, że jedna trzecia długości Blizny była w tym roku tak płytka, że z trudem płynęliśmy, a czasami musieliśmy przenosić kajaki, żeby kontynuować dalszy spływ. Nie zawsze na jeziorach była ładna, słoneczna pogoda. Bywały na Wigrach momenty, że była duża fala i musieliśmy się zatrzymywać w sitowiu przy brzegu jeziora. Zdarzyło się też tak, że wypływając z Kanału Augustowskiego na jezioro Studzieniczne i Białe w kierunku Augustowa, płynęliśmy pod fale i pod wiatr. Płynąc sam w kajaku, jako zamykający grupę, przypłynąłem godzinę za ostatnim uczestnikiem spływu. Do dzisiaj pamiętam tę walkę z dużą falą. Takie były właśnie uroki wód Wigierskiego Parku Narodowego.

Chciałbym podzielić się wspomnieniem, które do dzisiaj pamiętam z jednego ze spływów. W czasie płynięcia Czarną Hańczą nieraz wstępowaliśmy do sklepów, żeby dokupić coś do jedzenia. Pewnego dnia do sklepu spożywczego dostarczono świeżutki, gorący wiejski chleb. Bochenki były ogromne, ważyły 5–7 kg. Część studentów czekała w kolejce, w której stało sporo osób z okolicznych wsi. Pani sklepowa powiedziała, że może nam sprzedać tylko 7 bochenków, a reszta jest dla mieszkańców. Bardzo ucieszyliśmy się z tego zakupu. Po powrocie do obozu mieliśmy przygotować kolację ze starego pieczywa, którego zostało nam parę bochenków. Już się za to zabieraliśmy, gdy w pewnym momencie przyszła delegacja studentów z prośbą, żebyśmy zrobili kolację ze świeżego chleba, a stary zjemy innego dnia. Bardzo zabawne było to, że studenci byli tak bardzo spragnieni świeżego pieczywa. Może tej ekscytacji nie oddaje słowo pisane, ale kupno czegoś dobrego i świeżego w tamtych czasach graniczyło z cudem. Jedliśmy ten świeży chleb bez niczego, popijając mlekiem z wieczornego udoju, kupionym na

wsi. Ten smak... do dzisiaj go czuję. Niebo w gębie w porównaniu z codziennym beznadziejnym jedzeniem (puszki mięsne i rybne). Gdy trafiła się taka gratka, to świeży chleb jedzony z mlekiem był prawdziwym rarytasem.

Kolejny przykład działalności studium i AZS-u to obozy narciarskie. Pierwszy obóz odbył się w Kazimierzu Dolnym w 1967 r., a w jego otwarciu uczestniczył rektor Stanisław Podkowa. Drugi był w Ustrzykach Dolnych, a w latach 1967–1986 jeździliśmy do Szczyrku.

O tym, że narty cieszyły się moim dużym zainteresowaniem, świadczy fakt, że zorganizowałem 14 obozów narciarskich oraz że sam prywatnie w latach 1980–2020 wyjeżdżałem na narty ok. 40 razy, m.in. do Austrii, Włoch, Francji, Andory i Hiszpanii. Od roku 1983 zacząłem organizować obozy narciarskie w różnych miejscach. W kadrze opiekunów byli: Ela Dąbrowska, Waldemar Nieleśzczuk i Grzegorz Stefanowski. Obozy odbyły się:

- 08.02–18.02.1983 r. w Szczyrku,
- 27.12.1984–06.01.1985 r. w Szczyrku,
- 1985–1986 r. w Szczyrku,
- 1987–1988 r. w Bukowinie Tatrzańskiej,
- 21.12–03.01.1989 r. w Szklarskiej Porębie,
- 29.01–05.02.1989 r. w Powaskiej Bystrzycy – Słowacja,
- 27.12–05.01.1991 r. w Ružomberku – pasmo Veľká Fatra,
- 27.12.1991–06.01.1992 r. w Varín, zatrzymaliśmy się w chacie „Tatranka”,
- 27.12–05.01.1996 r. w Gelnicy – Słowacja,
- 05–14.02.1999 r. w Piazzatorre – Włochy,
- 04–13.02.2000 r. w Tarvisio – Włochy,
- 26.01–04.02.2001 r. w Tarvisio – Włochy.

Wśród narciarzy mieliśmy wielkich pasjonatów, takich jak: Marek Gągała, Katarzyna Popiel, Roman Grzybek, Beata Janocińska, Jarosław Welcz, Jacek Kowalski, Jarosław Urban – prezes AZS-u, Paweł Poradzisz – drugie miejsce w Szklarskiej Porębie w 1988 r. w slalomie specjalnym, Marcin Rycaj i Marcin Podlaszewski. Studenci Wydziału Budowlanego byli czołowymi zawodnikami lat 1995–2001.

Obozy zimowe i spływy kajakowe uczyły młodych aktywnego wypoczynku, czego dowodem są ich wspólne wyjazdy rodzinne już po ukończeniu studiów na Politechnice. Sam jestem świadkiem spotkań moich narciarzy z rodziną – m.in. na stokach Chopoku lub we Włoszech na Paganelli. Widok uśmiechniętych i szczęśliwych młodych ze swoimi dziećmi na ośnieżonych górskich trasach zawsze był dla mnie wielką frajdą i radością.

Podzielę się też dwoma wspomnieniami z moich prywatnych wyjazdów narciarskich. Będąc na Chopoku z córką, wstąpiłem do restauracji na

herbatkę. W pewnym momencie weszła również rodzina: mąż i żona z dwójką dzieci. Rozglądali się, szukając wolnych miejsc. Gdy zobaczyli mnie przy stoliku, pani podeszła do nas, przeprosiła mnie i powiedziała do swojej rodziny: „To jest pan, który mnie nauczył jeździć na nartach i dzięki temu jesteśmy teraz razem w górach i zjeżdżamy z górskich tras”. A po chwili zwróciła się do mnie: „Dziękuję panu – było mi bardzo miło”.

Na drugim wyjeździe do Włoch też spotkała mnie niespodzianka, choć trochę innego typu. Stojąc na brzegu stoku, zostałem potracony przez narciarza, który pojechał dalej, a ja tak niefortunnie upadłem na siatkę ochraniającą stok, że narty zostały na stoku, a ja skończyłem z głową w dół w siatce. Zacząłem wołać o pomoc. Podjechał do mnie narciarz i pomógł mi się wydostać. Gdy już byłem w pozycji stojącej, spojrzałem na mojego wybawcę, a ten spoglądając na mnie, powiedział: „Panie trenerze, to pan



Obóz zimowy studentów PL, na pierwszym planie leży Grzegorz Stefanowski, Bukowina Tatrzańska, 1988/1989 r. Ze zbiorów Muzeum PL



Wizyta AZS PL na Węgrzech, od lewej: Stanisław Koprianiuk, Marek Marzec, Jarosław Grocholski, Witold Zimny, Grzegorz Stefanowski, Miskolc, 1977 r. Ze zbiorów Muzeum PL

mnie uczył jeździć na nartach, teraz mogłem chociaż troszkę się panu odwdziaczyć, pomagając wydostać się z tej siatki”. To był dla mnie szok. Spośród setek przejeżdżających narciarzy we Włoszech właśnie mój student mi pomógł. To się zdarza raz na milion przypadków.

Podczas pobytu na obozie zimowym w 1989 r. w Szklarskiej Porębie z prezesem Tomkiem Klepką – dzisiejszym profesorem Politechniki, spotkała nas „niespodzianka” – brak śniegu na stokach narciarskich. Żeby umilić młodzieży pobyt, codziennie organizowałem wycieczki, m.in. do: Świątyni Wang, schroniska „Strzecha Akademicka”, schroniska „Samotnia”, wodospadu koło Szrenicy, Hali Szrenickiej oraz na czarny szlak, który wiedzie dookoła Szklarskiej Poręby. Nigdy nie zwiedzilibyśmy tych okolic, jeżdżąc na nartach.

Na wyjeździe w Varín (27.12.1991–06.01.1992) jeździliśmy na różnych stokach: w Różomberku, Donovalach, na Chopoku. Miałem grupę średnio-zaawansowaną, wybrałem się z nią na Chopok 03.12.1992 r. Znałem tę górę i wiedziałem, że moja młodzież poradzi sobie z jej pokonaniem. Wjechaliśmy kolejką krzesełkową na stację pośrednią. Wysiedliśmy i przygotowaliśmy się do zjazdu trawersem na łatwiejsze trasy. W tym momencie zerwał się wiatr i zaczął padać gęsty śnieg. Grupa zaawansowana pojechała szybko z Waldkiem Nieleszczukiem na łatwą trasę, a ja nie zdążyłem tego zrobić z moją grupą. Śnieg padał tak, że w odległości 3 m nie było widać sylwetki człowieka. Zdecydowałem, że zjadę krzesełkami. To był horror. Zjazd z nartami i kijkami w rękach przy poruszających się



Sekcja pływacka KU AZS PL w trakcie zawodów, AOS, 2001 r. Ze zbiorów Muzeum PL

krzeselkach był wielkim wyczynem. Stałem z wyciągowym przy krzeselkach i sadzałem moich narciarzy, podając im narty i kijki. To było wielkie wyzwanie i duża odpowiedzialność. Właśnie takie „niespodzianki” zdarzają się w górach. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło, jedynie przybyło mi trochę siwych włosów.

Sport studencki był zawsze oczkiem w głowie Witolda Stępnia, który pracował w SWFiS w latach 1965–1982. To on był prawdziwym pasjonatem sportu i współtwórcą AZS-u PL. Mobilizował wszystkich trenerów sekcji do jak największego zaangażowania studentów w rozgrywki sportowe na każdym szczeblu, czy to były zawody międzyuczelniane, czy Mistrzostwa Szkół Wyższych. Witold Stępnia zainicjował nawiązanie kontaktów międzynarodowych z Weimarem, Koszycami, Miszkolcem i Brześciem. Zespoły tych uczelni brały w Lublinie udział w zawodach różnych dyscyplin. Nasze reprezentacje uczelniane bywały w tych zagranicznych miastach, kiedy brały udział w organizowanych tam zawodach sportowych. Niezapomniany był wyjazd do Miszkolca, gdzie młodzież, prezes Witold Zimny i Marek Marzec pływali w basenach termalnych. To była wielka frajda i przyjemność.

Osobiście bardzo miło wspominam pracę w SWFiS z klubem AZS PL. Lata 1975–2011 to był mój najpiękniejszy i najbardziej twórczy okres zawodowego życia. Chciałbym podziękować wszystkim osobom, z którymi zetknąłem się w tym czasie na Politechnice Lubelskiej, za miłą i owocną współpracę.



Ewa i Krzysztof Radko

Działacze

Czas studiów był wyjątkowym okresem w naszym życiu. Kontakt z wykładowcami, zdobywanie wiedzy i kompetencji, zmaganie się z wyzwaniami samodzielnego życia – to były istotne doświadczenia etapu wchodzenia w dorosłość. Działalność w Klubie Uczelnianym AZS Politechniki Lubelskiej sprawiła, że ten czas minął nam przyjemnie i wyciągnęliśmy z niego wiele korzyści.

Krzysztof: Uprawianie sportu zawsze było dla mnie czymś naturalnym. Już w podstawówce ćwiczyłem w lubelskich klubach akrobatykę, judo, lekkoatletykę, a w szkolnej reprezentacji siatkówkę. W II LO, pod opieką nauczyciela wychowania fizycznego – Jerzego Plebanka z Lublińki, zakochałem się w koszykówce. Dlatego, tuż po rozpoczęciu roku akademickiego, zachęcony przez szefa Studium Wychowania Fizycznego, Witolda Stępniańskiego, zameldowałem się w AZS-ie. Niestety koszykówka nie szła mi zbyt dobrze i trafiłem na treningi siatkówki Stanisława Koprianiuka. Jednocześnie podczas wypełniania deklaracji wstąpienia do AZS-u zostałem zaproszony na zebranie KU AZS i zachęcony do pomocy w organizacji życia sportowego. Razem z moim serdecznym kolegą z podstawówki i liceum, Lolkiem Krajewskim, zdecydowaliśmy się przyjąć zaproszenie. Prezesem był wówczas Witek Zimny, który kończył właśnie swoją kadencję. Imponował mi on swoim profesjonalizmem organizacyjnym. Od razu zaangażowano nas w pracę nad przygotowaniem zebrania wyborczego. I tak to się zaczęło. Następcą Witka został Marek Marzec, a po nim – Anna Wróbel. Byli ode mnie tylko kilka lat starsi. Imponowali mi tym, jak kompetentnie prowadzili klub, pomimo młodego wieku.

Dalej uczęszczałem na treningi siatkówki, ale na meczach grzałem ławę, gdyż Politechnika Lubelska miała wtedy bardzo mocny skład, czego dowodem było III miejsce w Akademickich Mistrzostwach Polski.

Ustępowaliśmy tylko pierwszoligowym drużynom AZS Olsztyn i AZS Częstochowa. Byłem z tego bardzo dumny, tym bardziej, że została mi powierzona rola kierownika drużyny. Za zgodą SWF, to my, studenci, przejęliśmy ważną funkcję opiekunów dyscyplin sportowych.

Standardowa praca działacza, polegająca na organizacji wydarzeń sportowych różnego szczebla, od imprez międzyuczelnianych po imprezy sportu masowego, czyli m.in. na pisaniu, rozsyłaniu i roznoszeniu zaproszeń, malowaniu i rozwieszaniu plakatów informacyjno-propagandowych, przygotowywaniu obiektów na zawody, miała też i bardziej przyjemne strony. Było nimi np. organizowanie wspólnie z SWF spływów kajakowych Czarną Hańczą i Krutynią, obozów narciarskich w Szczyrku czy szkoleń w Kazimierzu Dolnym, Wilkasach i uczestnictwo w nich. Najważniejsza podczas tych wszystkich wyjazdów była chyba niesamowita integracja środowiska studenckiego. W tamtych czasach prawie wszystko należało samodzielnie organizować od podstaw, więc wyżywienie (konserwy, dżemy, makarony, ryż, przyprawy itp.), butle, kuchenki gazowe, garnki, patelnie i inne przybory kuchenne oraz namioty, śpiwory i materace trzeba było zabrać na mazurskie spływy kajakowe ze sobą z Lublina. Najpierw oczywiście musieliśmy skontrolować sprawność niektórych rzeczy i potem cały ekwipunek zapakować. To wszystko nosiliśmy przez całą wyprawę. Podczas wyjazdów niekiedy zdarzało się, że nie mieliśmy dostępu do chleba. Powodowało to drobne problemy, mianowicie pewnego razu nasza wachta kuchenna znalazła się w kropce: nie miała czego naszykować na kolację, bo makaron i ryż już się skończyły. Wtedy poszliśmy do jednego z dwóch gospodarstw z okolicy i udało się nam tam kupić ziemniaki. Nasze dziewczyny wpadły na pomysł usmażenia placków ziemniaczanych. Obieraniu i smażeniu nie było końca. Była to jedna z naszych lepszych kolacji. Ciekawostką jest też to, że na tych spływach wodę na herbatę czy zupę brało się bezpośrednio z rzeki lub jeziora. Wypływało się kajakiem trochę dalej od brzegu i czerpało wodę do gara. I nigdy nikt nie miał z tego powodu żadnych sensacji żołądkowych. Niezapomniane przeżycia, różne zdarzenia, pokonywanie kilkunastometrowych śluz, kontakt z dziką przyrodą oraz rozśpiewane wieczorne ogniska przy dźwiękach gitary nad jeziorami czy brzegiem rzek rekompensowały wszelkie niewygody.

Natomiast dzięki obozom narciarskim wielu z nas nauczyło się jazdy na nartach. Gdy pierwszy raz w życiu stawaliśmy na stromych wymuldzonych stokach, to w naszych oczach był strach. Jednak uczyliśmy się pod opieką doświadczonych instruktorów: Danusi Welcz, Grzesia Stefanowskiego i Jarosława Grocholskiego. Niezapomnianą wówczas

zmorą dla żółtodziobów narciarskich był zjazd słynną „jedenastką” na Salmopolu. Tam były same muldy. Pamiętam, jak któregoś roku pojechał z nami do Szczyrku bardzo sympatyczny, fajny kolega, pierwszoročníak Paweł Poradzisz z Zakopanego. On trenował pod okiem Jurka Maca, w grupie zaawansowanej. Pewnego razu, gdy mieliśmy już zjeżdżać do bazy, a przed nami zostało już tylko pokonanie „jedenastki”, okazało się, że trzeba jeszcze zabrać tyczki do slalomu. Oglądaliśmy się jeden na drugiego, nie wiedzieliśmy co zrobić. I nagle pojawił się Paweł. Wziął wszystkie tyczki i zanim zdążyliśmy zareagować, on już śmigał na muldach. Patrzyliśmy z niedowierzaniem. Wtedy mieliśmy okazję zobaczyć na żywo najwyższy kunszt jazdy na nartach. Podczas wieczornego wypożyczynku od nart rywalizowaliśmy w turniejach brydżowych, pod okiem naszego kolegi Michała Kwietnia, który w późniejszych czasach zdobywał cenne trofea, będąc reprezentantem Polski w tej dyscyplinie.

Działalność w AZS-ie i bycie studentem tak mi się spodobały, że moja nauka trochę się wydłużyła i miałem zaszczyt i przyjemność współpracować z wieloma prezesami KU AZS PL, m.in. z: Jarkiem Urbanem, Jurkiem Karkuciem i Tomkiem Krawczykiem oraz trenerem siatkówki – Stanisławem Paluchem, niezwykle sympatycznym człowiekiem. Wiele by można opowiedzieć o tym, co działo się w moim życiu w czasie działalności w KU AZS PL, ale najważniejszym zdarzeniem było poznanie tam mojej przyszłej żony. I prawdą okazały się obiegowe opinie, że dziewczyny przychodzą na studia na Politechnikę, aby złapać męża. A historia była taka, że postanowiliśmy wyswatać jej siostrę z naszym kolegą, też działającym w klubie. Działaliśmy tak skutecznie, że oprócz nich wyswataliśmy też i siebie. Oczywiście nie jestem z tego powodu niezadowolony.

Ewa: Kiedy wspominam moje pierwsze kontakty z działaczami AZS-u, czuję wdzięczność za zaproszenie do udziału w zebraniach klubu. Zaproszenie – to szumnie powiedziane, tak naprawdę to starszy brat Renaty Krajewskiej kazał nam zameldować się już na pierwszym, październikowym zebraniu klubu. Oczywiście nie było możliwości sprzeciwu. Tą „uprzejmością” wykazał się Lolek Krajewski. Szybko poznałam też ludzi podobnych do niego: młode osoby pełne zapału i chęci do pracy na rzecz uczelnianego środowiska. Właśnie tacy byli też m.in. Mirek Caban i Mrówka – tak mówiło się o Stasiu Księskim, na którym zawsze można było polegać. Inni ubogacali pracę klubu swoimi pasjami, a wśród nich był Mariusz Dudziak, który tworzył fotograficzną dokumentację naszej działalności.

Rok 1980 był burzliwy. Swoją kadencję prezesowania kończyła Anna Wróbel. W klubie trwały przygotowania do walnego zebrania i w związku

z tym był to okres wyętej pracy organizacyjnej. Po tym, jak Krzysio Radko zweryfikował moje umiejętności obsługi biurowej, otrzymałam deklarację członkowską i oficjalnie zostałam przyjęta do AZS-u, co potwierdzono wręczeniem legitymacji.

Nowym prezesem został Jarosław Urban. Po wyborach wydarzenia toczyły się szybko. To był dobry czas na realizację ambitnych planów klubu, m.in. organizację wyjazdów na szkolenia dla działaczy klubów uczelnianych i przygotowywanie rozmaitych zawodów sportowych, w tym międzyuczelnianych, także na szczeblu ogólnopolskim. W tym czasie zajęliśmy się również zagospodarowaniem i wyposażeniem nowego lokum. Naszą siedzibą stały się dwa połączone ze sobą pomieszczenia akademika – wymarzone miejsce pracy dla organizacji studenckiej.

Byliśmy organizacją traktowaną poważnie przez władze uczelni – i to wszystkich szczebli. Najlepszy kontakt mieliśmy z pracownikami SWFiS. Ta współpraca i zaufanie, jakimi obdarzyli nas kierownik Studium – Witold Stępiak i nauczyciele akademicki wychowania fizycznego, będący trenerami sekcji sportowych AZS-u, były podstawą rozwoju klubu. Zachętą do działalności społecznej oraz do zaangażowania w propagowanie sportu masowego i rozwoju poszczególnych sekcji sportowych było dla nas to, że



Rektor Politechniki Lubelskiej Włodzimierz Sitko wręcza dyplom Dariuszowi Płoszyńskiemu, w głębi Krzysztof Radko, Ewa Bielec i kierownik SWFiS Roman Małyszek, 1985. Ze zbiorów Ewy i Krzysztofa Radko



Rozgrywki o tytuł najlepszej grupy dziekańskiej w siatkówce, od lewej: Stanisław Księżki, Krzysztof Radko w roli sędziego, Piotr Mazur, Stanisław Koprianiuk, 1985 r. Ze zbiorów Muzeum PL

władze Politechniki doceniały naszą pracę. Miło było przy kawie i herbacie spotkać się z rektorem czy prorektorem ds. nauczania, którzy wręczali nam dyplomy uznania.

Kończyliśmy uczelnię wyposażeni w wiele umiejętności, których nie uczono nas na zajęciach. Dzięki działalności w AZS-ie nabyliśmy liczne cechy niezbędne w pracy zawodowej i społecznej. Umieliśmy pokonywać trudności, nie baliśmy się pukać do urzędniczych drzwi czy kontaktować się z wysoko postawionymi osobami kierującymi zakładami pracy. Nawet gdy w jakiejś sprawie spotykała nas odmowa w jednym gabinecie, wchodziliśmy przysłowiowym oknem do drugiego. Bez problemu podejmowaliśmy się pracy wszędzie tam, gdzie trzeba było protokołować, prowadzić zebrania, pracować w komisjach i tworzyć preliminarze i harmonogramy. Pod wodzą kierownika SWF – Romana Małyszka, nauczyliśmy się nawet tworzyć rozpisane co do minuty harmonogramy przebiegu poszczególnych uroczystości. Byliśmy przygotowani do pracy w stowarzyszeniach, spółdzielniach lub innych podmiotach gospodarczych i społecznych. Ćwiczyliśmy to latami w AZS-ie.

Kształtowanie naszych młodych charakterów w środowisku rówieśników z AZS-u okazało się efektywne i trwałe. Takie rezultaty osiągnęliśmy



Wyjazd szkoleniowy studentów AZS PL do Kazimierza Dolnego, 1. poł. lat 80. Ze zbiorów Ewy i Krzysztofa Radko

dzięki temu, że zawsze działaliśmy razem i chętnie ze sobą przebywaliśmy, czy to w przerwie zajęć, czy też po zajęciach, a nawet niekiedy w ich trakcie. Czując się pewnie i sprawczo, bez obaw braliśmy odpowiedzialność za organizowanie działalności sportowej i choć zdarzało nam się kończyć zadania w ostatniej chwili, to zawsze ostateczny efekt był zgodny z przyjętym planem i preliminarzem.

Niesamowitym efektem tak długiego przebywania ze sobą, wspólnych szkoleń, wyjazdów letnich i zimowych oraz pokonywania wielu przeciwności



Ewa Radko jako nowa skarbniczka KU AZS Lublin, 1985 r. Ze zbiorów Muzeum PL

w działalności KU AZS PL było to, że nasze środowisko może poszczycić się tym, że powstało u nas osiem małżeństw, sprawdzonych w boju już u progu zawodowego życia. Oprócz nas, byli to: Teresa Rudzka i Krzysztof Czuba, Lidia Rodziewicz i Waldemar Kawalec, Anna Ambrożewicz i Stanisław Księski, Hanna Klimek i Krzysztof Marczuk, Dorota Bielec i Dariusz Ogrodnik, Iwona Malinowska i Krzysztof Rudzki oraz Jolanta Kieliszek i Artur Skrzypek. AZS PL obchodzi jubileusz 60-lecia, a nasze szczęśliwe rodziny mogą już dziś lub w najbliższej przyszłości nucić z dumą: „czterdzieści lat minęło...”



Jan Teodorczyk

Zawodnik

W latach 1976–1982 byłem zawodnikiem sekcji koszykówki AZS Politechniki Lubelskiej. W tym okresie trzykrotnie braliśmy udział w turniejach o mistrzostwo Polski uczelni technicznych. Mieliśmy wiele osiągnięć, m.in.: złoty medal w 1977 r. w Zielonej Górze na Mistrzostwach Polski Wyższych Szkół Inżynierskich, Szkół Morskich i Filii Politechnik; złoty medal w 1979 r. w Lublinie na Mistrzostwach Polski Politechnik oraz srebrny medal w 1981 r. w Gdańsku na MP Politechnik. W tym ostatnim turnieju zostałem „królem strzelców” i otrzymałem nagrodę od prezydenta Gdańska, Jerzego Młynarczyka, byłego reprezentanta Polski w koszykówce i olimpijczyka z Rzymu.



Drużyna koszykówki AZS PL podczas zawodów w hali uniwersyteckiej w Sofii, z numerem 12 Jan Teodorczyk, 2. poł. lat 70. Ze zbiorów Jana Teodorczyka

Trenerem uczelnianej drużyny koszykówki był kapitan pierwszoligowego Startu Lublin – Adam Dąbrowski, a trzon drużyny stanowili: Przemysław Pawlik (kapitan), Leszek Stasiak, Andrzej Turski, Jan Teodorczyk, Zbigniew Polkowski, Zbigniew Szczęśniak, Krzysztof Link, Zbigniew Łysakowski. Później dołączyli koledzy z młodszych roczników – Robert Golec, Marek Szymanek, Zbigniew Szalak, Roman Myśliwiec, Grzegorz Kowalik.

Nasz zespół uczestniczył w międzynarodowych turniejach akademickich: w Koszycach, w Miszkolcu na Węgrzech, w Sofii, w niemieckim Weimarze, w Brześciu nad Bugiem oraz w Lublinie (w ramach corocznego turnieju o Puchar JM Rektora PL).

Dodatkową, miłą aktywnością zawodników sekcji AZS PL były spływy kajakowe w okolicach Augustowa i obozy narciarskie w Szczyrku, w których brałem udział wraz z moją przyszłą żoną Barbarą Klimkiewicz – zawodniczką uczelnianej drużyny koszykówki (jej trenerem był Grzegorz Stefanowski).

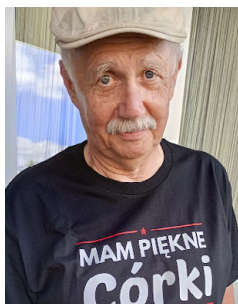


Zwycięska drużyna MP Politechnik w koszykówce, od lewej: Krzysztof Link, Zbigniew Polkowski, Zbigniew Łysakowski, Jan Teodorczyk, Zbigniew Szalak, Leszek Stasiak, niżej Zbigniew Szczęśniak i Przemysław Pawlik, Lublin, 1979 r. Ze zbiorów Muzeum PL

Świetnym organizatorem i główną postacią sportu PL był wtedy Witold Stępnia, osoba bardzo szanowana i lubiana przez studentów-sportowców.



Mistrzostwa Akademickie Koszykówki, pod koszem Andrzej Turski, na skrzydłach Jan Teodorczyk i Zbyszek Polkowski, nisko Leszek Stasiak, Lublin, 1977 r. Ze zbiorów Muzeum PL



Andrzej Karasiuk

Działacz

Spędziliśmy razem z koleżanką Hanną Kieliszek (wtedy jeszcze panną, teraz moją żoną) pięć wspólnych lat w Klubie Uczelnianym AZS Politechniki Lubelskiej, organizując zarówno sport masowy wśród studentów, jak i rozgrywki międzyuczelniane. Dane nam było uczestniczyć w corocznych obozach narciarskich w Szczyrku, spływach kajakowych Czarną Hańczą



Ślubne zdjęcie Hanny Kieliszek i Andrzeja Karasiuka z kolegami z AZS PL prezentującymi okolicznościową „flagę” z życzeniami dla nowożeńców, Lublin, 1979 r. Ze zbiorów Andrzeja Karasiuka

i Kanałem Augustowskim oraz w innych przedsięwzięciach. Uczucie narodziło się między nami w słynną zimę stulecia, 31 grudnia 1978 r., gdy metrowe zasypy śnieżne w Szczyrku nie pozwoliły na wyjazd (na obozie byłem „waletem”). Dopelnieniem naszej wspólnej uczelnianej przygody był spływ kajakowy w 1979 r. Opiekun i organizator z ramienia Studium Wychowania Fizycznego Grzegorz Stefanowski nie zabezpieczył kajaków. Odpłynęły. Cóż mieliśmy robić? Po dziewięciu miesiącach urodziła nam się wspaniała córka (również absolwentka Politechniki Lubelskiej). Na ślubie w Urzędzie Stanu Cywilnego w Lublinie pojawił się pan Stefanowski, który podczas składania życzeń przyznał się do kajakowych zaniechań, co w efekcie doprowadziło do powstania nowej rodziny. Zamiłowaniem do nart zaraziliśmy nasze córki. Dziś na stokach szusują nie tylko nasze córki i zięciowie, lecz przede wszystkim wnuki – z czego jesteśmy bardzo dumni.



Obóz narciarski w Szczyrku, 1978 r. Ze zbiorów Andrzeja Karasiuka



Ryszard Stachaszewski

Trener

Moja praca w Studium Wychowania Fizycznego i Sportu oraz w Klubie Uczelnianym AZS Politechniki Lubelskiej zaczęła się w 1980 r. Koledzy z pracy, tj. kierownik Witold Stępiak, zastępca kierownika Stanisław Koprianiuk, Danuta Welcz, Grzegorz Stefanowski, Arkadiusz Łątka, Jerzy Mac, Adam Dąbrowski, Stanisław Kozłowski, Elżbieta Dąbrowska oraz sekretarka Franciszka Stolarz (pani Nusia) przyjęli mnie ciepło. We wszystkich



Złota drużyna Mistrzostw Polski Politechnik w biegach przełajowych, od lewej trener Stanisław Panek, Julian Bielań, Wojciech Szram, Krzysztof Stępień, Zbigniew Pater, Marek Czapski, trener Ryszard Stachaszewski, Jarosław Milaniuk, Jan Zdziech, Poznań 1988 r. Ze zbiorów Ryszarda Stachaszewskiego

sprawach pomagała mi szczególnie pani Nusia. Z perspektywy tych 42 lat pracy na uczelni mogę powiedzieć, że ten czas bardzo szybko minął. Pracowałem jako dydaktyk i trener w KU AZS PL: 40 lat jako trener lekkoatletyki i biegów przełajowych, 22 lata jako trener ergometru wioślarskiego, 7 lat jako prowadzący sekcję tenisa stołowego, a 3 lata – sekcję trójkboju siłowego. Zawsze z radością biegłem do pracy i do studentów. Praca dawała mi dużo satysfakcji i była moim hobby. W kolejnych latach przybywało mi nowych kolegów, takich jak Stanisław Panek, Dariusz Symczuk – trenerzy lekkoatletyki, Waldemar Nieleszczuk, Kazimierz Piwowarczyk, Roman Małyszek, Norbert Kołodziejczyk, Michał Janczarek, Maciej Kołodziejczyk, Jakub Kańkowski, Izabela Pszczoła-Pasierbiewicz, Sylwia Złomańczuk, panie sekretarki: Krystyna Kaim, Irena Filipek, Elżbieta Klimkiewicz i Agata Okoń. Praca w sekcjach sportowych była bardzo ciekawa i różnorodna. Trzeba było czasami sporo się nagimnastykować, zarówno organizacyjnie, jak i trenerско. Część studentów przychodziła z klubów sportowych Lublina i Lubelszczyzny, ale większość stanowili studenci wyselekcjonowani podczas zajęć wychowania fizycznego. Przez szereg lat werbowaliśmy też osoby z innych sekcji sportowych naszego klubu. Zachęcaliśmy ich do uprawiania sportu w poszczególnych sekcjach i reprezentowania barw uczelni na zawodach



XXIII Mistrzostwa Polski Szkół Wyższych w Ergometrze Wioślarskim, od lewej trenerka Izabela Pszczoła, Damian Pasierbiewicz, Dominik Denisiuk, Kazimierz Zawisła, Monika Jadach, Anna Mączyńska, trener Ryszard Stachaszewski, Łukasz Cebula, Elżbieta Madej, Rafał Aleksandrowicz, Agnieszka Lisik, Tomasz Lewandowski, Katarzyna Wójtowicz, Warszawa 2006 r. Ze zbiorów Ryszarda Stachaszewskiego

sportowych. Przeważnie była to młodzież uzdolniona atletycznie i pracowita. Wyznacznikami, którymi się kierowaliśmy przy selekcji zawodników, były: siła, sprawność, wytrzymałość i zdolność ruchowa. W ergometrze wioślarskim regularny trening i przyswojenie stosunkowo łatwej techniki szybko przynosiły efekty. Przez wiele lat utrzymywaliśmy się w akademickiej czołówce krajowej, kilkakrotnie zdobywając medale w generalnej i uczelnianej punktacji MP, szczególnie drużynowej kobiet i mężczyzn (trenerką kobiet w latach 2005–2016 była Izabela Pasierbiewicz-Pszczółka). Najlepszymi zawodnikami sekcji ergometru wioślarskiego byli: Elżbieta Spólnicka (Madej), Katarzyna Wójtowicz, Anna Maczyńska, Anna Jakubiec, Anna Jajdek, Monika Jadach, Justyna Mróz, Anna Rowińska, Agnieszka Lisik, Katarzyna Szlendak, Katarzyna Kuprjanowicz, Rafał Aleksandrowicz, Łukasz Cebula, Łukasz Pawlak, Daniel Pasierbiewicz, Dominik Denisiuk, Denis Dados, Jakub Kaproń, Bartłomiej Mącik, Karol Zentara, Kazimierz Zawisłak, Karol Kolasa, Krzysztof Majerski, Andi Meshentsev i wielu innych, którzy godnie reprezentowali Politechnikę w zawodach. Do 2017 r. prowadziłem całą sekcję ergometru wioślarskiego. W latach 2017–2022 sekcję kobiet trenował Michał Janczarek, a od roku 2022 Elżbieta Spólnicka, która obecnie prowadzi całą sekcję ergometru wioślarskiego, lekkoatletyki i biegu przełajowego. W lekkoatletyce, mimo zaangażowania w treningi, do dobrych wyników dochodziło się dłużej. Niektórzy zawodnicy startowali w Akademickich Mistrzostwach Województwa Lubelskiego w kilku dyscyplinach, niekiedy nawet w sześciu lub siedmiu. Lekkoatleci i wioślarze często reprezentowali uczelnię dodatkowo w szachach, strzelectwie, snowboardzie, żeglarskim, trójsportu siłowym, siatkówce, koszykówce i pływaniu. Robił to m.in. zawodnik mojej sekcji, Kamil Chodon, który był najwszechstronniejszym studentem uczelni.

Przez szereg lat KU AZS PL zdobył wiele medali, które wywalczyli zawodnicy sekcji lekkoatletyki, biegów przełajowych i ergometru wioślarskiego. Trzeba tu wymienić zwłaszcza kilka wybitnych osób:

- Grzegorz Sposób – skoczek wzwyż: olimpijczyk z Aten 2004 r., medalista AMP, wieloletni medalista Polski seniorów i pucharu Europy – rekord życiowy: 2,34 m;
- Alicja Wrona-Kutrzepa (100 m; 200 m; 4 x 400 m) – olimpijka z Paryża 2024 r. w sztafecie 4 x 400 m, wielokrotna medalistka MP seniorów i mistrzostw Europy oraz AMP w lekkoatletyce;
- Monika Romaszko (100 m; 200 m; 4 x 100 m) – olimpijka z Paryża 2024 r. w sztafecie 4 x 100 m, medalistka MP seniorów i AMP;

- Sebastian Smoliński – multimedalista w biegach przełajowych i na bieżni 800 m, 5000 m, medalista Polski seniorów i AMP, około 16 zdobytych dla uczelni medali. Brawo, Seba!

Pozostali lekkoatleci, którzy zdobywali medale w barwach KU AZS PL, to: Jarosław Milaniuk (biegi średnie i przełajowe), Bogdan Iwanowski (biegi średnie), Jan Zdzioch, Marek Czapski, Wojciech Szram, Zbigniew Pater, Julian Bielen, Krzysztof Stępień (złoto drużynowe w Mistrzostwach Polski Politechnik w biegach przełajowych 1988 r.), Leszek Bobrzyk (pchnięcie kulą), Michał Kwiecień (rzut oszczepem), Krzysztof Lupa (sprinty), Dariusz Szymczuk (trójskok), Michał Sierocki (110 m przez płotki), Magdalena Niewiadomska (skok wzwyż), Katarzyna Wójtowicz (pchnięcie kulą), Radosław Jędrzejewski



AMP w biegach przełajowych, na najwyższym stopniu podium KU AZS PL w składzie: Sebastian Smoliński, Rafał Buczak, Kamil Młynarz, Łukasz Ligaj, Damian Jastrzębski (do składu należeli także nieobecni na zdjęciu: Michał Biały, Wacław Kłoczek, Jarosław Bimkiewicz), Łódź, 2017 r. Ze zbiorów Ryszarda Stachaszewskiego

(skok w dal), Małgorzata Szalast (100 m przez płotki), Marek Kudyk (400 m przez płotki), Paweł Węgrzyn (rzut oszczepem), Beata Łukasik (biegi średnie), Łukasz Kościuk (400 m), Wiktoria Oko (400 m przez płotki), Aleksandra Szpetmańska (rzut młotem).

Lata 2013–2018 były czasem świetnej passy naszych studentów w biegach przełajowych i w AMP. W tych latach do naszej uczelni dołączyło wielu dobrych biegaczy z Lubelszczyzny, m.in.: Sebastian Smoliński, Michał Biały, Kamil Młynarz, Waław Kłoczek, Jarosław Bimkiewicz, Rafał Buczak, Damian Jastrzębski, Łukasz Ligaj t. Ich osiągnięcia to dwa złote, jeden srebrny i jeden brązowy medal drużynowo, w generalnej punktacji AMP oraz medale indywidualne w generalnej punktacji i w Mistrzostwach Polski Typów Uczelni oraz w biegach na bieżni w AMP. Te wyniki bardzo zaskoczyły wszystkie mocne w biegach ośrodki akademickie w Polsce – KU AZS PL okazał się sensacją.

W pracy pielęgnowałem dobre relacje z kolegami i studentami, dbałem, aby były one otwarte, przyjazne i szczere. Swoich zawodników starałem się wspierać i trenować tak, jak umiałem najlepiej. Zatrudnienie na uczelni i w AZS-ie traktowałem jak hobby. Nigdy nie miałem momentów zniechęcenia, wprost przeciwnie – praca zawsze była dla mnie dużą radością.

Niektóre wspomnienia pamiętam lepiej niż inne, m.in. spływy kajakowe Czarną Hańczą (Pojezierze Suwalsko-Augustowskie) organizowane dla studentów przez uczelnię. Kilukrotnie przygotowywałem i prowadziłem je wraz z kolegami z pracy, Grzegorzem Stefanowskim i Arkiem Łątką. To była prawdziwa frajda dla nas i studentów, którzy przeważnie wywodzili się z sekcji sportowych. Kajaki były drewniane, mieściły w sobie jedzenie, namioty i cały sprzęt. Ja przygotowywałem posiłki. Był podział na wachty. Paliliśmy też ogniska. Tworzyliśmy nad nimi konstrukcję, która składała się z sześciu prętów: czterech ustawionych pionowo i dwóch poziomo, na których mieściły się dwa lub trzy garnki, w zależności od wielkości. Mieliśmy też butle gazowe, ale rzadko ich używaliśmy. Przygód było co niemiara. Pamiętam jedną z nich: w Maćkowej Rudzie rozbiliśmy obóz, w nocy obudził nas warkot motocykli, ktoś jeździł między namiotami. To miejscowi chcieli się z nami „zaprzyjaźnić”. Rozpalili w lesie wielkie ognisko, blisko naszych namiotów. Oni się bawili, a my drżeliśmy o bezpieczeństwo studentów. Rano odwiedzili nas leśnicy i uspokajali: „Chłopcy trochę się zabawili po wieczorze w remizie”. Po południu czekała nas niespodzianka, dostaliśmy zaproszenie na rozegranie meczu piłkarskiego, chyba na zgodę. Przyjęliśmy wyzwanie i wygraliśmy z miejscowymi. Od tej pory, kto tam biwakował, grał z nimi w piłkę.

Innym razem na jeziorze Wigry złapał nas biały szkwał, ledwo dopłynęliśmy do brzegu. Schowaliśmy się w trzinach obok zabytkowego klasztoru. Kolejna przygoda spotkała nas na jeziorze Studzienicznym. Skończyliśmy jeden ze spływów, mieliśmy już tylko przypłynąć bliżej Augustowa. Złapał nas silny wiatr i metrowe fale, wiało nam w twarz. Czekala nas trudna praca, ustawiliśmy się w wachlarz, jeden za drugim. Walka z wiatrem i wodą trwała blisko trzy godziny, a przy dobrej pogodzie byłoby to około czterdziestu minut. W końcu dopłynęliśmy. Studenci byli zmęczeni, kolega Arek Łątka, który płynął pierwszy, ledwo żywy. Rozbiliśmy namioty. Ja wraz ze studentem, zawodnikiem mojej sekcji lekkoatletycznej, Sławomirem Karwowskim, zabraliśmy się za przygotowanie obiadu, oczywiście na ognisku. Po ugotowaniu rozejrzeliśmy się wokół, nie było nikogo, z namiotów wydobywało się tylko chrapanie, słyszeliśmy zwłaszcza Arka. Obiad został zjedzony na kolację.

Każdy spływ był udany, a studenci zadowoleni, nieważne, czy była dobra pogoda, czy też padał deszcz. Po jednym ze spływów zostały nam konserwy, mięsne i rybne, które rozdaliśmy studentom. Niektórzy byli zaskoczeni, padły nawet słowa: „Tak dobrze to my nawet w domu nie jedliśmy, a jeszcze dostaliśmy konserwy”. To był rok 1982.

Spływ hartował, łączył ludzi i kształtował charaktery, kto to przeżył na polibudzie, ten wie. Kto pływał, ten widział i czuł, jak to jest być blisko natury.

Wspomnę jeszcze o biwaku nad jeziorem Mikaszewo. Klimat był doskonały, a powietrze balsamiczne. Jednego dnia zaliczyliśmy wiele atrakcji kulinarnych i... duchowych. Kucharz główny, czyli ja, zarządził: „Na deser zrywamy jagody i poziomki”. Było ich wtedy mnóstwo. Każdy zerwał sobie po kubeczkę i zjadł z cukrem. Chłopcy spontanicznie łapali ryby, ja zbierałem kanie, wszystko smażyliśmy na ognisku – niebo w gębie. Wieczorem jedliśmy jeszcze raki – coś pysznego. Siedzieliśmy przy ognisku, śpiewaliśmy, piliśmy herbatę, a później, gdy zgasło ognisko, patrzyliśmy w nocy na niebo pełne gwiazd. Bo przecież im głębiej w puszczy i dalej od światła, tym widoki na niebie są wspanialsze.



Mariusz Dudziak

Zawodnik, działacz

Od 1976 r. byłem kierownikiem i zawodnikiem sekcji tenisa stołowego Wyższej Szkoły Inżynierskiej, a od 1977 r. – późniejszej Politechniki Lubelskiej. Do 1982 r. działałem w Klubie AZS Uczelnianym PL.



Eliminacje do II ligi w tenisie stołowym, stoją od lewej: kierownik sekcji Mariusz Dudziak, Krzysztof Osicki, Grzegorz Żochowski, trener Stanisław Warda, w pierwszym rzędzie od lewej: Dariusz Iwańczuk, Janusz Waśkowski, Marek Budzyński, NN, koniec lat 70. Ze zbiorów Muzeum PL



Międzyuczelniany Turniej Tenisa Stołowego, AOS, lata 70. Ze zbiorów Muzeum PL

W 1977 r. zdobyłem srebrny medal na Mistrzostwach Polski Szkół Wyższych, potem w sezonie 1979/1980 drużyna AZS PL weszła do II ligi tenisa stołowego w Polsce – jak na tamte czasy był to ewenement, aby drużyna akademicka bez jakiegokolwiek finansowania weszła do II ligi państwowej. Z powodu braku funduszy utrzymaliśmy się w niej niestety tylko rok.

W drużynie tej byli: Marek Budzyński, Krzysztof Osicki, Janusz Waśkowski oraz Grzegorz (nie pamiętam nazwiska), trenerami byli Stanisław Warda i ja – kierownik drużyny. Natomiast w reprezentacji Politechniki Lubelskiej, która zdobyła w 1977 r. srebrny medal, byli: Janusz Waśkowski, Krzysztof Osicki, Janina Kapica – jedyna kobieta w zespole, i ja. Rektor Politechniki wręczył nam dyplomy i wyróżnienia.

ARNIEJ TENISA STOŁOWEGO

ROWNIKA SWF i S





Jarosław Welcz

Zawodnik

Urodziłem się 20 sierpnia 1960 r., wychowywałem się w rodzinie Welczów, w której sport był nie tylko zawodem rodziców i brata, ale również modelem życia całej rodziny. W latach 1981–1986 byłem studentem Politechniki Lubelskiej. Podczas studiów uczestniczyłem w szkoleniu narciarskim i pracach Akademickiego Klubu Narciarskiego (AKN) i jako jego członek startowałem w krajowych zawodach na szczepku mistrzowskim. Trudno było



Jarosław Welcz przyjmuje okolicznościową pamiątkę i dyplom za osiągnięcia sportowe od kierownika SWFiS Romana Małyszka, rektora Włodzimierza Sitko i prezesa KU AZS PL Tomasza Krawczyka, Klub „Kazik”, 1985 r. Ze zbiorów Muzeum PL

wtedy marzyć o wysokich wynikach, bo uczelnia nie była w stanie finansować ani treningów, ani zakupu sprzętu narciarskiego. Kluczem do sukcesu okazał się zapał członków klubu i prywatne inwestowanie w sprzęt. Niestety Lublin nie był znany z narciarstwa, a jedyna górką w okolicy – Globus – nie była miejscem na budowanie narciarskiej formy. W związku z tym pozostawały nam obozy zimowe organizowane przez uczelnię w Szczyrku i Zakopanem. Bardzo miło wspominam ten czas. Stworzyliśmy supergrupę narciarską, do której należeli: Jurek Mac (trener), Jarek Urban (uczelniany prezes AZS), Marek Gągała, Kasia Popiel (Zajączkowska), Beata Kowalska, Jacek Kowalski (mąż Beaty), Roman Grzybek i ja, Jarek Welcz.

Czas spędzony na treningach i wyjazdach w góry był niezapomnianym przeżyciem, nawiązały się wtedy przyjaźnie, które trwają do tej pory. Dla mnie był to początek narciarskiej przygody. W czasie studiów zdobyłem też licencję międzynarodowego instruktora narciarstwa ISIA. Obecnie mieszkam na stałe w Kanadzie, a narciarstwo, które zacząłem uprawiać podczas studiów na Politechnice, do dziś jest moją pasją. Dzisiaj jeżdżę na nartach w wysokich górach, po puchu i dzikich trasach, zwykle ze wsparciem helikoptera. W Kanadzie jestem kierownikiem firmy specjalizującej się w IT. Mam żonę, trójkę dzieci i czwórkę wnuków. Cała moja rodzina jeździ na nartach bardzo dobrze.



Jarosław Milaniuk

„Milani”

Zawodnik

Swoją wspaniałą przygodę z AZS-em rozpocząłem w 1982 r. Były to historycznie trudne lata dla Polski. Dla nas, początkujących wtedy zawodników, aktywność w klubie okazała się światłem nadziei w czasach PRL-u, nadzieją, że można żyć ciekawie i szczęśliwie, pomimo otaczającej nas ponurej rzeczywistości.

To właśnie w 1982 r. zaliczyłem sprawdzian biegowy na 1000 m na stadionie żużlowym Lublinianki. Wystartowałem bez żadnego przygotowania, a mimo to wygrałem. Miałem czas 3:05, mój przyszły trener, nieżyjący już Honorat Wiśniewski zaproponował, abym dołączył do jego grupy biegaczy klubu AZS.

Na początku bardzo się wahałem, nie była to łatwa decyzja, ponieważ należałem wówczas do zespołu muzycznego szkolnej orkiestry w Państwowej Szkole Budownictwa przy Al. Racławickich. Próbowałem zostać klawiszowcem grającym na alcie. Nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy z tego, że z moim słuchem muzycznym w tej profesji nie ma dla mnie przyszłości i miałem nadzieję, że kiedyś to będzie moja życiowa droga. Na szczęście szybko zrozumiałem, że moje ćwiczenie gry na alcie nie tylko wpływa destrukcyjnie na domowników, ale przy okazji na wszystko, co daje oznaki życia... Tak więc propozycja Honorata, abym swoje muzyczne hobby zamienił na treningi w biegach średnich, uratowała nie tylko mnie, ale może i wiele żywych istnień, które musiałyby słuchać moich interpretacji muzyki poważnej.

W klubie otrzymałem ksywkę, która mi się podobała – „Milani”, bo kojarzyłem się z Włochem – jednym przez kolor moich czarnych do dzisiaj włosów, a innym przez mój garbaty rzymski nos. Miałem więc już namiastkę sukcesu – z zabitej dechami wsi, z której pochodzę, trafiłem na salony – tartany w AOS-ie przy ul. Langiewicza. W tym czasie i przez

wiele kolejnych lat było to miejsce moich codziennych treningów, które potem okazały się bardzo cenne, nawet bardziej niż medale wywalczone na bieżni. Byłem zadowolony z życia, nawet gdy po ciężkich treningach dostałem anemii i musiałem sam sobie robić zastrzyki w pośladek.

Dzisiaj takie praktyki kojarzyłyby się pewnie z czymś innym, niedozwolonym, a nie z prostym ratowaniem zdrowia. Podczas mniej poważnych kontuzji wsparciem był dla mnie zawsze pan Jurek Wierchowski z MOSiR-u, „Honor”, czyli Honorat Wiśniewski, który gdy byłem jego zawodnikiem, był trenerem kadry narodowej. Prawdopodobnie dzięki temu często jeździłem na obozy z najlepszymi kadrowiczami i reprezentantami Polski. Ten szczegół zaważył na całym moim późniejszym życiu i karierze. W tym czasie, aby wyjechać za granicę, trzeba było mieć paszport. W dodatku nie leżał on w domowej szufladzie, tylko był okresowo wypożyczany z biura paszportów Urzędu Wojewódzkiego, gdzie był na stałe zdeponowany. Dziwnym trafem ja, początkujący zawodnik, otrzymałem nie zwykły paszport, ale paszport z dopiskiem „służbowy”. Nie wiem, skąd to wyróżnienie, byłem przecież zwykłym zawodnikiem. Miałem



Sportowcy KU AZS przed wejściem do siedziby SWFiS, od lewej: Leszek, Małgorzata Szalast, Jarosław Milaniuk, Marek Czapski, Lublin, 1987 r. Ze zbiorów Jarosława Milaniuka

jednak wrażenie, że dzięki temu niektórzy pogranicznicy, np. na lotnisku w Sofii, zachowywali się, jakbym był co najmniej dyplomatą.

Kiedy w latach 80. kraj był pogrążony w ciemności, my, jako grupa Honora z AZS-u, mogliśmy (z pewnymi ograniczeniami, ale jednak) podróżować. Co prawda głównie po krajach „Demoludu”, ale wszędzie odnosiliśmy mniejsze lub większe sukcesy sportowe. Przy okazji kształcących podróży, rozwijaliśmy się też w dziedzinach pobocznych, nazywanych wówczas drobnym przemysłem. I tak na przykład stałem się poważnym lubelskim „dystrybutorem” popularnego albumu *Thriller* Michaela Jacksona, który w liczbie 32 sztuk zasilił dzięki mnie wygłodniały muzycznie rynek lubelski. Wszystkie egzemplarze zeszły w butiku przy ul. Chopina w jeden dzień, jak świeże bułeczki. Nie wiem, co dokładnie pomyślał pan celnik na Okęciu, kiedy sprawdzał mój bagaż i zobaczył tam cały arsenał tego samego albumu. Mogę się tylko domyślać, ale może przyczyną braku zarekwirowania była taśma z medalem z zawodów z mityngu, którą przewiązałem, niczym wstążką, paczkę z płytami. Wtedy robiliśmy różne dziwactwa, np. z samolotu zabieraliśmy do domu na pamiątkę



Mistrzostwa Polski Seniorów w biegu na 800 m, prowadzi „Milani”, za nim Ryszard Ostrowski, Grudziądz, 1988 r. Ze zbiorów Jarosława Milaniuka

tacki z plastikowymi sztuczkami. Takie były lata 80., które na szczęście już minęły i teraz możemy się z nich pośmiać.

Za pieniądze z „pływowego biznesu” kupiłem sobie wtedy niezłe buty biegowe, o niebo lepsze od tych polskiej marki Krosno, których podeszwy rozlatywały się już po tygodniu treningów.

Ale tak serio, oprócz tych PRL-owskich warunków i zdarzeń, które z dzisiejszej perspektywy wydają się śmieszne i groteskowe, to AZS i grupa Honora, a potem AZS PL, były najlepszym, co mogło mnie spotkać w życiu i co potem ukształtowało je na kolejne lata. W 1989 r., kiedy studiowałem już na Wydziale Zarządzania PL, uczestniczyłem w AMP w Łodzi i zostałem Akademickim Mistrzem Polski w biegu na 800 m. Moje rekordy życiowe na 800 m (1:50:21) oraz na 1500 m (3:45:87) dzisiaj już nie robią większego wrażenia, ale wówczas dawały I klasę sportową i stypendium państwowe, które w połączeniu z częstymi, bezpłatnymi dla zawodników obozami organizowanymi przez Honora i AZS zapewniały samodzielność finansową i zachęcały do coraz cięższych treningów.

Przynależność do grupy AZS PL była także pozytywnym i przyjemnym procesem kształtowania charakteru. AZS, a szczególnie nasza grupa lekkoatletyczna, był kuźnią kadr, przykładem jest choćby Zbyszek Pater, obecny rektor Politechniki Lubelskiej. Zbyszek zawsze doskonale godził udział w zajęciach sportowych w klubie AZS z tłumaczeniem zawiłości przedmiotów ścisłych kolegom z roku, a nawet posiadał umiejętności cykliniarskie i układał podłogi. To również dzięki niemu zdobywaliśmy dla naszej uczelni cenne punkty w klasyfikacjach generalnych.

Zaszczepiona przez Honora i AZS pasja do biegania trwa do dzisiaj. Dwa lata temu doliczyłem się, że sumarycznie, po 40 latach biegania (a biegam rekreacyjnie do dzisiaj), przebiegłem ponad 40 tys. km, czyli tyle, ile ma obwód kuli ziemskiej. Co więcej, dalej sprawia mi to przyjemność i jest doskonałym antidotum na stres. Już jako emeryt biegowy poznałem, czym jest przyjemność biegania rekreacyjnego na większości kontynentów, w kilkudziesięciu krajach, nawet tak egzotycznych jak wilgotna Kambodża czy kulebka biegaczy maratonów – słoneczna Kenia. Tam bieganie jest naturalnym elementem życia codziennego lokalsów.

To, kim jestem dzisiaj w życiu, jest zasługą mojej rodziny i Honora. Niestety dopiero po wielu latach uświadomiłem sobie w pełni, jak wiele zawdzięczam mojemu trenerowi i mentorowi, nazywanemu przez nas „Honor”, a przez małżonkę Wandę – „Pysio”. Od wielu lat spotykamy się dwa razy w roku jako byli zawodnicy Honorata: raz na Memoriale, gdzie jak dawniej rywalizujemy ze sobą na bieżni, raz w bardziej refleksyjnych

okolicznościach – na cmentarzu przy ul. Lipowej, w dniu jego styczniowych imienin. Może moje wspomnienia upamiętniające postać trenera choć w części zrekompensują moją, niestety zbyt późno wyrażoną, wdzięczność. Chciałbym przy tej okazji jeszcze na koniec powiedzieć: Panie Honoracie, dziękuję!

Dziękuję również wszystkim trenerom i działaczom klubu AZS, których spotkałem na swojej drodze, a ich tutaj nie wymieniłem. Jestem wdzięczny za waszą pomoc, troskę i dbałość w kształtowaniu postawy w duchu sportowej walki fair play.



Jarosław Milaniuk jako pierwszy na mecie podczas Akademickiego Biegu Przelajowego o Puchar Rektora PL z okazji 35-lecia uczelni, 1988 r. Ze zbiorów Muzeum PL



Paweł Poradzisz

Zawodnik

Wszystko zaczęło się 01.10.1984 r., kiedy rozpocząłem studia na Politechnice Lubelskiej na Wydziale Mechanicznym. Dlaczego akurat tu? Bo miałem stary angielski motocykl marki BSA i lubiłem go naprawiać (mam go zresztą do dziś), dlatego myślałem, że rozwinę się w tym hobby. Wprawdzie mogłem też startować na AWF, ponieważ byłem absolwentem Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Zakopanem (klasa narciarstwo alpejskie), ale wybrałem Politechnikę Lubelską. Pamiętam pierwszy dzień na uczelni: wielki nowoczesny budynek, łatwo się zgubić, nikogo nie znam. Chłopaki z grupy trzymają się w małych grupkach – ci z „Zamoya”, tamci ze „Staszica”, coś gadają, śmieją się, a ja sam krążę z kąta w kąt. Na zajęciach organizacyjnych dowiedziałem się, że zamiast dwa razy w tygodniu chodzić na lekcje wychowania fizycznego, można zapisać się do klubu AZS i trenować w jednej z wielu sekcji sportowych. Wydało mi się to dobrym pomysłem, więc po pierwszym dniu zlokalizowałem siedzibę klubu AZS. Znajdowała się ona na parterze Domu Studenckiego nr 1, były to dwa małe pomieszczenia obok recepcji. Wszedłem do klubu, w którym jakieś chłopaki grały w karty, później okazało się, że był to brydż. Pomyślałem, że chyba przeszkadzam, ale była tam też dziewczyna, która się mną, pierwszakiem, zainteresowała. Była to Anna Klimek (nazwisko zupełnie zakopiańskie), która dała mi do wypełnienia formularz członkowski. Po tym, jak go wypełniłem, zaczęła go sprawdzać z obojętną miną, ale kiedy doczytała, że chcę do sekcji narciarskiej i mieszkam w Zakopanem, to się zaczęło. Padło, jakże często później słyszane, pytanie „Z samego Zakopanego?”. No i co tu odpowiedzieć, jak się mieszka w blokach przy dworcu PKS i PKP? No tak, z samego. Dostałem legitymację członka AZS-u. Zdjęcie do legitymacji miałem wkleić po jego zrobieniu, ale jakoś się z tym zeszło i do końca studiów w miejscu na



Prezes KU Tomasz Krawczyk i prorektor Tadeusz Latocha wręczają puchar Pawłowi Poradziśzowi – zwycięzcy plebiscytu na najlepszego sportowca Klubu AZS PL, 1986 r. Ze zbiorów Muzeum PL

zdjęcie był mój narysowany długopisem autoportret. Chyba był udany, bo nikt nigdy nie zakwestionował podobieństwa.

Wracając do mojego przyjęcia w poczet klubu, to mojej rozmowie z Anną Klimek przysłuchiwał się jakiś facet. Okazało się, że to sam prezes AZS-u Tomek Krawczyk, który podbiegł do mnie, podał rękę na przywitanie, poklepał po plecach i powiedział „No młody, czekaliśmy tu na kogoś takiego jak ty”. Co to miało znaczyć, nie bardzo wiedziałem. Posiedziałem z nimi chyba godzinę, coś tam pogadaliśmy i poczułem się lepiej, bo wreszcie tam kogoś poznałem. Następnego dnia na korytarzu podczas przerwy podszedł do mnie Tomek, przywitał się i zażartował. Przestałem czuć się anonimowo. Koledzy z grupy zaczęli pytać, skąd znam prezesa AZS-u, dzięki czemu nawiązałem pierwsze znajomości. Kolejne dni mijały na zajęciach i obowiązkowych wizytach w klubie, połączonych z intensywnym kursem brydża. Nie było już tak strasznie jak pierwszego dnia. W końcu nadszedł pierwszy trening sekcji narciarskiej. Prowadził ją Jerzy Mac – dusza człowiek. Przekonałem się o tym nieco później.

Czekamy w szatni. Jest nas kilku pierwszaków. Trener zagaduje każdego – ze starszymi wita się jak z kumplami, nas tylko obserwuje. Pamiętam, jak mnie zapytał „Jeździłeś już coś na nartach?”. Odpowiedziałem: „No, coś tam jeździłem”. Zaczął się trening – dla mnie trochę za słaby w zestawieniu z tym, jak nas cisnął trener w szkole sportowej, ale w sumie było fajnie. W połowie treningu do sali wpada Tomek – czyli prezes, a do tego, jak się okazało, także szef sekcji narciarskiej. Poszeptał coś z trenerem, sądząc, że na mój temat. Pewnie mu opowiedział, że jestem byłym zawodnikiem i przez kilka lat reprezentowałem kraj jako członek kadry Polski juniorów. Moim największym sukcesem były pierwsze miejsca w slalomie specjalnym i slalomie gigancie, zdobyte w Oberwizenthal w dawnej NRD, na mistrzostwach tzw. demoludów w kategorii młodzieży do lat 15.

Chyba zrobiło to wrażenie, bo po dwóch tygodniach zostałem mianowany szefem sekcji narciarskiej. Kolejne dni wspominam głównie jako harówkę na uczelni – zmagania z geometrią wykreślną i innymi przedmiotami, ale był to też czas doskonalenia brydża i nawiązywania nowych znajomości. Z czasem stałem się dość popularny na uczelni, chyba dlatego, że widziano we mnie pewną ciekawostkę folklorystyczną. Być może niektórzy koledzy oczekiwali, że będę na zajęcia przychodził w kapelusiku z piórkiem i oczywiście ciupagą w ręce. Dość powiedzieć, że na balu sportowca pod koniec listopada, a więc po dwóch miesiącach studiowania, zostałem laureatem plebiscytu na najpopularniejszego sportowca na Politechnice Lubelskiej. Kolejne dni i miesiące mijały szybko. W grudniu odbył

się wyjazd na narty, zwany „próbą pierwszego śniegu”. Tam okazało się, że rzeczywiście trochę jeździę – zwłaszcza gdy dla szpanu robiłem to na jednej narcie. Rok zleciał i został zaliczony.

Na drugim roku wpadłem chyba w rutynę: nauka, AZS, a do tego doszły jeszcze obowiązki organizowania obozów narciarskich dla studentów. Zasada była taka, że na obóz narciarski jechali wszyscy uczestnicy sekcji narciarskiej oraz – w nagrodę – wyróżniający się sportowcy z innych sekcji AZS. Wcześniej musiałem zobaczyć kwatery – np. w Szczyrku – wybrać te, na które było nas stać, i je zarezerwować. Potem wszyscy jechali na gotowe. Pech chciał, że kiedy pomagałem organizować obóz, na uczelni trwały zajęcia. Podczas sesji okazało się, że nie wszystko umiem, a kropkę nad „i” postawił Kazimierz Szabelski, udowadniając mi, że zasada d’Alamberta jest mi obca. No cóż, trzeba było załatwić urlop dziekański. Była połowa lutego, a ja na urlopie, nie wiedziałem, co robić z czasem. W podobnej sytuacji znalazł się mój kolega z sekcji narciarskiej, o rok starszy Jacek Orlik – narciarz zaawansowany. Wymyśliliśmy, że spróbujemy swoich sił w zawodach narciarskich organizowanych przez różne uczelnie. Tak narodził się Ski Team PL. Ponieważ mieliśmy zaszczyt reprezentować naszą uczelnię, zarząd AZS-u podjął uchwałę o częściowej refundacji naszych wyjazdów związanych z zawodami narciarskimi. Nasz debiut przypadł na otwarte Mistrzostwa Politechniki Gdańskiej zorganizowane w Zwardoniu. Jako debiutanci, którzy nie mają punktów, zostaliśmy zapisani do zawodów i rozlosowani w ostatniej grupie zawodników – z numerami startowymi, które miały „ósemkę” z przodu. Nie było nam łatwo jechać trasą pomiędzy tyczkami, wiedząc, że już 80 chłopą przejechało przed nami. Po tym, jak przejechało pierwszych 20. zawodników, czyli elita, która do tej pory dzieliła pomiędzy siebie wszystkie trofea, przejazdy kolejnych zawodników były coraz słabsze i mało emocjonujące. Nikt nie spodziewał się, że ekipa z Lublina, startująca na końcu zawodów, może namieszać w tabeli wyników. A jednak udało mi się zjechać najszybciej. To, że ktoś z Lublina jest pierwszy, było sensacją. Uznano, że musi to być błąd fotokomórki, składane były protesty, czyli panowało zamieszanie na całego. Podczas drugiego przejazdu znów potwierdziłem najlepszym wynikiem klasę zawodników z lubelskiego AZS-u. Następnego dnia odbył się slalom gigant i znów wygrałem oba przejazdy. Jacek też zdobył punkty i w ten sposób Politechnika Lubelska weszła przebojem do pierwszej piątki najmocniejszych teamów narciarskich tamtych czasów. Trzeba też wspomnieć, że rozegrano wtedy jeszcze jedne zawody, podczas których nie odnieśliśmy z Jackiem tak znaczących sukcesów. Otóż podczas imprezy

kończącej Puchar Politechniki Gdańskiej ktoś wpadł na pomysł (chyba był to prezes z AZS PG o pseudonimie „Pirat”), żeby zjeżdżać po drewnianych schodach na nartach, a ten kto dojedzie dalej – już po kamiennej posadce, wygrywa. No cóż, nie zawsze można zwyciężyć, taki jest sport.

Kolejne zawody, w których brałem udział, to mistrzostwa Politechnik: Łódzkiej, Wrocławskiej, Śląskiej, Warszawskiej, a także mistrzostwa studenckich spółdzielni pracy. Pewnie były jeszcze inne rozgrywki, których już nie pamiętam. Rezultaty były różne: raz szło mi lepiej, a raz gorzej. W każdym razie, Lublin zaczął się liczyć w rankingu zespołów narciarskich. Na takich zawodach zawsze panowała świetna atmosfera, było dużo śmiechu, życzliwości i dreszczyk związany z walką o miejsce na podium, a po zawodach długie rozmowy przy piwku. Zdarzyło się też kilka razy, że przyjechałem do domu, do rodziców, z kilkoma kolegami ze studiów. W trzypokojowym mieszkanku w bloku ciężko było upchnąć sześciu czy siedmiu gości. Wtedy spało się na kocu na podłodze, a rano, na piechotę, leciało się z nartami na Kasprowy. Po całym dniu jazdy bigos zrobiony przez moją mamę smakował wybornie, choć mięsa czy kiełbasy nie było w nim dużo, wszak mięso było na kartki. Ale wszyscy byli zadowoleni i pełni wrażeń.

Jako „spadochroniarz” „spadłem”, wraz z czterema innymi kolegami, do nowej grupy dziekańskiej. Grupa była fajna, już zżyta po pierwszym roku, a my – trochę obcy w towarzystwie – zostaliśmy zasymilowani szybko. Myślę, że wtedy nikt, albo niewielu z nas, podejrzewało, że siedząc w ławce ze Zbigniewem Paterem czy Januszem Sikorą, siedzi z późniejszymi profesorami Politechniki Lubelskiej. No cóż, wtedy to byli po prostu koledzy Zbyszek i Janusz.

Muszę przyznać, że w tym czasie zrozumiałem sens pewnego sloganu, który wisiał na transparencie w mojej szkole sportowej, a który do tej pory uważałem za irracjonalny. Hasło to brzmiało: „Pierwsi w nauce, pierwsi w sporcie”. Sądziłem, że nie można być dobrym w nauce, jeśli trenuje się po dziesięć godzin dziennie przez cały tydzień, włącznie z sobotą, w niedzielę bierze się udział w zawodach, a do tego uczestniczy się w obozach kondycyjnych itp. No więc Zbyszek udowodnił, że jednak można. Miał nieprawdopodobną łatwość pozyskiwania wiedzy, do tego z sukcesami trenował w AZS-ie lekkoatletykę i (o ile pamiętam) biegał na dystansie 5 km. Lubił też dzielić się wiedzą z mniej zdolnymi kolegami. Jak już wydawało się, że nastąpi koniec mojej edukacji z powodu zbyt wysoko zawieszonej poprzeczki, ostatnią deską ratunku był właśnie Zbychu. Szło się więc do niego i mówiło „Zbychu, ratuj!”. Wtedy Zbyszek odpowiadał:

„No czego tu nie rozumiesz? Patrz, to trzeba założyć, tu podzielić, z tego zrobić coś tam, potem logarytmem go na plecy i już jest twój”. No faktycznie banalne. Zbyszek miał podobnie z percepcją fizyczną. Pamiętam, jak pojechaliśmy na obóz narciarski do Szczyrku. Zbyszek założył wtedy narty chyba pierwszy raz w życiu i już po paru godzinach szkolenia został przepisany z grupy dla początkujących do grupy zaawansowanej. Muszę z dumą przyznać, że nauka jazdy na nartach to jedyny przypadek, kiedy to ja mogłem Zbyszkowi udzielić korepetycji. A propos nauki jazdy na nartach, to rekord szybkości w opanowaniu technik zjazdów należy do mojego serdecznego przyjaciela i współlokatora z akademika, Waldka Romańczuka. Ten odważny kolega, gnany fantazją, a może i beztroską, swoją przygodę z nartami rozpoczął od zjazdu z Gubałówki pierwszego dnia i z Kasprowego Wierchu – w dniu następnym. Przeżył i nasza przyjaźń trwa do dziś. Chyba byłem dobrym instruktorem narciarstwa. Gwoli ścisłości trzeba też przyznać, że były osoby, które znakomicie jeździły na nartach. Wśród tych znajomych wyróżniało się małżeństwo Beaty i Jacka Kowalskich, oboje byli instruktorami narciarstwa i śmigali po stokach wyśmienicie. Idę o zakład, że gdyby dzisiaj ktoś zorganizował mistrzostwa Polski profesorów w narciarstwie alpejskim, to Beata Kowalska bez wątpienia znalazłaby się na podium.

Z wyjazdu do Szczyrku pamiętam też taką anegdotę. Wyjechaliśmy (grupa zaawansowana z trenerem Jerzym) na trasę oznaczoną kolorem czarnym, a więc dla wymagających. Było to zaraz po halnym i po mroźnej nocy. Faktycznie, trasa przypominała szklaną górę – wszędzie lód i muldy. Staliśmy na górze trochę spanikowani i debatowaliśmy, czy damy radę zjechać na dół. Wtedy nadjechał patrol GOPR – dwóch gości. Zapytali nas, skąd jesteśmy. Jak usłyszeli, że z Lublina, to powiedzieli: „Odepnijcie, chłopcy, narty i tamtędy, bokiemy trasy na granicy lasu, może jakoś zejdziecie na dół. Lepiej idźcie dziś na piwo, a nam nie dokładajcie roboty. Nie mamy ochoty was tu ratować połamanych!”. Potwarz! Trener popatrzył na grupę z tą swoją wrodzoną nonszalancją i powiedział do goprowców: „Dobra, panowie, to ja tu puszcze jednego na próbę, żeby zobaczyć, jakie są warunki, i wtedy podejmemy decyzję, co dalej”. Tak popatrzył znudzony na nas i mówi: „No który chce? A może ty, Paweł?” Ja mówię: „OK” i kita na dół. Kilka ciętych skrętów, kilka skoków na muldach, po 50 metrach stoję, ostro kantując, i krzyczę: „Trenerze, nie jest najgorzej!”. Jedziemy. Goprowcy pospuszczali łby i delikatnym trawersem przez las pojechali na dół, omijając trasę. My odczekaliśmy, aż patrol zniknął, i też pojechaliśmy ich śladem. Od tej pory GOPR w Szczyrku chyba nabrał szacunku do studentów z Lublina.

Po naszych większych i mniejszych sukcesach, jakie odnieśliśmy na zawodach narciarskich z Jackiem Orlikiem, kierownictwo studium – pod naciskiem naszego trenera Jerzego Maca – postanowiło zainwestować i wspomóc nas poprzez kupno nowych nart. Dostaliśmy piękne narty marki Head, kupione w składnicy harcerskiej za kasę równą pensji asystenta na uczelni w tamtych czasach. Do tego zapięcia marki Salomon. Ale czad! Sprzęt prezentował się rewelacyjnie. Nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł pośmigać na moich nowych nartkach o długości 210 cm. Na pierwszy w sezonie wyjazd obozowy wziąłem dwie pary nart: swoje prywatne slalomowe i szkolne gigantki. Wrażenie z pierwszej jazdy na nowych nartach pamiętam do dziś, jak one szły po lodzie! Płynnie jak Mercedes – bajka. Po kilku dniach trener postawił tyczki w układzie slalom gigant i zaczynamy ostry trening. I tu zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Przy pierwszym skręcie na tyczce mocno wkładam nogę do skrętu, a tu pyk – zapięcie się wypina. Reguluję je na szybko nastawiam maksymalną siłę wypięcia, czyli przewidziane przez producenta 80 kN. A potem... leżę przy kolejnej bramce, bo zapięcie znów się wypięło. Moje slalomowe narty, które miały wartość wypięcia 140 kN, nie wypinały się w takich sytuacjach. Wniosek: zapięcia kupione w składnicy harcerskiej są dla amatorów, a tu trzeba zagrać oczko wyżej. Co robić? Zbliżał się termin Mistrzostw Polski Akademickich Klubów Narciarskich, a my walczyliśmy z zapięciami... Ponieważ byliśmy studentami politechniki, a nie – z całym szacunkiem – np. farmacji, wraz z kolegami rozebraliśmy zapięcia do ostatniej śrubki. W miejsce sprężyn odpowiedzialnych za wypinanie wiązania przy przeciążeniu zainstalowaliśmy po dziewięć monet dziesięciogroszowych. Równie dobrze moglibyśmy przybić buty narciarskie gwoździami do nart. Problem wypinania w nieoczekiwanych momentach zniknął, ale pojawiła się za to świadomość, że w razie upadku przy pełnym gazie na zawodach urwie mi nogi, a w najlepszym razie tylko je połamię. Potrafiłem jednak na chwilę zapomnieć o tych potencjalnie smutnych skutkach i na MP AKN wywalczyłem srebro dla naszej uczelni.

Minęło prawie 35 lat od wydarzeń, które tu opisałem. Raz było ciężko, innym razem zabawnie. Jedne przyjaźnie przetrwały, inne nie. Z perspektywy minionych lat mogę stwierdzić, że ci koledzy i koleżanki, którzy byli aktywni i uprawiali sport, w większości osiągnęli sukcesy – jedni są naukowcami, inni prowadzą własne biznesy. Większość z nas sport ukształtował charakterologicznie, a uczelnia nauczyła myśleć i rozwiązywać problemy.



Zbigniew Chołyk

Zawodnik

W sezonie piłkarskim 1982/1983 jako uczeń 5 klasy Technikum Samochodowego przy al. Długosza grałem w drugoligowym WKS Lublinianka. Niestety wiosną graliśmy słabo i spadliśmy do III ligi, podobnie jak świdnicka Avia. Za to Motor zaliczył słynny awans do I ligi (ekstraklasy wtedy nie było). Zaraz po maturze podjąłem trudną decyzję o zakończeniu ligowej gry w piłkę i rozpocząłem studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lubelskiej.

Już w październiku wstąpiłem do sekcji piłki nożnej klubu AZS PL. Prowadził ją wtedy Jurek Mac, który kilka lat wcześniej był moim trenerem, jeszcze w juniorach Lublinianki. W drużynie uczelnianej mieliśmy bardzo fajnych i dobrych zawodników. Większość z nich grała w różnych klubach polskich lig klasy okręgowej lub wojewódzkiej. Niektórzy piłkarze, zresztą bardzo dobrzy, byli studentami z zagranicy. Przez kilka lat naszym bramkarzem był Ahmed z Syrii, stoperem Sattar z Iraku, środkiem pomocy kierował Kerim z Iraku, a na skrzydle grywał Mario Cristovao z Angoli. Podobno Kerim miał za sobą nawet występy w młodzieżowej reprezentacji Iraku.

Wielu fajnych ludzi przewinęło się w latach 80. przez drużynę KU PL, niektórych nazwisk już nie pamiętam, a ci, którzy utkwili mi w pamięci, to m.in.: Niziołek, Socha, Derkaczew, Kaczor, Mierzwa, Wacker, Żygadło, Koniczuk, Ostasz, Jachymek i wielu innych. W rozgrywkach uczelnianych w Lublinie nie mieliśmy sobie równych i z reguły wszystko wygrywaliśmy.

Przez kilka lat pełniłem funkcję kapitana drużyny. Bardzo miło wspominać Mistrzostwa Polski Politechnik, które odbywały się co dwa lata. Ponieważ należałem wówczas do czołowych „wiecznych studentów”, bo studiowałem przez 9 lat, to uczestniczyłem aż w czterech takich turniejach: w Gdańsku, Krakowie, Szczecinie i w Kielcach. Nie wygraliśmy nigdy tych mistrzostw, ale zawsze byliśmy bardzo blisko.



Pamiętam też, że pod koniec lat 80. zagraliśmy turniej w Weimarze w NRD. Wtedy drużynę AZS Politechniki prowadził już Bożydar Spólnicki, młody nauczyciel Studium WFiS PL. Był to mój młodszy o rok kolega z drużyny juniorów Lublinianki. Bardzo miło wspominam te wszystkie lata (a trochę ich było) gry w drużynie piłki nożnej klubu AZS.

Moja przygoda z AZS-em nie ograniczała się tylko do sekcji piłki nożnej. W okresie, gdy prezesem klubu był Tomek Krawczyk, zostałem wiceprezesem ds. sportowych. Funkcję tę pełniłem również za kadencji kolejnego prezesa – Adama Dwornickiego. W 1987 r. przez kilka miesięcy „pracowałem” na pół etatu jako urzędujący członek zarządu klubu. Będąc na urlopie dziekańskim, miałem obowiązek odpracowania trzech czy sześciu miesięcy i dzięki pomocy kierownika Studium WFiS, Romana Małyszka, taką pracę dostałem. Często wspominam pewną bardzo ciekawą historię z tego okresu. Na początku 1988 r. dostałem zaproszenie od kolegi z Berlina Zachodniego i zamarzyłem, jak wielu studentów w tamtych latach, o wyjeździe na Zachód. Aby dostać paszport, na wniosku o jego wydanie trzeba było uzyskać pisemną zgodę rektora, który wydawał ją po pisemnej opinii dziekana. Dziekan mojego wydziału nie wydał mi jej, bo twierdził, że nie wolno mu wydać pozytywnej opinii, jeśli student miał wcześniej urlop dziekański lub powtarzał rok, a ja miałem już za sobą i to, i to. Władze wprowadziły tak surowe obostrzenia, gdyż wielu studentów, którym udało się dostać paszport, pozostawało na stałe na Zachodzie. Z pomocą przyszedł mi wtedy prezes Adam Dwornicki, który wysłał mnie do prorektora Śpiewli z zaproszeniem od klubu AZS na coroczne zebranie sprawozdawcze. Będąc u rektora z oficjalnym zaproszeniem, wyprosiłem podpis na wniosku paszportowym. Niechętnie to podpisał, wbrew opinii dziekana, ale poprosił mnie przy okazji, abym mniej działał w AZS-ie i wziął się wreszcie za naukę. Tak też się stało. W Berlinie Zachodnim zasiedziałem się siedem miesięcy, po powrocie zrezygnowałem z funkcji w zarządzie klubu i dokończyłem studia. Ciągłe jednak grałem w drużynie piłki nożnej.

Kilka razy wyjeżdżałem w trakcie studiów na obozy AZS-u. Ze wspa-
niałą ekipą koszykarzy AZS-u pojechałem do Wilkasów koło Giżycka, byłem też na obozie narciarskim w Szczyrku, obozie wędrownym po Mazurach zorganizowanym przez Tomka Krawczyka i na obozie sportowym w Zakopanem, pod czujną opieką Stasia Koprianiuka. Każdy ten wyjazd mógłby być tematem długiej, prześmiesznej opowieści.

Przykro mi, że tak wielu wspaniałych azetesiaków już od nas odeszło. Żałuję też, że tak wiele zdjęć z tych pięknych czasów gdzieś poginęło. Mam kilka pamiątek, a najbardziej z nich cenię sobie legitymację klubu,

na której zabrakło już miejsca na wklejanie znaczków opłaty członkowskiej – tak długo i sumiennie studiowałem.

Niestety zdobyta na Politechnice wiedza na niewiele przydała mi się w życiu zawodowym, od ponad 30 lat zajmuję się bowiem sadownictwem. Prowadzę własne gospodarstwo, kieruję organizacją producencką ZPO Stryjno-Sad i jestem szefem firmy handlowej LubApple.



Jerzy Karkuć

Prezes

Moje wspomnienia z historii Klubu Uczelnianego AZS Politechniki Lubelskiej dotyczą pierwszej połowy lat 80. Wówczas Politechnika przywoziła medale z mistrzostw szkół wyższych niemal we wszystkich dyscyplinach, poza konkurencjami zimowymi. Dużym zaskoczeniem było zdobycie, po raz pierwszy w historii startów, medali w narciarstwie alpejskim. Stało się to za sprawą Pawła Poradzisa, studenta Wydziału Mechanicznego PL. Kolega Poradzisz, rodowity zakopiańczyk, mistrz Polski juniorów w slalomie gigancie zaskoczył wszystkich, wygrywając jako „kopciuszek”.



Prezes Jerzy Karkuć otwiera walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze Zarządu KU AZS PL, aula im. Stanisława Podkowskiego, 17 stycznia 1985 r. Ze zbiorów Muzeum PL

Z uśmiechem wspominam też wymiany sportowe z zaprzyjaźnionymi zagranicznymi uczelniami. W ramach takiej wymiany nasza drużyna siatkarki wyjechała do Weimaru, aby rozegrać kilka meczów sparingowych. Po zakończeniu zmagania sportowych (notabene wszystkie mecze wygrała nasza drużyna) odbyło się nieoficjalne spotkanie, w którym oprócz zawodników uczestniczyli też oficjele z naszej uczelni. Moją uwagę przykuła rozmowa między przedstawicielem związków zawodowych Politechniki a jego niemieckim odpowiednikiem, dyskutowali o konieczności zacieśnienia współpracy. I może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że był to właściwie monolog naszego związkowca, niekoniecznie zrozumiały dla Niemca (zaznaczę tylko, że wcześniej panowie korzystali z poczęstunku w bufecie).



Bożydar Spólnicki

Trener

W Studium Wychowania Fizycznego i Sportu pracuję od 1 października 1987 r. Posadę zaproponował mi ówczesny kierownik Studium Wychowania Fizycznego, Roman Małyszek, znaliśmy się prywatnie od liceum. W studium pracowali wówczas: Danuta Welcz, Elżbieta Dąbrowska, Roman Małyszek (kierownik), Grzegorz Stefanowski, Ryszard Stachaszewski, Stanisław Panek, Stanisław Koprianiuk, Stanisław Kozłowski, Jarosław Grocholski, Jerzy Mac, Witold Stępnia i Arkadiusz Łątka, a po około dwóch latach dołączył Waldemar Nieleśzczuk. Sekretariat prowadziła niezapomniana Franciszka Stolarz (Niusia), a magazyn – Krystyna Kaim. Byłem najmłodszy z tego grona, a różnica wieku między mną a resztą wynosiła minimum 15 lat, czyli byłem jakby dzieckiem pułku. Zostałem bardzo miło przyjęty do tego grona, a ułatwiła to moja znajomość z większością koleżanek i kolegów. Przydzielono mi sekcję piłki nożnej (prowadzę ją do dzisiaj, czyli 38. rok), przede mną jej trenerem był Jurek Mac. Jurka znałem z WKS Lublinianka, gdzie prowadził grupy młodzieżowe, a ja grałem w piłkę nożną jako junior. Pamiętam częste sparingi z zawodnikami Jurka z Politechniki.

W 1987 r. w Lublinie było pięć państwowych uczelni wyższych. Wszyscy nauczyciele i trenerzy uczelnianych AZS-ów się znali, bo często ze sobą rozmawiali, dodatkowo organizowane były imprezy integracyjne, na których każdy musiał i chciał bywać. Wiosną odbywały się dwu- lub trzydniowe szkolenia w Piasecznie, w ośrodku Akademii Rolniczej „Antares”, z kolei zimą organizowano wyjazdy na narty oraz bale karnawałowe. Znaliśmy się wszyscy bardzo dobrze, i to było fantastyczne!

Wracając do piłki nożnej, to drużynę Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej prowadził wówczas Jurek Adamiec, z którym się przyjaźniłem. Na Akademii Rolniczej trenerem był Lech Kostecki, na Akademii

Medycznej Marek (nie pamiętam nazwiska), na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim – Andrzej Budziński, a na Politechnice Lubelskiej – ja.

Politechnika wtedy dominowała, zaciekle walcząc o palmę pierwszeństwa z UMCS-em. Pamiętam, że nikt nie liczył, ile godzin pracuje z sekcją, nie mówiąc już o sumowaniu jakichś nadgodzin. W mojej ówczesnej drużynie grali m.in. koledzy z Lublinianki, w tym kilku starszych ode mnie: Sławek Socha („Synio”), Zbyszek Chołyk („Chołdys”), Andrzej Mielko („Mielony”), Piotrek Derkaczew („Derkacz”), Kowalczuk z Chełma („Konio”), Leszek Ostasz, Ahmed i Kerim (nie pamiętam ich nazwisk). To był czas, kiedy w Polsce studiowali Arabowie (stąd wzięli się u nas Ahmed i Kerim). Khalafa Abedalla ochrzciłem ksywką „Kalafior”, mówili tak na niego nawet Arabowie. Ksywa pozostała aż do dziś. Był też Mario Cristowao z Angoli, filigranowy, bardzo fajny chłopak. Ponadto mój pierwszy rok pracy zgrał się z pierwszym rokiem studiów Pawła Sulika, który przez wiele lat grał w piłkę jako student, a potem pracownik. Z tą trójką mam kontakt do dzisiaj.

Ciekawa historia miała miejsce chyba w 1988 r., kiedy to graliśmy w Parczewie sparing z miejscową drużyną. Z Parczewa pochodził nasz były zawodnik, bardzo dobry piłkarz – Wojtek Niziołek. Byliśmy „kolorową” drużyną z „metropolii” Lublin, nasi zawodnicy rozdawali nawet autografy. Pamiętam to jak dziś – szczerą chęć kibiców, by zdobyć nasze podpisy. Nie pamiętam wyniku tego meczu, ale nie zapomnę tej atmosfery, entuzjazmu i radości.

Kolejnym ciekawym wyjazdem była wyprawa koleją do Weimaru, znajdującego się w ówczesnym NRD, to był chyba 1989 r. Pojechaliśmy z siatkarzami rozegrać dwa mecze z drużyną uczelni weimarskiej. Był to czas przemian, krótko przed połączeniem obu państw niemieckich. Dla nas taki wyjazd z szaroburego Lublina był jak powiew świeżości. Międzynarodowe towarzystwo, bardzo dobre warunki, słowem: fantastyczna przygoda. Zbyszek Chołyk był wtedy kapitanem drużyny.

Wart wspomnienia jest jeszcze jeden wyjazd, tym razem do Brześcia. To mógł być rok 1990. Pojechaliśmy z piłkarzami na mecze organizowane przez miejscowy uniwersytet, towarzyszył nam kierownik studium – Roman Małyшек. Podróżowaliśmy autokarem. Wieczorem, po przyjeździe, piłkarze pojechali taksówkami do najdroższych restauracji (ceny były dla nas bardzo niskie), a mnie i kierownika ugostczono w akademiku kiełbasą i słoniną położoną na gazecie, co też było ciekawym doświadczeniem. Musiałem szybko wymyślić pretekst, żeby wyjść i pojechać do zawodników. Pretekstem tym stała się konieczność ich pilnowania. Taksówka już na mnie czekała. Nie muszę dodawać, że zamawiając potrawy, nie



Uroczystość „10 najlepszych sportowców-studentów PL 1989”. Od lewej: Ryszard Stachaszewski, laureatka Małgorzata Szalast i Bożydar Spólnicki, Lublin, 1990 r. Ze zbiorów Muzeum PL

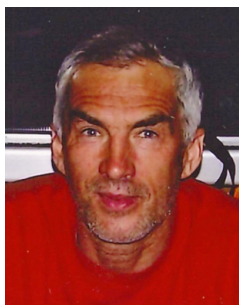
zwracaliśmy uwagi na prawą stronę menu. W Brześciu kupiłem prywatnie sztangę i kilka talerzy na siłownię, które do dzisiaj służą na naszej siłowni.

Wracając do 1987 r., spośród wszystkich lubelskich uczelni tylko UMCS miał halę sportową. Przed rozgrywkami w jednostce wojskowej przy Al. Racławickich odbyło się spotkanie trenerów piłki nożnej. SWFiS PL mieściło się w naszym „Oxfordzie”, gdzie była też minisalka z jednym boiskiem do siatkówki. Tam prowadziliśmy zajęcia wychowania fizycznego, ale wynajmowaliśmy też hale sportowe, m.in. na Starcie, i pływalnię w AOS-ie.

Okolo 20 lat temu w naszym KU AZS powstała sekcja MTB (kolarstwo górskie). Jej pomysłodawcą był Michał Sztembis, który napisze o tym więcej w osobnym rozdziale. Od tego momentu mam przyjemność prowadzić tę sekcję.

W ciągu tych wspaniałych lat poznałem mnóstwo fajnych ludzi. Sportowcy zawsze stanowili na uczelni swego rodzaju elitę, a wielu z nich udało się zrobić karierę w nauce czy biznesie. Przykładem niech będzie obecny rektor Politechniki – Zbigniew Pater, który biegał w sekcji lekkoatletycznej Rysia Stachaszewskiego. Można by tu wymienić wiele innych ambitnych osób, ale zrezygnuję z tego, żeby nikogo nie pominąć.

Co do poziomu sportowego sekcji piłki nożnej, to za mojej kadencji najlepszymi piłkarzami byli: Zbyszek Chołyk, Piotrek Derkaczew, Janusz Wacker, Grzegorz Szymanek, Adrian Parzyszek, Tomek Sekrecki, Przemek Kowalczyk, Wojtek Boniaszczuk, Marek Lenartowicz, Marek Galiński. Wybitną osobą z naszej sekcji jest też Paweł Sulik, który również opisuje tu swoje wspomnienia. Na koniec wymienię dwóch zawodników: Pawła i Bartka Kałasków. Byli to ojciec i syn, którzy za mojej kadencji reprezentowali Politechnikę jako piłkarze.



Waldemar Nieleśczuk

Trener

W 1988 r. rozpocząłem pracę w Studium Wychowania Fizycznego Politechniki Lubelskiej. W podjęciu decyzji o zmianie miejsca zamieszkania i pracy (wcześniej pracowałem w Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej) pomógł mi mój były trener piłki ręcznej – Arkadiusz Łątka. Zostałem przyjęty na stanowisko starszego asystenta, miałem prowadzić zajęcia dydaktyczne ze studentami oraz sekcję koszykówki. Początki nie były łatwe, pracę utrudniała mi mała sala i duże, czterdziestoosobowe grupy studentów.



Waldemar Nieleśczuk podczas treningu sekcji koszykówki KU AZS PL, Lublin, 2005 r.
Ze zbiorów Muzeum PL

Dopiero budowa nowej hali znacząco poprawiła jakość kształcenia. W ramach sekcji koszykówki startowałem w Lidze Akademickiej i w Mistrzostwach Polski Politechnik, na których zdobyliśmy dwa złote medale. W 1992 r. w skład drużyny wchodziło: Piotr Karolak – reprezentant Polski, Jacek Robak, Paweł Urbański, Grzegorz Gerhant. Pozostali zawodnicy również prezentowali wysoki poziom techniczny, zdobyliśmy wtedy złoty medal MP Politechnik. Trener z Krakowa zażartował wtedy: „Możesz siedzieć tyłem do boiska, a oni i tak wszystko wygrają”. Dwa lata później organizatorem tych mistrzostw była Politechnika Lubelska i udało nam się obronić złoty medal!

Przez siedem sezonów prowadziłem zespół w Lidze Międzywojewódzkiej (III liga). Wyjazdy z tym związane (m.in. do Stalowej Woli, Tarnobrzegu, Radomia) były bardzo uciążliwe: wczesna godzina i zdezelowany, stary żuk z dostawionym krzesłem dla jednego zawodnika... Ale zawsze mogłem liczyć na moich sekcjowiczów, na ich zaangażowanie i pełne humoru podejście do różnych niespodziewanych sytuacji. Pamiętam, jak na jednym wyjeździe nawalił nam transport i w siarczystym mrozie staliśmy w polu, czekając na podwózkę, a kilku zawodników było w letnich pantoflach, bez



Złota drużyna MP Politechnik. Od lewej w górnym rzędzie: Piotr Karolak, Grzegorz Krupa, Michał Wachowicz, Grzegorz Germant, Leszek Andrzejewski, trener Waldemar Nieleśzczuk, Robert Samoń, kierownik drużyny Maciej Mrówczyński, Arkadiusz Boruta, dolny rząd: kierownik studium Roman Małyszek, Krzysztof Mazurek, Marcin Surma, Piotr Szawarski, Jacek Robak, Edward Śpiewła. Lublin, 1994 r. Ze zbiorów Waldemara Nieleśzczuka

czapek i kurtek! Żartowali, że dojadą na mecz zamienieni w śniegowe bałwany i sople. Potem przez kilka sezonów startowaliśmy w rozgrywkach TKKF „Dziennika Wschodniego”, w których również odnosiliśmy sukcesy.

Na początku mojej kariery trenerskiej, w ramach wymiany międzynarodowej, drużyna koszykarzy została zaproszona na mecz towarzyski do Kijowa. Czasy były ciężkie, wyjazd wspierali finansowo działacze ówczesnego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. I tu „inwencja handlowa” działaczy naszego klubu AZS okazała się zbyt wielka! Ilość zakupionych sprzętów i „towarów” nie pozwoliła na zapakowanie ich do ruszającego niedługo pociągu. Mieliśmy kilka minut do odjazdu, więc pospieszyliśmy na peron, ponieważ bilet był grupowy i nie mogliśmy bez działacza opuścić Kijowa. Zostaliśmy na peronie, bez możliwości powrotu do domu, a na dodatek było święto – 1 maja, wszystkie urzędy były zamknięte! Na szczęście dzięki moim zawodnikom oraz ich sprytowi i inteligencji udało się kupić bilet do Przemyśla i, z przesiadkami, po dwóch dniach dotarliśmy do Lublina.

Oprócz sekcji koszykówki prowadziłem też sekcję turystyki, głównie górskiej. Sam jestem miłośnikiem gór, więc łatwo było mi zawiązać grupę pasjonatów wędrowek.

Przygodę z wędrowkami pieszymi rozpoczęliśmy na łatwych i krótkich trasach Roztocza oraz wąwozach okolic Kazimierza Dolnego. Z każdym rokiem pozyskiwałem coraz więcej pasjonatów i zaczęliśmy zdobywać polskie góry. Efektem było „zaliczenie” wszystkich pasm w Polsce: Beskidów, Bieszczad, Pienin, Karkonoszy i Tatr. Jedną z wypraw górskich, kiedy to studenci wyrwali się wieczorem na dyskotekę, zapamiętałem na długo. Wizyta gości na zabawie nie spodobała się miejscowym góralom! Zazdrośni o swoje dziewczyny rozpoczęli gonitwę za studentami. Całe szczęście wszystko skończyło się dobrze, bo studenci byli zawodnikami lekkoatletyki, więc udało im się uciec przed zazdrosnymi góralami!

Oprócz wyżej wymienionych sekcji sportowych, byłem też instruktorem narciarstwa zjazdowego, uprawnienia uzyskałem podczas pracy na AWF-ie w Białej Podlaskiej. Pozwoliło mi to szkolić studentów Politechniki przez kolejne lata, a chętnych nie brakowało! Narciarstwo zjazdowe to wspaniała dyscyplina, która jest popularna wśród ludzi w każdym wieku. Dzięki prężnemu kierownikowi studium, Grzegorzowi Stefanowskiemu i przychylności władz uczelni, co roku szkoliliśmy studentów, zarówno na stokach w Polsce, jak i na Słowacji oraz we Włoszech. Jazda autokarem trwała czasami prawie 20 godzin, ale nikomu to nie przeszkadzało – uroki tras narciarskich we Włoszech rekompensowały trud i zmęczenie! Były to

niezapomniane wyjazdy, nie tylko ze względu na treningi narciarskie, ale również integrację (wieczorki przy muzyce, biesiady i dyskusje).

Sekcja narciarska, którą się opiekowałem, odnosiła sukcesy podczas startów na AMP, a zawodnicy Marcin Rycaj i Mariusz Podlaszewski zdobyli 8. miejsce w gigancie na AMP na Hali Goryczkowej. Byli to bardzo ambitni i zaangażowani zawodnicy, którzy podczas zgrupowania we Włoszech w Piazzatorre wstawali z łóżek o świcie i byli pierwszymi na stoku! W mroźne poranki razem stąpali po świeżo ratrakowanym stoku. Do dzisiaj utrzymuję dobre kontakty z Marcinem, który prowadzi świetnie wyposażony sklep narciarsko-rowerowy i służy fachową poradą.

Moją ulubioną była sekcja tenisa ziemnego, którą prowadziłem w latach 2011–2017. Ponieważ tenis stał się popularną dyscypliną, prawdopodobnie dzięki sukcesom Agnieszki Radwańskiej, zainteresowanie nią wśród młodzieży bardzo wzrosło. Początkowo zajęcia odbywały się na hali i odkrytych kortach, a następnie została zbudowana hala na dwa kryte korty. Tenista Bartek Marzec, zawodnik sekcji, wywalczył punktowane miejsce na MP we Wrocławiu. Do dziś bardzo chętnie gram w singla i w debla, startowałem też w różnych turniejach dla oldbojów.

Po 42 latach pracy, zarówno na AWF-ie w Białej Podlaskiej (przez 12 lat), jak i na Politechnice Lubelskiej, w 2017 r. odszedłem na zasłużoną emeryturę. Nadal chętnie odwiedzam kolegów i koleżanki w mojej dawnej pracy.



VI Rajd Sekcji Turystycznej, na czele Waldemar Nieleśzczuk, Wąwóz Homole, 2002 r. Ze zbiorów Waldemara Nieleśzczuka. Ze zbiorów Muzeum PL



Trenerzy tenisa ziemnego Grzegorz Stefanowski i Waldemar Nieleśzczuk z zawodniczkami na kortach PL, Lublin, 2007 r. Ze zbiorów Waldemara Nieleśzczuka



Jacek Robak

Zawodnik

W latach 1989–1995 studiowałem na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lubelskiej. Do Lublina trafiłem z Bydgoszczy, gdzie się urodziłem i spędziłem pierwsze 20 lat mojego życia, m.in. uprawiając koszykówkę. Grałem najpierw w grupach młodzieżowych klubu Astoria Bydgoszcz, gdzie zdobywałem złote i srebrne medale mistrzostw Polski kadetów i juniorów. Na studiach rozpocząłem grę w seniorskim klubie AZS PL.

W latach 1989–1994 reprezentowałem uczelnię najpierw w II lidze, a później, po awansie w 1991 r., w I lidze (najwyższej w rankingu, dzisiejsza ekstraklasa). Wejście do ekstraklasy było dla mnie spełnieniem marzeń, ale dla klubu akademickiego okazało się ono również wyzwaniem organizacyjnym i finansowym.

Po jednym sezonie zespół spadł do II ligi, lecz został wzmocniony kadrowo i finansowo przez sponsora Agrofar Kraśnik, dzięki czemu w 1993 r. powrócił do I ligi.

Ale wracając do roku 1989, to co mnie właściwie przygnało do Lublina? Dobre pytanie! Gdy grałem w moim macierzystym klubie Astoria Bydgoszcz, jako juniorzy przyjechalśmy na turniej do Lublina, gdzie w finale zmierzyliśmy się z naszym odwiecznym rywalem – klubem AZS Lublin. Finał nieznacznie przegraliśmy, zdobywając srebrny medal dla Bydgoszczy (AZS wywalczył złoto). W trakcie wyjazdu zobaczyłem, jak pięknym miastem jest Lublin oraz jaka wspaniała atmosfera panuje w klubie AZS, w którym były same młode twarze. Zdecydowałem się rok później, w 1989 r., na przyjazd do Lublina, aby rozpocząć w nim studia i grę. Rywale z boiska z moich czasów juniorskich: Piotr Karolak, Marcin Stefaniuk, Hubert Wasilek i Rysiu Bielak, okazali się w latach studiów w Lublinie moimi najbliższymi przyjaciółmi – był to wspaniały czas.



Klub środowiskowy AZS Agrofarma Lublin po zdobyciu awansu do ekstraklasy koszykarskiej. Górny rząd od lewej: Grzegorz Kokowicz, Hubert Wasiłek, Marek Skiba, Paweł Karolak, Ryszard Bielak, Andrei Berezyński, Grzegorz Gerhant, Dominik Derwisz oraz trener Janusz Narkiewicz, w drugim rzędzie: NN, II trener Janusz Herbin, trener odnowy biologicznej Andrzej Maj, kierownik drużyny Piotr Czubacki, kontuzjowany zawodnik Łukasz Stefaniuk, klęczą: NN, z nr 14 Jacek Robak, NN oraz z nr 6 Zenon Telman, 1993 r. Ze zbiorów Jacka Robaka

Nie ukrywam, połączenie zawodowego grania w koszykówkę z nauką na kierunku inżynierskim PL było dla mnie niezłym wyzwaniem. Ale zawsze lubiłem robić wiele rzeczy naraz, nie chciałem marnować czasu w życiu, więc jakoś „pchałem” wszystko do przodu. Na II roku studiów, pod wodzą trenerów Janusza Narkiewicza i Janusza Herbina, awansowaliśmy do I ligi koszykówki. W Gliwicach, wraz z trenerem Waldemarem Niesleszczukiem, nasz AZS zdobył dla Lublina pierwsze MP Politechnik w koszykówce. Powtórzyliśmy to osiągnięcie dwa lata później w Lublinie, w 1993 r. Zdobyliśmy dwa akademickie złote medale z rzędu. Sportowo byłem spełniony!

Na II roku studiów poślubiłem miłość mojego życia, z którą jestem do dziś – moją Joannę. Rok później urodził nam się pierwszy syn, Piotr. On również został koszykarzem, m.in. ekstrakligi, a obecnie pierwszoligowego zespołu w Inowrocławiu. Jest też mistrzem i wicemistrzem Polski w koszykówce 3 × 3, czyli tzw. koszykówce ulicznej, dziś już sporcie olimpijskim. Inni synowie, a mam ich czterech, również poszli śladami ojca, próbując sił w sporcie, głównie w koszykówce na różnych szczeblach lig, także poza Polską. Paweł przez kilka sezonów grał w koszykówkę

i studiował w Hiszpanii, najmłodszy – Michał, gra w Astorii Bydgoszcz, ale dopadły go ostatnio kontuzje i przeszedł kilka operacji, jak to w sporcie bywa. Trzeci w kolejności – Marek, tańczy w zespole folklorystycznym Ziemia Bydgoska, podróżując po świecie i promując Polskę i nasze tradycje, więc też jest w ciągłym ruchu. Czuję się spełniony, również jako ojciec i mąż. Rozpiera mnie duma, kiedy patrzę na moich synów i widzę, jak dobrze ich wraz z żoną wychowaliśmy. W tym roku będziemy celebrować 35-lecie małżeństwa i mam wrażenie, że jesteśmy nadal tak szczęśliwi, jak podczas naszych studiów w Lublinie.

Po ukończeniu szkoły wyższej kontynuowałem karierę koszykarską, podpisałem kontrakt z akademickim klubem toruńskim AZS Elana Toruń, z którym w 1995 r. wszedłem do I ligi koszykówki i grałem na parkietach ekstraklasy kolejne cztery sezony, aż do 1999 r.

Sportowo przeszedłem na emeryturę w wieku 34 lat, jeszcze parę lat grając amatorsko w klubie Polpak Świecie. W 1999 r. podjąłem też w tym mieście pracę zawodową i do dziś jestem zatrudniony w papierni Mondi Świecie.



Dariusz Szymczuk

Trener

Początki mojej przygody z klubem AZS PL sięgają lat 90., kiedy to w 1991 r. podjąłem pracę w Instytucie Fizyki Politechniki Lubelskiej. Wcześniej przez cały okres studiów na Wydziale Matematyki i Fizyki UMCS-u trenowałem lekkoatletykę – specjalizowałem się w skokach. Naturalne było więc to, że po skończeniu studiów i podjęciu pracy zostałem poproszony przez prowadzącego sekcję lekkoatletyczną Politechniki, Ryszarda Stachaszewskiego, o uczestnictwo w zawodach w barwach tej uczelni. Zgodziłem się bez chwili zawahania, byłem też przecież zawodnikiem AZS-u, trenującym pod okiem Marka Chmielewskiego skok w dal i trójskok.

Spośród wielu zawodów, w których brał udział nasz zespół w latach 1992–1998, w pamięci utkwiły mi dwa wydarzenia, które chciałbym opisać. Pierwsze z nich dotyczy Akademickich Mistrzostw Szkół Wyższych w Lekkoatletyce rozgrywanych w maju 1995 r. na Stadionie Zwierzynieckim w Białymstoku. Była to impreza, w której brało udział ponad dwa tysiące studentek i studentów. Swoich reprezentantów miała na niej większość polskich uczelni wyższych. W związku z tym w rozłożonych na dwa dni 30 konkurencjach startowało po kilkadziesiąt osób (od 60 w konkurencjach technicznych do ponad 100 w biegach). Rozegranie finałów, czyli bezpośrednią walkę o medale, poprzedzały ciągnące się w nieskończoność eliminacje. Opóźnienia w eliminacjach II grupy trójskoku spowodowały, że miałem po nich niespełna dwie godziny przerwy przed rozpoczęciem konkursu finałowego, do którego awansowałem. Gdy inni zawodnicy odpoczywali po obiedzie, ja szykowałem się do walki o medale. Był ponad trzydziestostopniowy upał, konkurencja odbywała się w porze obiadowej, zmęczenie tak mnie jednak zmobilizowało, że w tych zawodach wygrałem klasyfikację w kategorii politechnik, zająłem 4. miejsce w klasyfikacji generalnej i ustanowiłem swój rekord życiowy w trójskoku:

14,92 m. Dodatkowym powodem do satysfakcji był fakt, że na dekoracji złoty medal wręczał mi nieżyjący już pan Jan Mulak, twórca legendarnego Wunderteamu.

Wydarzenie, które równie mocno zapadło mi w pamięć, choć z innych powodów, miało miejsce trzy lata wcześniej i było związane z prestiżowym Ulicznym Biegiem Sztafetowym Szlakiem Pomników Pamięci Tadeusza Kościuszki. Bieg ten co roku odbywa się 24 marca w Krakowie (pierwszy był w 1977 r.) dla upamiętnienia przysięgi Tadeusza Kościuszki złożonej narodowi polskiemu na krakowskim rynku. Udział w tej imprezie brali również studenci Politechniki Lubelskiej, osiągając bardzo różne wyniki, w zależności od tego, jak mocnych zawodników udało się zgromadzić. Bywały lata, że był problem ze znalezieniem wyrównanego, silnego składu sztafety, np. w 1992 r., kiedy poproszono mnie, bym wziął udział w tych zawodach. Zgodziłem się, choć z obawami, gdyż biegi na średnich i długich dystansach nie były moją mocną stroną. Trasa, podzielona na pięć odcinków, z Politechniki Krakowskiej wiodła przez Stare Miasto na Kopiec Kościuszki. Jako najsłabszemu ogniwu w zespole przypadł mi, według opinii innych, najłatwiejszy odcinek pierwszej zmiany, liczący ok. 1400 m. Zaczynał się on przy Politechnice Krakowskiej i kończył na Rynku. Moim zadaniem było stracić jak najmniej dystansu do czołówki, aby na kolejnych zmianach koledzy – specjaliści od dłuższego biegania, mogli walczyć o jak najwyższą pozycję naszego zespołu. Newralgicznym fragmentem mojej zmiany był odcinek prowadzący słynnym krakowskim deptakiem, ul. Floriańską, od Barbakanu do Katedry Mariackiej. Nie wolno było tam stracić kontaktu z czołówką biegu, której drogę wśród przechodniów ułatwiał pilot, zaś ci, którzy biegli lekko spóźnieni, borykali się ze spacerującymi ludźmi. Zmotywowany, by nie zawieść oczekiwań kolegów, wszak o sile łańcucha stanowi najsłabsze ogniwo, wystartowałem nieświadomy tego, co mnie czeka. Od startu do Barbakanu wszystko szło zgodnie z planem. Moi rywale wydawali się nie tacy szybcy jak oczekiwałem i, ku mojemu zadowoleniu, na ul. Floriańską wbiegliśmy wszyscy razem. Chociaż zmęczenie narastało, a za mną było już ok. 1000 m biegu, to bliska perspektywa przekazania na Rynku pałeczki sztafetowej nakazywała aktywować wszystkie rezerwy. Rywale przyspieszyli, nie mogłem zostać z tyłu, gdyż zadanie, przed biegiem wydające się niemożliwe do wykonania, było bliskie ukończenia. Wbiegając na Rynek, rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca przekazania pałeczki i nagle nogi odmówiły mi posłuszeństwa, adrenalina przestała działać. Okazało się, że koniec mojej zmiany znajdował się po przeciwległej stronie Rynku, za Sukiennicami. Do przebiegnięcia

pozostało ponad 200 m, a ja wyczerpałem wszystkie rezerwy sił. Bieg ukończyłem ostatnim wysiłkiem woli, przekazania koledze pałeczki nie pamiętam. Oczywiście wyprzedziło mnie kilku rywali, czołówka oddaliła się na tyle, że koledzy biegnący na kolejnych zmianach nie mieli szans na walkę o podium w końcowej klasyfikacji. Mimo tego okazało się, że zadanie jednak wykonałem dobrze, ku zaskoczeniu i zadowoleniu trenera i kolegów z zespołu, gdyż ukończyłem swój odcinek na 7. lub 8. miejscu.

W następnym roku znów poproszono mnie o udział w tym biegu. Zgodziłem się, tym razem bez obaw i wahania, mimo traumatycznych przeżyć z ubiegłego roku, bo nic nie jest w stanie zastąpić emocji związanych ze sportową rywalizacją, goryczą porażki i radością zwycięstwa, choćby miało się to odbyć kosztem ogromnego wysiłku i skrajnego wyczerpania. Udział w sportowym życiu społeczności akademickiej w czasie studiów, jak również po ich ukończeniu, był wspólnym okresem, do którego chętnie wracam wspomnieniami.



Tomasz Klepka

Prezes

Na drugim roku studiów na kierunku mechanika i budowa maszyn Politechniki Lubelskiej po raz pierwszy trafiłem na spotkanie działaczy Klubu Uczelnianego AZS – to wtedy pojawiła się okazja, by wyjść poza sale wykładowe i zrobić coś innego. Aktywność fizyczna zawsze była dla mnie czymś ważnym. Od dzieciństwa uwielbiałem ruch, zwłaszcza sporty drużynowe, szczególnie koszykówkę czy siatkówkę. W tamtym okresie brakowało odpowiedniego miejsca do uprawiania sportu. Sale zawsze zajmowali amatorzy z Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej, a boiska na zewnątrz były betonowe, często z uszkodzonymi obręczami i bez siatek, w dodatku pełne ludzi. Dzięki działalności w klubie mogłem dla relaksu korzystać z sali sportowej, a przy tym spotykać osoby, które podzielały moje zainteresowania i zachęciły mnie, bym dołączył do AZS-u. Tam od pierwszych chwil organizacja sportu pochłaniała wiele mojego czasu.

Z czasem starsi koledzy wciągnęli mnie w pełną, samodzielną organizację zawodów oraz w inne działania na rzecz sportowców całej uczelni. Gdy prezesem został Adam Dwornicki, powierzono mi rolę wiceprezesa klubu. Przyznam, że od początku działalności w AZS-ie miałem szczęście spotykać ludzi, którzy traktowali nas poważnie, nawet wtedy, gdy byliśmy tylko młodymi studentami.

Wspierało nas wiele osób z AZS-u, m.in.: Witold Zimny, Wiesław Doliński, Zbigniew Jarosz, Dariusz Baran, Stanisław Ksiński, Lucjan Piątek, a także z naszego Studium Wychowania Fizycznego Politechniki: Roman Małyszek, Jarosław Grocholski, Arkadiusz Łątka, Stanisław Kozłowski, Stanisław Koprianiuk, Ryszard Stachaszewski, Danuta Welcz, Bożydar Spólnicki, Waldemar Niesleszczuk i Jerzy Mac.

Skład zarządu klubu po Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym w roku 1988 stanowili koledzy i koleżanki z grup dziekańskich Wydziału

Mechanicznego oraz Wydziału Zarządzania i Podstaw Techniki. Otrzymałem zaszczytne stanowisko prezesa, na wiceprezesów powołano Przemysława Świderskiego i Sławomira Kowalskiego, natomiast Zbigniewa Chołyka i Roberta Szablę na skarbników. Dzięki temu składowi nasze dalsze działania były bardzo efektywne. W następnej kadencji, w 1991 r., do zarządu klubu powołano Sławomira Ciszka oraz Jarka Bielińskiego, ja i wiceprezesi: Przemek i Sławek pozostaliśmy przy swoich stanowiskach.

Pracownicy SWF darzyli nas dużym zaufaniem, mimo że w wielu sprawach byliśmy niedoświadczeni, dopiero się uczylimy. Wspierali oni nasze inicjatywy, pomagali organizować wydarzenia, a przy tym dawali nam swobodę i traktowali jak równych sobie partnerów. Dzięki nim nie czuliśmy się tylko studentami, ale też współtwórcami tego, co działo się sportowo na uczelni. Pamiętam też, że ich podejście motywowało nas do działania, dawało poczucie, że nasze pomysły mają znaczenie i mogą zostać wcielone w życie. Kiedy przychodziły trudne chwile, zawsze mogliśmy liczyć na pomoc, zarówno organizacyjną, jak i przyjacielskie wsparcie. To tworzyło między nami nić porozumienia i naprawdę dobrą atmosferę.

Dzięki przynależności do AZS-u miałem okazję zobaczyć, jak uczelnia działa od środka, także od strony organizacyjnej. Było to dla mnie



Prezes AZS Tomasz Klepka trzyma symboliczny klucz i Akt przekazania hali sportowej na własność we władanie uczelni, 1989 r. Ze zbiorów Muzeum PL

prawdziwą szkołą życia. Zarządzanie i współpraca z kolegami z klubu, zachęcanie innych do działań na rzecz studentów naszej uczelni, tworzenie atmosfery, w której każdy czuje się częścią zespołu – tego uczyłem się na bieżąco, zazwyczaj metodą prób i błędów. Nie zawsze było to łatwe, szczególnie, gdy trafiło się na osoby, które same nie do końca wiedziały, po co przyszły do klubu. Z czasem jednak zrozumiałem, że tak naprawdę każdy, kto pojawił się w AZS-ie, miał coś do zaoferowania innym, nawet jeśli na początku wydawało się, że trafił do nas przez przypadek.

Dwie kadencje, które spędziłem jako prezes klubu, pokazały mi, że podczas studiów ważna jest nie tylko nauka, ale można też spędzić fajnie czas, wykonując pracę dla wspólnego dobra. Wierzę, że właśnie dzięki temu doświadczeniu mogę teraz lepiej realizować własne cele zawodowe, pracując na uczelni oraz angażując się w działania w zakresie prac badawczo-rozwojowych w projektach wdrożeniowych przedsiębiorstw przemysłowych.

W tamtych czasach miałem także szansę być świadkiem znaczących zmian na uczelni. Dla mnie jako studenta budowa hali sportowej w naszym kampusie była marzeniem – całe środowisko absolwentów pamięta salę w „Oxfordzie”, gdzie podczas gry w siatkówkę musieliśmy serwować delikatnie, bo ściany były za blisko. Pamiętam, że wszyscy żyliśmy projektem nowej hali, myślą o nowym sprzęcie, nowych sekcjach sportowych – to był ciekawy czas. Pamiętam także, jak podczas jednej z inauguracji roku akademickiego, po moim wystąpieniu zachęcającym pierwsze roczniki do działań w ramach sportu studenckiego, rektor Włodzimierz Krolopp zapytał: „Czy czegoś wam nie potrzeba?”. Wypaliłem wprost: „Taka duża hala sportowa, a nie mamy siłowni”. Byłem nieco zestresowany, ale jednocześnie zdeterminowany. Rektor spojrzał na mnie i powiedział, że sam kilka lat uprawiał lekkoatletykę i faktycznie siłownia jest potrzebna sportowcom, nawet amatorom. Po inauguracji umówił się ze mną na rozmowę, podczas której zaproponował zakup pierwszych urządzeń do ćwiczeń. To był mój mały namacalny sukces organizacyjny, który przyniósł też nowe możliwości spędzania czasu i przyciągnął do klubu kolejne osoby, które niekoniecznie chciały grać w piłkę, ale za to były zainteresowane treningiem siłowym. Wspominam ten czas jako wyjątkowy okres rozwoju, zarówno mojego, jak i ówczesnej grupy sportowych działaczy. Każdy sukces, choćby najmniejszy, przynosił nam satysfakcję i jeszcze bardziej napędzał do działania.

Organizowaliśmy między innymi: bieg przełajowy studentów pierwszego roku, bieg przełajowy o Puchar Rektora, a później Dziekana Wydziału

Mechanicznego, pierwsze Mistrzostwa Polski Taekwondo ITF, współorganizowane z Tadeuszem Łobodą, w których nasi zawodnicy uzyskali siedem medali, w tym pięć złotych. W kolejnych latach przygotowywaliśmy również halowe MP klubów uczelnianych w lekkoatletyce, Mistrzostwa Szkół Wyższych w piłce nożnej, zawody lekkoatletyczne w ramach Ligi Międzyuczelnianej, turniej piłki ręcznej o Puchar Rektora oraz inne imprezy, np. Plebiscyt na 10 Najlepszych Sportowców Politechniki Lubelskiej w roku 1989. W złotej dziesiątce znaleźli się wtedy zawodnicy sportów drużynowych, takich jak: koszykówka (dwóch naszych studentów grało wtedy w drugiej lidze AZS-u), siatkówka, piłka ręczna oraz laureaci sportów indywidualnych: zawodów lekkoatletycznych, w pływaniu oraz szachów. Była to nieco inna promocja sportu akademickiego, z naszej perspektywy bardzo ciekawa organizacyjnie. Cyklicznie przygotowywaliśmy w kolejnych latach plebiscyty na najlepszego sportowca PL, a także dyskoteki dla studentów. Klub był też organizatorem Balu Sportowca z nagrodami od sponsorów. Co ciekawe, w tamtym okresie firmy nie były szczególnie zainteresowane taką promocją, więc nagrodami były puchary bez grawerów w metalu, jedynie z estetycznymi napisami z kolorowych literek, które naklejano. Robiliśmy wszystko, co w tamtym czasie było możliwe. Nagrodą dla nas, organizatorów, były zawsze szczere uśmiechy obdarowanych.



Członkowie zarządu KU AZS, 1991 r. Od lewej: Przemysław Świdorski, Jarosław Biliński, Stanisław Koprianiuk, Tomasz Klepka, Sławomir Kowalski, Sławomir Cizek. Ze zbiorów Tomasza Klepki

Regularnie robiliśmy również zawody szachowe oraz turnieje brydża sportowego. W tych dyscyplinach wspierali nas Klaudiusz Lennik oraz Mirosław Wendeker, pracownicy Politechniki Lubelskiej. AZS angażował się również w organizację Kozienaliów, podczas których w 1994 r. zrobiliśmy zawody koszykarskie pracownicy kontra studenci. Przyszły na nie do naszej hali tłumy kibiców, pomimo innych imprez artystycznych odbywających się w tym samym czasie. Doping dla obu drużyn był tak głośny, że nie słyszeliśmy sędziego. Inne aktywności, także w sportach zespołowych, to zawody koszykówki ulicznej 3 x 3, połączone z konkursem rzutów za trzy punkty oraz turniej w piłce nożnej grup studenckich. Były także rajdy piesze, obozy narciarsko-szkoleniowe w Bukowinie Tatrzańskiej oraz na Chopoku (Słowacja). Liczyłem, że na tym pierwszym uda mi się nauczyć jeździć na nartach, ale był to niestety grudzień bez śniegu. Za to wtedy od kadry szkoleniowej: Jerzego Maca, Waldemara Nieleszczuka i Grzegorza Stefanowskiego uzyskaliśmy szeroką wiedzę teoretyczną, dyskutując na kwaterze do późnych godzin, przy kominku, o tym, jaka pozycja jest właściwa przy skrętach na stoku. Zarząd klubu organizował także spotkania w ośrodku AZS-u w Wilkasach. Kto tam był, ten wie, jak dobrze się na nich bawiliśmy.

Dziś, z perspektywy czasu, postrzegam wydarzenia z okresu uczelnianego jako cenne i ciekawe doświadczenie. Choć studia na Politechnice były wymagające i każdy absolwent dobrze wie, jak wyczerpujący może być ich rytm, to właśnie ta dobra energia, która towarzyszyła naszym dodatkowym aktywnościom, dawała nam dużo radości i motywacji.

Klub AZS po kolejnym Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym przejął kolega Maciej Kopytek, który skutecznie kontynuował nasze wcześniejsze działania, ale też z sukcesem wprowadzał i realizował nowe pomysły.

Teraz, gdy spotykam dawnych znajomych z klubu, wspominamy ten okres z sentymentem. Dziś wielu z nich to dyrektorzy, prezesi, konstruktorzy i organizatorzy wielu przedsięwzięć – każdy z nas poszedł swoją drogą, ale wszyscy zgadzamy się z tym, że działalność w AZS-ie dała nam solidny fundament do późniejszej kariery. Spędzony w klubie czas był dla mnie bardzo ważny – nauczyłem się, jak w praktyce organizować, inspirować i motywować innych do podejmowania nowych wyzwań. To doświadczenie dało mi podstawy, na których opieram to, co robię dziś.



Paweł Sulik

Zawodnik

Opisać po 30 latach swoją historię w AZS Politechniki Lubelskiej to tak naprawdę zrobić retrospekcję do czasów i miejsc, do których zawsze z wielką chęcią wracało się we wspomnieniach. Nie ma co się dziwić, wszak to czas naszej młodości. Na ograniczenia patrzyło się wtedy jak na wyzwania, które należało pokonać. Nie było na przykład butów do gry na hali i grało się w trampkach – pamiętam, że jeden zawodnik z Politechniki Warszawskiej wystąpił nawet na którychś Mistrzostwach Uczelni Technicznych w tzw. „batmankach”, które bardziej przypominały ciapy/kapcie do grzecznego chodzenia po szkole niż buty do gry w piłkę nożną na hali. Grywało się też „mechatymi” piłkami, bo był okres, gdy były one obowiązujące. Wszystko było możliwe i na wyciągnięcie ręki. Moja historia z AZS PL i sekcją piłki nożnej (ponoć byłem członkiem AZS PL z najdłuższym stażem) związana jest nierozdzielnie z pracą trenera Bożydara Spólnickiego. W tym samym roku on zaczął pracę w Studium Wychowania Fizycznego PL, a ja zacząłem studia na Wydziale Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej (dzisiaj to WBiA). Pamiętam, że kilku zawodników, którzy skorzystali wielokrotnie z dobrodziejstw „dziekanek” było wtedy starszych od trenera. Był to taki nasz Julian Nagelsmann na miarę tamtych czasów i potrzeb.

Zawsze lubiłem grać w piłkę nożną, ale radziłem sobie też z nauką. Wychowałem się na Tatarach, przy stadionie treningowym na ul. Kresowej, więc rzeczą naturalną było to, że piłka stanowiła część mojego życia – bardziej w sferze radości, jaką dawała, niż talentu. W sumie o frajdę w życiu chodzi, więc byłem szczęściarzem. Kariery klubowej nie zrobiłem, chociaż za młodu przewinałem się przez drużynę Motoru. W tamtym okresie Motor był w II, a potem w I lidze (dzisiaj Ekstraklasa). Swoją drogą grał w nim również m.in. Leszek Iwanicki, z którym wielokrotnie później rywalizowałem w Warszawie w ramach rozgrywek: Oldboje > 35 lat lub weterani > 45 lat.

Przed meczami pierwszej drużyny kilka razy grałem więc na Al. Zygmuntowskich, przy pełnych trybunach. Później, zamiast technikum przy FSC pod patronatem RKS Motor, dedykowanego tym, którzy byli bardziej utalentowani, wybrałem IV LO na Czwartku. Do czasu studiów grałem więc m.in. z Grześkiem Komorem czy Tomkiem Jasiną. Oni mogą mnie nie pamiętać, bo należałem do grupy zawodników z wielkimi chęciami, ale i z deficytem talentu, a ci nie zapadają w pamięci najlepszych graczy.

Wszystko zmieniło się w AZS PL, bo tam można było zarówno się uczyć, jak i uprawiać sport, a do tego dużo graliśmy na hali. Potrzebne nam było wybieganie się, taktyczne zdyscyplinowanie czy gra na jeden kontakt, czym można było zamaskować niedostatki uwidaczniające się na dużym boisku.

Zaczęło się jednak od wyjazdu do Kielc na turniej kwalifikacyjny na trawie. Graliśmy z takimi tuzami sekcji piłki nożnej, jak Zbyszek Hołyk, Janusz Wacker czy Piotr Derkaczew. Dla takiego żółtodzioba jak ja, było to rzucenie się na głęboką wodę. Nie sposób wszystkiego opisać, biorąc pod uwagę powiedzenie, że „to, co w Vegas, zostaje w Vegas”... Jestem dziś bardzo wdzięczny za to, czego tam doświadczyłem. Nasze przygody z drużej połowy lat 80. XX w. bywały naprawdę ciekawe. Raz spaliśmy w Hotelu



Od lewej: Krzysiek Adamczyk „Młody”, Mariusz Jakimiuk, trener Bożydar Spólnicki, Waldek Olejnik, Khalaf „Kalafior”, z nr 3 na plecach – Piotr Lalak, przełom lat 80. i 90. Ze zbiorów Pawła Sulika

Centralnym, zaraz przy PKP w Kielcach, byłem wtedy zakwaterowany w pokoju z Piotrem Derkaczewem – chłopakiem o równie wielkim talencie do gry, jak i do zabawy. Przez trzy noce ani razu nie spał on w pokoju, za to udostępniał swoje łóżko innym turystom, więc zdecydowanie podszkoliłem się w językach słowiańskich, a dodatkowo zapoznałem z anatomią płci przeciwnej... Przez dwie noce gościłem w pokoju zorganizowane grupy handlarek ze Wschodu, które czuły się w naszym pokoju jak u siebie. Z tamtych czasów w mojej pamięci utkwiał jeszcze Kerim, chłopak z Iraku, który miał smykałkę do strzelania bramek.

Pamiętam też rywalizację pomiędzy drużyną PL, prowadzoną przez Bożydara Spólnickiego (gdy Bożydar był w wojsku, przez pewien czas opiekował się nami trener Jerzy Mac), a drużyną UMCS Tomka Bieleckiego. Rywalizowaliśmy ze sobą do końca mojej aktywności w AZS PL, chociaż na kilku turniejach, np. w Holandii, ale chyba i w Niemczech, wystawialiśmy wspólną drużynę. Tu przychodzi mi na myśl słynny dialog opiekuna z SWF PL ze studentem o nieeuropejskich korzeniach, o świetnym wyskoku osiągniętym, jakim dysponował nasz opiekun – bez znajomości niemieckiego, za to z wielkim talentem do gestykulacji.

Z obcokrajowców wrażenie robił też filigranowy, Mario z Angoli, do którego po jakimś meczu w Parczewie ustawiła się po autograf około stu-metrowa kolejka miejscowych. Co ciekawe, po studiach Mario występował również w telewizji, w programach satyrycznych, bo miał ku temu



Rywalizacja pomiędzy AZS UMCS (z lewej) i AZS PL: Robert Bugała „Buła” – przy piłce, Marek Sitarz „Dziki”, Paweł Sulik, Piotr Lalak i Rysio Nalewajko, przełom lat 80. i 90. Ze zbiorów Pawła Sulika

smykałkę. Był też lewonożny „Edek” z Algierii i oczywiście nasz przyjaciel z Syrii, Khalaf, zwany „Kalafiolem”. Widziałem go kilka lat później, bo wrócił z Syrii do Polski i miał się wtedy dobrze.

Oprócz treningów w poniedziałki i czwartki od 20 do 22 (czasami przed nami trenowały dziewczyny z klubu Montex Lublin – wielokrotnego mistrza Polski w piłce ręcznej, ćwiczyliśmy z nimi rzuty karne), historia sekcji to przede wszystkim wyjazdy, liga weekendowa, liga międzyuczelniana i różne turnieje. Nie sposób wszystkich opisać, bo było ich naprawdę wiele, ale kilka anegdot postaram się przypomnieć.

Takie wyjazdy to było dla nas zawsze święto. Czekano się na nie, bo było podczas nich mnóstwo śmiechu, ale i pozytywnej rywalizacji. Mimo młodzieńczej fantazji reprezentowaliśmy AZS PL godnie i pozostawialiśmy po sobie pozytywne wrażenia. Nie za każdym razem udało się wygrać, ale nigdy nie zabrakło nam woli walki. Głównymi imprezami były Mistrzostwa Polski Uczelni oraz Halowe Mistrzostwa Polski Uczelni w futsalu. W tamtych czasach futsal w Polsce organizował się w ramy ligowe. Pamiętam mistrzostwa, na których graliśmy z Politechniką Śląską i naprzeciwno nas, w pierwszej piątce przeciwników, znalazło się czterech ówczesnych reprezentantów Polski. Piąty też nie był przypadkowy, bo był z klubu aktualnego Mistrza Polski. Trzon tamtej drużyny stanowili zawodnicy Clearexu Chorzów i Novy Gliwice. Część z nich należała do tzw. grupy studentów



Paweł Sulik podczas gry, przełom lat 80. i 90. Ze zbiorów Pawła Sulika

„okazjonalnych”, przyjętych na pierwszy rok studiów tuż przed imprezą, bez dalszej kariery akademickiej. Niemniej byli to zawodowcy potrafiący grać, a my, mimo to, dotrzymywaliśmy im kroku, co bardzo nas cieszyło. Tamten mecz przegraliśmy chyba jedną bramką, ale mieliśmy kilka szans, by skończyło się odwrotnie. Wielka w tym zasługa trenera Spólnickiego, który odpowiednio nas wtedy ustawił, pod zdecydowanie mocniejszego przeciwnika, tak, aby mecz nie był do jednej bramki.

Miło wspominać mistrzostwa w Szczecinie. Jeszcze wiele lat po ich zakończeniu utrzymywałem kontakt z naszą opiekunką z Politechniki Szczecińskiej (dzisiaj ZUT), pływaczką Iloną Naplochą, która z czasem wyszła za Norwega, więc wyładowała w Norwegii, gdzie pracowała w firmie układającej i konserwującej podwodne rurociągi. Pamiętam jak dziś, że wyjeżdżaliśmy z zimowego Lublina, a na miejscu zastaliśmy wiosenny, zielony Szczecin. W naszej pamięci na zawsze zostały wszystkie rozmowy, które odbyliśmy podczas podróży. W AZS PL mieliśmy też utalentowaną sekcję brydża, m.in. z Jackiem Kwietniem. Uczyłem kolegów piłkarzy tej gry, ponieważ sam w brydża grywałem. Jedziemy kiedyś i gramy, a jeden z kolegów się nam przygląda. Tłumaczymy mu zasady gry, itp. Po kilku godzinach rzuca: „Chłopaki, już wiem, o co chodzi! Rozdajcie na pięciu”. Innym razem rozmawialiśmy o zwyczajach kulinarnych z różnych krajów, a że co roku spędzałem wakacje we Włoszech, miałem o czym mówić. Zeszło na *frutti di mare*. Jeden z kolegów, mniej rozeznany w świecie (a Internet dopiero wtedy raczkował) zapytał, co to jest. Wy tłumaczyłem mu, po czym on odpowiedział, że wie, jak to smakuje, bo jadł pizzę ze śledziem.

Pamiętny był też wyjazd na mecz do Brześcia. Skorzystaliśmy ze specjalnego przejścia dyplomatycznego, żeby nie stać w kolejkach, w których czekało się po dwadzieścia godzin. Wszystko było świetnie zorganizowane i na miejscu zderzyliśmy się z inną cywilizacją. Taksówki brało się na cały dzień i ciągle na nas czekały, bo była taka różnica w wartości pieniądza, że mogliśmy sobie na to pozwolić. Pamiętam, jak poszliśmy do miasta i trenera porwali białoruscy działacze na bratni poczęstunek. Na gazetę wyjęli słoninę i samogon, bo byli bardzo gościnni. Trener się bronił, jak mógł, ale sponiewierali go tą swoją uprzejmością. My w tym czasie przejęliśmy władanie nad danciem, bo banknot jednodolarowy był w stanie otworzyć wszystkie drzwi. To wtedy Piotrek „Dino” Bednarczyk udał się na zwiedzanie miasta, gdzie stracił wszystko, co miał, poza paszportem, który wpadł mu pod podszewkę płaszcza z dziurami w kieszeniach. Piotr na ten wyjazd zapomniał zabrać większości ubrań, więc trzeba było mu je organizować. Było to wyzwaniem w świecie, gdzie nie było niczego.

Podczas naszego powrotu „Dino”, który poczuł smykalkę do porządku, zaczął organizować pogranicznikom kolejkę. To była prze zabawna historia. Z tego wyjazdu, oprócz wygranej, przywieźliśmy hantle i sztangi. Trener przekazał je do siłowni AZS, a ja używam swoich do dzisiaj, gdy jestem na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim.

Świetne były wyjazdy na mistrzostwa do Rzeszowa, na których byliśmy dwa razy. Wtedy była zasada, że kolejne mistrzostwa organizuje ten który wygra i tak się złożyło, że triumfowała Politechnika Rzeszowska. Tam nawet nieźle graliśmy, ale utkwili nam w pamięci sąsiedzi z akademika, w którym zostaliśmy zakwaterowani. Mieszkały tam siostry bliźniaczki, ówczesne Miss i Wicemiss Ziemi Rzeszowskiej, które bardzo nam kibicowały. Pamiętam sytuację, kiedy najlepszym graczem mistrzostw został Robert Bugała, wychowanek Tomka Bieleckiego z KS Budowlani, a jednocześnie gwiazda AZS PL. Kiedy przyszło do wręczenia mu nagrody, Roberta już nie było, bo w sobotę wieczorem musiał wracać do domu. Jako kapitan wystąpiłem za niego. Od razu dało się usłyszeć buczenie, ale po moim wytłumaczeniu wszystko wróciło do normy. Robert grał pewien czas po zakończeniu studiów, ale potem, ze względu na powtarzające się kontuzje przebrańował się i został biegaczem, z powodzeniem zaliczając m.in. „Rzeźnika”. Jego brat Paweł grał w klubie Górnik Łęczna i to jego bramka w barażach zapewniła pierwszy awans Górnika Łęczna do Ekstraklasy.

Mistrzostwa w Gliwicach, w słynnej hali Sośnica też były niezapomniane. Szczególnie gdy uzmysłowimy sobie, ile razy trafiliśmy w godło klubu „Sośnica”, które znajdowało się około 8 m nad bramką. Do wyjścia z grupy obydwu zainteresowanym drużynom potrzebny był wysoki, bramkowy remis, min. 3:3. Skończyło się na 4:4 bez żadnych wcześniejszych ustaleń, a niewiele nam zabrakło do zwycięstwa. W samej końcówce trafiłem w słupek bramki przeciwników. Fajne było to, że mimo różnych perturbacji zawsze wychodziliśmy z grupy do fazy pucharowej albo do grupy drugiego poziomu. Pamiętam młodego Mateusza, który na mistrzostwach w Poznaniu zaraz po wejściu na boisko (w już wygranym meczu) „skleił gołąbka”. Mateusz zasłynął podczas tego wyjazdu również czymś innym – jako jedyny został „królem polowania”. Podczas tamtych mistrzostw bardzo dobrze zaprezentował się „Wiśnia”, a bramki z sukcesami bronił Piotr Samorek. Kończąc opis wyjazdów, wspomnę jeszcze o mistrzostwach w Błazejewie koło Kórnik. Cały tydzień grania na trawiastych boiskach w miejscu, w którym nie było nawet sklepu, a na chleb trzeba było się zapisywać – był sprzedawany z dostawczaka nyska dwa razy w tygodniu. Pamiętam, że gdy przyszła pucharowa środa, to wielu zawodników z innych drużyn wyjechało do

swoich klubów. Tam też spotkaliśmy piłkarzy z radomskiej uczelni, którzy studiowali wychowanie fizyczne, więc treningi mieli codziennie.

Pora odpowiedzieć, dlaczego tak długo należałem do AZS PL. To proste. 5 lat studiów to niejako norma, ale potem moje członkostwo wydłużyło się ze względu na to, że zostałem pracownikiem Katedry Mechaniki Budowli. Uczyłem się w miarę dobrze, więc zauważono mnie, gdy szukano asystentów. W podaniu o pracę napisałem, że główną motywacją jest dla mnie to, że dalej będę mógł grać w piłkę nożną i reprezentować AZS PL (wyłączeni z tego byli tylko pracownicy Studium Wychowania Fizycznego). To bardzo zdziwiło rekrutujących, ale ja byłem naiwny i napisałem prawdę. Miałem w tamtym czasie świetną alternatywę, bo znajomy z Włoch, który organizował kampanie prezydenckie Giulio Andreottiemu, załatwił mi stypendium na dwuletnie studia podyplomowe w Rzymie. Zostałem w kraju, m.in. z miłości do piłki nożnej. Dopiero wyprowadzka z Lublina do Warszawy i zmiana miejsca pracy wyrwała mnie z macierzy.

Co mi dała sekcja piłki nożnej AZS PL? Bardzo wiele. W pewnym sensie mnie wychowała, nauczyła rywalizacji fair i spełniła młodsze marzenia. W sporcie jest tak, że na profesjonalnym poziomie jest zazwyczaj kilka lat



Górny rząd od lewej: Piotr Bednarczyk „Dino”, Piotr Lalak, Paweł Sulik z piłką, Krzysztof Chmielewski; dolny rząd: Marek Sitarz „Dziki”, Robert Bugała „Buła”, Rysio Nalewajko i bramkarz z sekcji piłki ręcznej AZS PL, na gościnnych występach, przełom lat 80. i 90. Ze zbiorów Pawła Sulika

na osiągnięcie sukcesu. Trzeba mieć talent, zaparcie i zdrowie. Profesjonalny sport trudno pogodzić z nauką. Ja nie miałem zbyt dużego talentu, ale potrafiłem wykorzystać to, w czym byłem w miarę przyzwoity. Potrafiłem klepnąć, wyjść na pozycję, byłem wybiegany i taktycznie zdyscyplinowany. Wirtuozi grali wyżej, a ja zawsze pilnowałem tyłów, umiałem ustawić drużynę i się z nią dogadać. Właśnie to wyniosłem z wielu lat spędzonych w AZS PL. Pomimo że mam prawie 60 lat, ciągle gram w piłkę nożną, nawet trzy razy w tygodniu. Z hali zrezygnowałem już wiele lat temu, ale orliki ciągle są dla mnie odpowiednie. Co 10–15 lat zmieniam drużynę, by grać z młodszymi – 20-, 30-latkami. Kiedyś grywałem w Oldbojach i Weteranach z prawdziwymi piłkarzami, nawet byliymi reprezentantami kraju. Z upływem lat zauważyłem, że nie wszystkim wystarczy zdrowia, a ambicje nie maleją. Dlatego ciągnie mnie do młodych piłkarzy, którym ego jeszcze zbyt nie wybujało. Nazywają mnie czasami „Pan tiki-taka”, co jest miłe i nawiązuje do chlubnych czasów specyficznej gry zawodnika FC Barcelony Pepa Guardioli. Przyjemne, nieprawdaż? Mówią też na mnie „Dziadek”, co związane jest z brakiem zamięłowania do przeszczepiania i farbowania włosów. Wciąż czuję satysfakcję, gdy przy wybieraniu składu (a dzieje się to przed każdą



Górny rząd od lewej: w słynnej skórzanej kurtce trener Bożydar Spólnicki, bramkarz Andrzej Iskra, Paweł Sulik, Krzysztof Kozioł, Waldemar Olejnik; dolny rząd od lewej: Robert Bugała „Buła”, Marek Sitarz „Dziki”, Ryszard Nalewajko oraz Piotr Lalak, Rzeszów, 1992 r. Ze zbiorów Pawła Sulika

gierką), nie jestem wybierany jako ostatni. Zawodnicy wiedzą, że jak zagrają do mnie piłkę, to jej nie stracę w dryblingu, nie wybije na oślep, nie rzucę „szkockiej podwieszanej”, tylko zachowam spokój z wysoko podniesioną głową. Precyzyjnie klepnę i wyjdę na pozycję, by ponownie mogli do mnie zagrać. Tego właśnie nauczyłem się w AZS PL, a z biegiem lat zauważyłem, że mniejsze jest zapotrzebowanie na podstarzałego i egoistycznego wirtuoza, który potrafi jedynie irytować i popsuć gierkę, a większe na przyzwoitego rzemieślnika, dla którego zawsze znajdzie się miejsce. Gdyby nie AZS PL, to prawdopodobnie nie nabyłbym odpowiednich umiejętności i nie mógł się cieszyć grą w piłkę tak, jak robię do dziś.

Kończąc, podzielę się jeszcze pewną anegdotką z mojej działalności we władzach AZS PL. Jako członek tych władz miałem dyżury, a na jeden z nich przyszedł postawny młodzieniec, który skończył studia i chciał podpisać obiegówkę. Nie znałem go, co mnie zdziwiło. Niemniej był on członkiem AZS PL, tyle że trenował aikido w swoim macierzystym klubie. Dla uwiarygodnienia całej sytuacji poprosiłem, by pokazał mi jakiś chwyt i on to zrobił. Właśnie wtedy po raz pierwszy i jedyny w życiu zrobiłem salto... On po prostu zastosował jakąś dźwignię. Aby nie złamać przedramienia, podskoczyłem i obróciłem całe ciało. Szczęśliwie, trochę przy jego pomocy, wylądowałem na nogach.



Maciej Kopytek

Prezes

Na Politechnikę Lubelską dostałem się w naborze jesiennym, i to jeszcze z odwołania. Nie za bardzo wiedziałem, jak sobie poradzę na uczelni technicznej, gdyż moje zainteresowania były związane z biologią i humanistyką. Przynajmniej wtedy tak sądziłem. Już na pierwszym roku studiów zacząłem interesować się działającymi wówczas klubami studenckimi, które oferowały rozwój pozaedukacyjny. Nie pamiętam już, gdzie i jak poznałem Tomka Klepkę, który wówczas był prezesem AZS-u PL. Zachęcał mnie on do wstąpienia do klubu. Uległem. Dlaczego? Bo środowisko było ciekawe, wesołe i widać było w tych starszych koleżankach i kolegach naturalną chęć robienia czegoś znaczącego. Sławek Ciszek, Andrzej Nowicki, Ela Pręciuk i oczywiście Tomek Klepka – to osoby, które na samym początku mojej przygody z klubem pomagały mi w zapoznaniu się z panującymi tam wówczas regułami i powiązaniem, zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi. Obecnie słowo „powiązania” trochę źle się kojarzy, ale wówczas jego znaczenie było zgoła inne, bardziej pozytywne. AZS nie działał w odizolowaniu, jego częścią były wszystkie uczelniane kluby sportowe. Klub zajmował się nadzorowaniem sekcji, do których należały m.in.: sekcja piłki ręcznej, koszykówki, lekkoatletyki, brydża sportowego. Oferta AZS-u PL przyciągała wielu zdolnych i fajnych ludzi. I to mi się podobało. Z końcem mojej kadencji mijało 30 lat działalności naszego klubu.

Rozwój mojej kariery w klubie zapowiadał się obiecująco. Zostałem skarbnikiem. To była fucha! Moim zadaniem było zbieranie składek od zawodników i członków klubu i raz na kwartał przekazywanie ich do „środowiska” przy ul. Langiewicza. No, niby prosta sprawa... Po tym, jak objąłem tę funkcję, pojawił się jednak pierwszy problem finansowy. Wynikał on z braku synchronizacji terminów zawodów, w których nasi członkowie występowali, z terminami wypłaty stypendium na naszej uczelni. Dlaczego? A dlatego że, aby wziąć

udział w zawodach, wszyscy uczestnicy musieli mieć podbite książeczki potwierdzające opłacenie comiesięcznych składek. Niestety normą na studiach było to, że zawodnicy przeznaczali kwotę składki na inne wydatki. Tak więc gdy przychodziło do wyjazdu na zawody, moi koledzy z różnych sekcji zjawiali się u mnie po podbicie książeczki i potwierdzenie opłacenia składek, a także z prośbą o prolongatę zapłaty do czasu otrzymania stypendium. Ulegałem, a potem musiałem z własnych pieniędzy uzupełniać zaległości, bo termin wpłaty składek do „środowiska” był święty.

Mimo opisanych wyżej niepowodzeń, kontynuowałem karierę w klubie. Po odejściu z AZS-u kolegi Tomasza Klepki, zostałem wybrany na prezesa i... w dalszym ciągu pełniłem funkcję skarbnika. Budżet, jakim dysponowałem, pozwolił mi na zajmowanie się tym jedynie przez kolejny rok, więc w końcu zrezygnowałem. Mój następca nie poszedł w moje filantropijne ślady i był dużo bardziej konsekwentny w zbieraniu składek.

Współpraca z władzami uczelni układała się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Z pewnością miał na to wpływ fakt, że opiekunem sekcji brydżowej był Klaudiusz Lenik, ówczesny dziekan Wydziału Zarządzania i Podstaw Techniki, na którym to właśnie studiowałem. Politechnika



Pamiątkowa fotografia ze spotkania z okazji 30-lecia AZS PL, od lewej: Tomasz Klepka, Jerzy Karkuć, Jarosław Urban, Anna Wróbel, Witold Zimny, Dariusz Dudak, Mieczysław Hasiak i Janusz Domański. Maciej Kopytek prezentuje jubileuszowy dyplom. Lublin, 1995 r. Ze zbiorów Macieja Kopytki

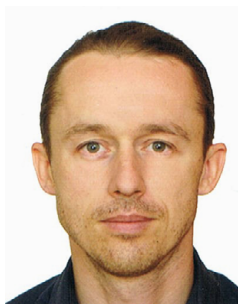


Mecz koszykówki, AZS PL vs zespół oldboyów na hali sportowej PL, 2. poł. lat 90. Ze zbiorów Macieja Kopytka

Lubelska dostawała od państwa dotacje i podlegała ustawie o finansach publicznych, co w pewnych momentach okazywało się kłopotliwe. Zazwyczaj pod koniec roku władze uczelni dokonywały przeglądu wydatków i gdy zostawały pieniądze, to pamiętano także o klubie AZS PL i informowano nas o wysokości przyznanych środków oraz o terminie na ich wydatkowanie. I tu czasami pojawiał się problem, bo to zazwyczaj następowało w grudniu, tuż przed świętami. Jeżeli zakupy dotyczyły samego klubu i miałem z nich zakupić np. materiały biurowe, wodę mineralną na organizowane przez nas zawody, dyplomy, puchary itd., to raczej nie było z tym problemu, ale czasem poprzeczkę miałem postawioną o wiele wyżej... Pamiętam jak dziś sytuację, gdy pakowałem się na wyjazd do domu, gdyż zaczynała się świąteczna przerwa. Na uczelni były już w zasadzie pustki, akademiki opuszczone przez studentów zamilkły i tylko pojedyncze osoby, takie jak ja, pakowały się jeszcze do wyjazdu. Na piętrze mojego akademika zadzwonił wtedy telefon. Dzwoniła pani z kwestury, by poinformować mnie, że właśnie otrzymaliśmy pieniądze na zakup 20 par butów dla koszykarzy, ale warunek jest taki, że do jutra musi mieć na nie fakturę.

Rozmiary butów dla koszykarzy raczej nie należą do typowych i zazwyczaj zaczynają się od numeru 43 wzwyż. Jak łatwo się domyślić, zakup takiego obuwia był niemożliwy w tak krótkim czasie, bo kto trzyma na stanie buty nr 46? Ale jak były pieniądze, to trzeba było je spożytkować, bo druga taka okazja mogła się już nie trafić. Poszedłem więc do sklepu sportowego i porozmawiałem ze sprzedawcą, wyłuszczając mu problem, jaki zamierzałem przy jego pomocy rozwiązać. Zgodził się na zaproponowane przeze mnie rozwiązanie i wystawił mi fakturę na 20 par butów. Faktura tego samego dnia została zapłacona przez szczęśliwą panią z kwestury, ja spokojnie wracałem do domu, właściciel sklepu miał zastrzyk gotówki, a chłopaki po powrocie na studia i podaniu potrzebnych numerów butów, sukcesywnie odbierali je ze sklepu.

Moje wspomnienia byłyby niepełne, gdybym nie wspomniał o codziennej pracy na rzecz AZS-u Politechniki osób takich jak: Sławek Cisek, Andrzej Nowicki, Ela Pręciuk, Zosia Kozyra, Marta Falkowska i jeszcze jedna koleżanka, która była wówczas skarbnikiem – niestety nie pamiętam, jak się nazywała. Uważam, że to właśnie ci ludzie, ich poświęcenie i chęć pracy były głównym motorem napędowym klubu. Byliśmy zgrani i mogliśmy na siebie zawsze liczyć. Nawet jak nie było mnie już w Lublinie, to Sławek Cisek jeszcze im pomagał, mimo że nie był już formalnie związany z uczelnią. Ach, to był naprawdę bardzo dobry i piękny czas! Ale w końcu przyszedł moment przekazania pałeczki młodszemu pokoleniu i moją następczynią została Marta Falkowska.



Michał Sztembis

Zawodnik

Wraz z przyjacielem ze szkolnych lat oraz grupą poznanych, zainteresowanych tematem osób udało nam się założyć na Politechnice Lubelskiej sekcję kolarstwa górskiego. Opiekunem sekcji został pan Bożydar Spólnicki, który zarażał nas swoją otwartością i optymizmem – cechami, które charakteryzują go do dziś.

Mieliśmy niewielkie doświadczenie, ale za to dużo entuzjazmu, chęci, energii oraz grono życzliwych ludzi wokół, z panem kierownikiem Grzegorzem Stefanowskim na czele.

Osoby, z którymi zakładaliśmy i tworzyliśmy sekcję, to: Tomek Sawicz, Maciek Mitura, Paweł Dawidziuk, Jarek Fel, Sabina Grzegorzczuk, Anna Rowińska, Marta Pietrzak, Piotrek Filipiuk, Olek Kmita, Kamil Mazurek, Konrad Goral, Przemek Droś, Adam Nawłatyna, Andrzej Ardasiński. Kojarzę jeszcze kilka osób, ale ich imiona i nazwiska niestety uleciały mi już z pamięci.

Naszym celem było kontynuowanie rozwoju w kolarstwie górskim, którym zajmowaliśmy się na tyle profesjonalnie, na ile pozwalały warunki w tamtych czasach i nasza ówczesna wiedza.

Pamiętam, że był to jeszcze czas, gdy nie wszystkie akademickie zawody odbywały się w ramach Akademickich Mistrzostw Polski. Na nasze pierwsze tego typu zawody – XXIII Mistrzostwa Polski Szkół Wyższych w Kolarstwie Górskim – pojechaliśmy do Przesieki k. Jeleniej Góry. Pamiętam doskonale, jak w drugiej połowie maja (chyba był to 23 lub 24 maja), rano przed wyścigiem kobiet, zaskoczył nas... padający tam śnieg. Dzięki zapaleńcom z innych części kraju mogliśmy ścigać się z innymi studentami nie tylko na mistrzostwach Polski, ale również w ramach Akademickiego Pucharu Polski – w maratonach i cross-country.

Z mieszanymi uczuciami wspominam dalekie podróże pociągami w góry, gdzie wówczas odbywała się większość naszych wyścigów. Przykładowo,

do Przesieki czy Polanicy-Zdroju jechaliśmy (i wracaliśmy) po kilkanaście godzin pociągiem, a końcówkę trasy pokonywaliśmy z plecakami na rowerach. Wiele godzin spędzonych w PKP również uczyło życia, pokory, cierpliwości – i nas integrowało. Do tego dochodził czas spędzony na wspólnych treningach: na rowerze, zimą i latem, na hali – razem z innymi sekcjami i trenerami. Coś pięknego.

Pamiętam jedną z ciekawszych sytuacji, kiedy w dniu naszego wyjazdu z Lublina organizator opublikował informację o odwołaniu wyścigu. Niestety, nie zostaliśmy o tym poinformowani (nie było jeszcze smartfonów ani powszechnego dostępu do internetu w telefonach), więc pojechaliśmy pociągiem, bagatela, do Kamiennej Góry...



Sabina Grzegorzczak podczas Akademickiego Pucharu Polski w Maratonach MTB, 2007 r.
Ze zbiorów Michała Sztembisa

Dla mnie osobiście był to okres zdobywania wielu cennych doświadczeń – sportowych, menadżerskich i życiowych – których nie zdobyłbym bez AZS. Mieliśmy dużą swobodę organizacyjną, ale też musieliśmy działać. Udało nam się nawet pozyskiwać sponsorów dla sekcji, co w tamtym czasie było rzadkością.

Już po zakończeniu studiów, w 2010 r., udało nam się jeszcze raz dla KU AZS PL pozyskać i zorganizować Akademickie Mistrzostwa Polski w Kolarstwie Górskim w Chełmie.

Chęć dalszego uprawiania tego sportu była na tyle silna, że po zakończeniu studiów założyliśmy Lubelski Klub Kolarstwa Górskiego, który prowadziłem przez kolejne 12 lat, wspólnie z grupą osób – m.in. z naszego KU AZS. Obecnie nadal jestem aktywnym sportowcem i wciąż ścigam się w moim ukochanym cross-country.

Z wieloma ludźmi z naszej sekcji, czy generalnie z AZS-u, utrzymuję kontakty do dzisiaj, z niektórymi się nawet przyjaźnię. Co więcej, dziewczyna, którą poznałem podczas organizowania drużyny kobiecej naszej sekcji, obecnie jest moją żoną. Jak widać, i takie historie zdarzają się w KU AZS PL.



Akademicki Puchar Polski w Maratonach MTB, Tarnów, 2008 r. Od lewej: Tomasz Sawicz, Michał Sztembis. Ze zbiorów Michała Sztembisa





Marta Pietrzak podczas Akademickiego Pucharu Polski w Maratonach MTB, Ustroń, 2008 r.
Ze zbiorów Michała Sztembisa



II miejsce Klasyfikacji Generalnej Akademickiego Pucharu Polski w Maratonach MTB, Polanica Zdrój, 2007 r. Od lewej: Konrad Goral, Michał Sztembis, Maciej Mitura, Kamil Mazurek, Tomasz Sawicz. Ze zbiorów Michała Sztembisa



Marta Wojtyra- -Perlejewska

Zawodniczka

„Śpiesz się powoli” – tak mawiała do mnie trenerka Elżbieta Dąbrowska podczas treningów badmintonu. Ze wszystkich jej słów tylko te zapadły mi w pamięć, ale bardzo mocno i co jakiś czas, już od prawie 18 lat, wracają do mnie i są przydatne, również poza kortem. Tym, co pamiętam znacznie lepiej niż słowa, są obrazy: uśmiechnięte podczas treningów twarze, lejący się pot i rumieńce na zawodach. Treningi najczęściej odbywały się we wtorki o 20, po długim dniu na zajęciach... A jak na nie trafiłam? Bardzo łatwo. Na I roku studiów wychowanie fizyczne było obowiązkowe. Kiedy poszłam



Sekcja badmintonu KU AZS PL i trenerka Elżbieta Dąbrowska podczas Akademickich Mistrzostw Polski, Kraków, 2007 r. Ze zbiorów Marty Wojtyry-Perlejewskiej



na pierwsze zajęcia, od trenerki dowiedziałam się o AZS-ie i jego licznych sekcjach sportowych. Przyznam szczerze, że na początku marzyło mi się dołączenie do sekcji tenisa ziemnego, ale ich treningi kolidowały z innymi zajęciami na moim kierunku studiów. Poza tym były one przeznaczone dla bardziej zaawansowanych zawodników. W związku z tym skierowałam moją uwagę na badminton, sport znany mi od dziecka, ale w nieco innej, „podwórkowej” formie. Sekcja badmintonu nie była zbyt duża, co więcej dołączyłam do niej z moją koleżanką, którą znałam od czasów liceum. Dostyc szybko poznałam więc wszystkich i dobrze się tam czułam. Nie byłam najlepszym zawodnikiem, najprawdopodobniej przez nawyki z dzieciństwa, ale jak to mówią: miałam serce do tej gry. Cieszył mnie każdy mecz i starałam się grać do samego końca. Raz nawet, na jakieś pięć minut przed końcem treningu skręciłam kostkę, spuchła szybko. Kochana trenerka zarządziła, że jedziemy na ostry dyżur. Na szczęście noga szybko powróciła do sprawności i można było znowu grać.

Dzięki badmintonowi na Politechnice Lubelskiej poznałam wiele wspa-
niałych osób z innych wydziałów, a nawet uczelni. Dzięki nim łatwiej mi było przejść przez studia. Notatki, sprawdzone raporty i różne podpowie-
dzi przydawały się zawsze. Czasem mogłam też wykręcić się z nudnych wykładów z ekologii, mówiąc, że muszę iść na trening, ponieważ repre-
zentuję uczelnię w mistrzostwach. Ach, mistrzostwa akademickie w Kra-
kowie, mój powód do dumy, być tam i grać – to było coś wyjątkowego. Oczywiście brałam również udział w zawodach niższej rangi. Zdarzały się mecze, które się wygrywało i takie, które się przegrywało. W badmin-
tonie jednak zniesienie porażki nie było takie trudne, bo mimo że grało się samemu, to miało się ze sobą cały zespół, który wspierał i kibicował. Zawsze ktoś też poratował odpowiednim do okoliczności słowem. Podczas meczów adrenalina buzowała, poziom cukru w mojej krwi rósł i spadał, niekiedy gwałtownie, a to ze względu na moją cukrzycę typu I. Przyznam, starałam się nie mówić wszystkim, że ją mam, ale tak chyba było lepiej, przynajmniej dla mnie. Granie w badminton pokazało mi, że z cukrzycą mogę nie tylko normalnie żyć, ale także robić dużo fajnych rzeczy.

To tylko część moich wspomnień, a jest ich wiele. Badminton oraz ludzie, z którymi trenowałam: Marta, Ela, Agnieszka (a właściwie dwie, czarna i blondyna), Jarek, Kamil, Łukasz, Piotrek, Wojtek, Renata i Kasia zawsze będą w moim serduchu.



Tobiasz Kaniewski

Zawodnik

W trakcie studiów uprawiałem siatkówkę i siatkówkę plażową pod okiem świetnego trenera Norberta Kołodziejczyka, który zaangażował nas w turnieje Akademickich Mistrzostw Polski. Na treningach było ciężko, zwłaszcza że większość z nas łączyła granie w barwach uczelni z graniem w swoim klubie, ale każdy uwielbiał klimat AZS-u. Wyjazdy do Rzeszowa, Białej Podlaskiej czy Gdyni były niezapomniane, a derby z UMCS-em – zacięłą walką.



Laureaci AMP w Siatkówce Plażowej. Od lewej: Michał Korycki i Adam Manios (UW), Marek Subocz i Tymoteusz Juszcak (PP), Tobiasz Kaniewski i Maciej Włodarczyk (PL), Damian Marcjan i Aleksander Poznański (UPP), Gdynia, 2020 r. Ze zbiorów Tobiasza Kaniewskiego

Najlepszą przygodą była jednak siatkówka plażowa. Słońce, wiatr, piasek i często skrajnie wysoka temperatura nie ułatwiały gry, lecz satysfakcja była zawsze niesamowita. Kilkukrotnie mieliśmy okazję przejść przez turnieje wojewódzkie i półfinałowe oraz zagrać w finałach mistrzostw Polski, które zapamiętam na zawsze.

Obaj, Maciek Włodarczyk i ja, chcieliśmy dobrze wypaść w tamtym sezonie. Wygraliśmy AMWL, potem turniej półfinałowy i pojechaliśmy do Gdyni z marzeniami o medalu. Tam, po bardzo ciężkich przeprawach, weszliśmy do najlepszej czwórki. Półfinały i finały były rozgrywane ostatniego dnia turnieju. Niestety rano, po dobrym początku, przegraliśmy swój półfinał 1:2 i ze słabym humorem czekaliśmy na mecz o 3. miejsce. Nie chcieliśmy wracać bez medalu, więc zmotywowaliśmy się i bardzo twardo rozpoczęliśmy, ostatecznie zamykając cały mecz wynikiem 2:0. Zdobyliśmy brąz. Wspominając to wszystko, myślę, że śmiało da się łączyć edukację ze sportem, czerpiąc z obu dużą przyjemność i przeżywając przy tym piękne chwile. Ja w ten sposób rozwijałem swój charakter jako inżynier i sportowiec.



Atak Tobiasza Kaniewskiego podczas AMP, Gdynia, 2020 r. Ze zbiorów Tobiasza Kaniewskiego



Jakub Kańkowski

Prezes, trener

Studia na Politechnice Lubelskiej rozpocząłem w 2007 r. Pięć i pół roku później ukończyłem zarządzanie, pisząc pracę dyplomową o Akademickim Związku Sportowym. W połowie 2009 r. wszedłem do zarządu AZS-u PL, a dwa lata później objąłem funkcję jego prezesa. Zaczynałem jako student, a obecnie jestem nauczycielem wychowania fizycznego w Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Politechniki.

Kiedy zostałem prezesem, klub miał do dyspozycji jedynie małe pomieszczenie przy sekretariacie SWFiS i starą halę sportową. W klasyfikacji Akademickich Mistrzostw Województwa Lubelskiego zajmowaliśmy 4. miejsce. Wśród sekcji sportowych brakowało zwłaszcza kobiecych dyscyplin zespołowych – koszykówki i futsalu.

Aktualnie KU AZS PL jest czołową instytucją sportu akademickiego w województwie lubelskim. W AMWL 2020/2021 pierwszy raz od ponad dziesięciu lat mocno zagroziliśmy Uniwersytetowi Marii Curie-Skłodowskiej – przegrywając w klasyfikacji generalnej uczelni minimalną różnicą punktową.

W ciągu ostatnich ośmiu lat Politechnika Lubelska klasyfikowała się w Akademickich Mistrzostwach Polski w granicach trzydziestego miejsca (dziesiątego wśród uczelni technicznych), a jej studenci regularnie przywożą po kilkanaście medali rocznie w różnych dyscyplinach sportowych.

Na początku roku akademickiego 2016/2017 ukończone zostało Centrum Sportowe Politechniki Lubelskiej. Studenci uzyskali dostęp do hali sportowej, siłowni, sali fitness, sali sportów walki i tenisa stołowego oraz do boisk: naturalnego, sztucznego, orlika i do siatkówki plażowej, a także do kortów tenisowych. Zarząd AZS-u PL przeniósł się do dużego, nowoczesnego i doskonale wyposażonego biura. Klub od ponad ośmiu lat prowadzi bezpłatne zajęcia sportowo-rekreacyjne dla studentów Politechniki.

Obejmują one kilka dyscyplin i są finansowane z Budżetu Obywatelskiego Miasta Lublin. Ponadto AZS organizuje dziesiątki imprez sportowych w ramach AMP, AMWL, Lubelskiej Uniwersjady czy cyklu „Z UKS-u do AZS-u. Studiuj w Lublinie!”.

Prezesem klubu AZS zostałem oczywiście jeszcze jako student Wydziału Zarządzania PL. Ze sportem związany byłem od zawsze – w szkole trenowałem przede wszystkim tenisa stołowego, ale także piłkę ręczną, futsal i piłkę nożną (w grach zespołowych na studiach grałem na pozycji bramkarza). Od gimnazjum posiadałem licencję sędziego okręgowego tenisa stołowego i w moim rodzinnym Janowie Lubelskim organizowałem i sędziowałem swoje pierwsze zawody. Na studiach już od pierwszego roku reprezentowałem uczelnię w rozgrywkach akademickich – wojewódzkich i ogólnopolskich. Pod koniec drugiego roku studiów natrafiłem zupełnie przez przypadek na ogłoszenie o wyborach do zarządu AZS-u i poczułem, że chcę się w to zaangażować, tzn. organizować zawody sportowe. Okazało się, że jeden z moich kolegów z roku – Adam Nawłatyna – jest już w zarządzie i opowiedział mi, jak to wszystko wygląda. Postanowiłem wybrać się na te wybory. Na miejscu spotkałem trenera swojej sekcji tenisa stołowego – Jerzego Maca, który mnie przedstawił i polecił najważniejszym działaczom klubu. Podczas wyborów zgłoszono moją kandydaturę do zarządu, którego prezesem był wtedy Kamil Sochaj, i uzyskałem wymaganą liczbę głosów. Potem potoczyło się to błyskawicznie, po roku zostałem wiceprezesem ds. sportowych (prezesem był wtedy Łukasz Pawlak), a po kolejnym roku zostałem wybrany na prezesa, którym jestem już ponad 14 lat. W międzyczasie oczywiście skończyłem studia i – w związku z moją działalnością na rzecz AZS-u – dostałem pracę w Zespole Wspomagania Działalności Studenckiej w Dziale Spraw Studenckich. Zrobiłem też kursy instruktorskie i trenerskie tenisa stołowego, tenisa ziemnego, piłki siatkowej, studia podyplomowe z pedagogiki i wychowania fizycznego i ostatecznie znalazłem się w SWFiS PL – zostałem nauczycielem akademickim i trenerem sekcji tenisa stołowego oraz ziemnego. Wcześniej prowadziłem także sekcje kobiecych gier zespołowych takich jak: koszykówka, futsal czy piłka ręczna.

Na początku mojej prezesury skupialiśmy się na kontynuowaniu organizacji wcześniej wspomnianych imprez sportowych. Ponadto chcieliśmy w końcu znaleźć się na podium AMWL.

W roku akademickim 2011/2012 pojawiły się pierwsze przymiarki do nadania klubowi osobowości prawnej. Wtedy nasza drużyna AZS PL występowała w II lidze piłki siatkowej mężczyzn. Jednak tak jak niespodziewanie pojawiliśmy się w lidze, równie szybko się z nią pożegnaliśmy – właściwie

nie wiem, jak się w niej znaleźliśmy. Od lat nie wracałem do tego tematu i ta „przygoda”, mimo że byłem wtedy bardzo młodym człowiekiem, to chyba moja największa AZS-owa porażka. Za to moim najważniejszym sukcesem z tamtego okresu był, zdobyty w Lublinie w 2011 r., srebrny medal w futsalu mężczyzn w AMP w klasyfikacji uczelni technicznych.

Kolejny krok w rozwoju sportu akademickiego, czyli utworzenie klubu z osobowością prawną, cały czas był w moich myślach. Potrzebowałem czegoś nowego, jakiegoś impulsu, nie chciałem popaść w rutynę... Tym bardziej, że z każdym rokiem coraz trudniej jest o studentów chętnych do pomocy w klubie. I jak zwykle zaczęło się od przypadku. Na początku 2020 r. szukaliśmy oryginalnych zajęć do projektu prowadzonego w ramach Budżetu Obywatelskiego. Właśnie w tamtym okresie unihokej został włączony do rozgrywek AMP. Wpadliśmy na pomysł, że postawimy na tę dyscyplinę. Wiceprezes klubu, Wojciech Stańko, skontaktował się z trzema osobami z tego środowiska – Cezarym Pietraszkim, Jerzym Brzozowskim oraz Łukaszem Brylińskim. Zaczęło się od więc od zajęć unihokeja, dołożyliśmy do tego jeszcze tenis stołowy mężczyzn i w końcu pierwszy sezon w rozgrywkach ligowych występowaliśmy „na papierach” zaprzyjaźnionego Klubu Środowiskowego AZS Lublin.



Finale AMP w Tenisie Stołowym Mężczyzn. Od lewej: trener Jakub Kańkowski, zawodnicy Jan Wilk, Mateusz Piątek i Kamil Dawid oraz prorektor Paweł Drożdziel, Lublin, 2018 r. Ze zbiorów KU AZS PL

Do naszego pomysłu z nadaniem osobowości prawnej musieliśmy najpierw przekonać nowe władze Politechniki Lubelskiej. I udało się nam to. Do wsparcia nas zachęciliśmy wszystkie najważniejsze osoby uczelni: rektora Zbigniewa Patera, prorektora ds. studenckich Pawła Drożdźdźla, kvestor – Joannę Żukowską-Kalińską oraz kanclerza – Mirosława Żubera. Otrzymaliśmy od władz ogromny kredyt zaufania i wierzymy, że spłacamy go poprzez codzienną pracę i zaangażowanie. A stosunki między klubem a uczelnią uważam za przyjazne i wiele podobnych podmiotów może nam tego pozazdrościć. Rektor chciał, aby uczelnia była dostrzegana na wielu płaszczyznach, w tym oczywiście sportowej, i to właśnie staramy się robić. Mamy być uniwersytetem kompletnym – dbać zarówno o głowę, jak i ciało, przekazywać wiedzę, dbać o wykształcenie, ale także uczyć zdrowych nawyków. Myślę, że trzeba uświadamiać młodzież akademicką, że sport jest bardzo ważnym elementem życia, a także bezpiecznym i zdrowym sposobem spędzania wolnego czasu.

21 lutego 2022 r., podczas Walnego Zebrania Sprawozdawczo-Wyborczego AZS-u PL zgromadzeni delegaci sekcji przegłosowali zatem jednogłośnie historyczną zmianę – przekształcenie klubu w stowarzyszenie z osobowością prawną, co umożliwiło dalszy rozwój sportowy i organizacyjny. Oficjalną datą powstania KU AZS PL z osobowością prawną jest 25 maja 2022 r., kiedy to klub został wpisany do Rejestru Stowarzyszeń.

W pierwszym sezonie, 2021/2022, kiedy mogliśmy formalnie startować dzięki porozumieniu z Klubem Środowiskowym AZS Lublin, w rozgrywkach państwowych wystartowaliśmy w dwóch dyscyplinach: w I lidze unihokeya mężczyzn oraz II lidze tenisa stołowego mężczyzn. Z kolejnym sezonem, już jako oddzielny podmiot, dołożyliśmy do naszej działalności sekcję tenisa stołowego kobiet w I lidze i piłki siatkowej kobiet w III lidze. Skąd wybór tych dyscyplin? Odpowiedź jest dość oczywista – taki rynek... Lublin Miastem Sportu – tak możemy bez wątplenia powiedzieć. Żadne inne miasto w Polsce nie ma tak wielu klubów w najwyższych klasach rozgrywkowych. Jest to powód do wielkiej dumy, ale jednocześnie problem, żeby się po prostu przebić na rynku. Stąd taki, a nie inny wybór. Otóż w żadnej z tych dyscyplin w Lublinie nie było najwyższej klasy rozgrywkowej albo w ogóle nie było drużyny.

W obecnym sezonie posiadamy właśnie te cztery drużyny ligowe. Mogliśmy już cieszyć się z pierwszych poważniejszych sukcesów, takich jak: brązowe medale tenisistek stołowych w Pucharze Polski w sezonie 2022/2023 czy awans do ekstraklasy unihokeya mężczyzn, wywalczony w poprzednim sezonie. Ale to nie wszystko: wciąż realizujemy nowe projekty dla różnych

grup wiekowych, np. Pokolenia Gonią Lenia, Narodowa Strefa Aktywności, Od Kanapowca do Sportowca, Akademicka Doba Sportu, Pollub League – amatorskie ligi badmintona, tenisa stołowego i unihokeja, uruchomiliśmy też sekcje młodzieżowe tenisa stołowego i unihokeja, w których od podstaw mogą trenować dzieci i młodzież szkolna.

Co będzie dalej? Jeszcze nie wiemy, ale to wszystko – rozwój klubu, sukcesy, medale i emocje nie byłyby możliwe bez wsparcia, jakim obdarzyły nas władze naszej Alma Mater, za co serdecznie dziękujemy! Obiecujemy, że dalej z zapałem i pasją będziemy działać na rzecz rozwoju sportu i promocji Politechniki Lubelskiej.



Prezes Jakub Kańkowski z medalem 100-lecia AZS Lublin, 2022 r. Ze zbiorów KU AZS PL

Myślę, że pierwsze sukcesy już są zauważalne. Brązowe medale tenisistek stołowych w Pucharze Polski, medale w klasyfikacji generalnej i klasyfikacji uczelni technicznych czy w końcu brązowy medal podczas zeszłorocznych Akademickich Igrzysk Europejskich w Debreczynie na Węgrzech. Kolejnym sukcesem był awans unihokeistów do ekstraklasy mężczyzn, wicemistrzostwo II ligi mężczyzn w tenisie stołowym oraz otarcie się o awans do II ligi piłki siatkowej kobiet. Od niedawna rozszerzyliśmy naszą działalność – aby upowszechnić aktywność fizyczną wśród najmłodszych mieszkańców Lublina, otworzyliśmy sekcje młodzieżowe tenisa stołowego i unihokeja, na które



Trener Jakub Kańkowski oraz brązowe medalistki AZS PL podczas Akademickich Igrzysk Europejskich w Tenisie Stołowym Kobiet, Debreczyn, 2024 r. Ze zbiorów KU AZS PL

serdecznie zapraszamy dzieci i młodzież. Każdy choćby najmniejszy sukces sprawia nam radość i właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Wtedy praca nie jest jedynie pracą, tylko staje się przyjemnym hobby.

To wszystko nie byłoby jednak możliwe, gdyby nie doskonałe warunki, jakie zapewnia nam Politechnika Lubelska. Wspomagają nas również jednostki samorządu terytorialnego, takie jak: Urząd Miasta Lublin i Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego. Nieocenione jest tu także wsparcie naszych partnerów i sponsorów, którymi są: Totalizator Sportowy – właściciel marki „Lotto”, NeuroRehab – Centrum Neurorehabilitacji w Hrubieszowie, Fundacja Rozwoju Sportu, FunFloor oraz AutoKlinika. Liczymy, że nasza współpraca będzie kontynuowana w przyszłości i razem będziemy działać na rzecz rozwoju sportu akademickiego oraz sławić naszą ukochaną Politechnikę Lubelską.

Co zadecydowało o tym, że jestem dziś właśnie tutaj? To, że kocham sport i naszą uczelnię. A z tego połączenia wychodzi słynne AZS-owe hasło: „Trzy litery, jedno serce, AZS!”.



Sebastian Smoliński

Zawodnik

Moja przygoda ze sportem, można by powiedzieć, wyczynowym, rozpoczęła się na Politechnice Lubelskiej, gdzie studiowałem budownictwo. Już na pierwszym roku udało mi się zdobyć pierwszy medal mistrzostw Polski seniorów w konkurencji biegi przełajowe, co zapoczątkowało wieloletnią, intensywną ścieżkę łączenia edukacji z karierą sportową. Już na początku wiedziałem, że to nie będzie łatwa droga, ponieważ wymagała ode mnie wyjątkowych umiejętności organizacyjnych i dużej dyscypliny, by sprostać wyzwaniom, jakie niosły ze sobą oba te obszary.

Wkraczając w świat biegów średnich, musiałem zarządzać czasem w sposób, który pozwoliłby mi realizować się i w sporcie, i na studiach. Budownictwo było wymagające i wiązało się z dużą ilością nauki oraz projektów. Jednak to sport pomógł mi wypracować w sobie takie cechy, jak wytrwałość, samodyscyplina i koncentracja. Codzienne treningi stały się nieodłącznym elementem mojego życia. Skupiałem się na rozwijaniu swoich umiejętności biegowych, pracowałem nad wytrzymałością, szybkością i techniką. Nie zawsze było łatwo, zwłaszcza gdy pojawiały się trudności – zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

Kontuzje są nieodłącznym elementem kariery sportowej, w moim przypadku nie było inaczej. Na przestrzeni lat zmagalem się z różnymi urazami, które wielokrotnie zmuszały mnie do przerw w bieganiu. Pamiętam szczególnie jeden moment, kiedy poważna kontuzja wykluczyła mnie z treningów na kilka tygodni. Był to czas, który chciałem poświęcić na intensywny rozwój sportowy. Niestety musiałem przeznaczyć go na rehabilitację. Tego rodzaju wyzwania uczyły mnie cierpliwości i sztuki radzenia sobie z niepowodzeniami. Kontuzje zmuszały mnie do refleksji nad tym, jak ważna jest ciągłość treningów, sukcesy w zawodach oraz stabilizacja na studiach, szczególnie w czasie sesji i zaliczeń. Był to trudny okres, niektóre filary mojej aktywności

– czy to sportowej, czy naukowej – zaczynały się chwiać, a ja musiałem walczyć, by nie pozwolić im runąć. Teraz, z perspektywy czasu, wiem, że te trudności były kluczowe w budowaniu mojego charakteru.

Jednym z najbardziej pamiętnych momentów mojej kariery sportowej był pierwszy medal na imprezie seniorskiej w Bielsku-Białej, gdzie startowałem na dystansie 800 m. Był to moment przełomowy, który utwierdził mnie w przekonaniu, że mogę rywalizować z najlepszymi w kraju. To wtedy poczułem, że mój wysiłek nie idzie na marne, a ciężka praca zaczyna przynosić konkretne efekty.

Moje osiągnięcia sportowe obejmują m.in.:

- wicemistrzostwo Polski w biegu na 5000 m w Bydgoszczy – 2016 r.,
- dwukrotne zdobycie brązowego medalu w biegu na 800 m w latach 2012 i 2013,
- brązowy medal na halowych MP w biegu na 1500 m w 2015 r.,
- życiowe rekordy: 1:47:87 na 800 m i 3:41:61 na 1500 m.

Kolejne sukcesy, takie jak zdobycie 37 medali na AMP w trakcie studiów, były dla mnie dowodem na to, że wytrwałość i poświęcenie są kluczowe. Co więcej, atmosfera, jaką stworzyliśmy w zespole, była niepowtarzalna. Wspólnie z kolegami i koleżankami dwukrotnie zdobyliśmy drużynowe



Sebastian Smoliński podczas treningu, Biała Podlaska, 2012 r. Ze zbiorów Sebastiana Smolińskiego

mistrzostwo Polski w biegach przełajowych, co było ogromnym osiągnięciem, a zarazem wyzwaniem, które przyniosło nam mnóstwo radości.

Obozy treningowe, które organizował i opłacał mi AZS, były nie tylko okazją do doskonalenia formy sportowej, ale również do nawiązywania cennych przyjaźni. To właśnie podczas tych obozów poznałem ludzi, którzy, podobnie jak ja, łączyli swoją pasję do sportu z wyzwaniami życia studenckiego. Te relacje przetrwały do dziś, a wspólne przeżycia stały się źródłem niezliczonych wspomnień.

Gdy przyszedł czas ukończenia studiów, czułem ogromną dumę nie tylko z powodu wyników akademickich, ale też ze względu na osiągnięcia



Sebastian Smoliński podczas biegu na 800 m w Finale Lekkoatletycznej Ligi, Kraków 2013 r.
Ze zbiorów Sebastiana Smolińskiego

sportowe. Udało mi się zrealizować oba cele – ukończenie wymagających studiów technicznych oraz rywalizację na najwyższym poziomie w polskiej lekkoatletyce. Ten podwójny sukces pokazał mi, że przy odpowiedniej determinacji i zarządzaniu czasem, możliwe jest łączenie dwóch pasji, które mogą wydawać się nie do pogodzenia.

Każdy zdobyty medal, każde zwycięstwo i każda porażka nauczyły mnie czegoś nowego – zarówno o byciu lepszym sportowcem, jak i lepszym człowiekiem. Zrozumiałem, że warto walczyć o swoje marzenia, niezależnie od przeciwności, które napotykamy po drodze. Dziś, kiedy wspominam ten okres, wiem, że wszystkie te doświadczenia ukształtowały mój charakter i przygotowały mnie na kolejne wyzwania, które napotykam w życiu zawodowym i osobistym.



Zwycięzcy AMP w Biegach Przelajowych, Łódź, 2017. Od lewej: Maciej Nitka, Sebastian Smoliński i Bartosz Kotłowski. Ze zbiorów Sebastiana Smolińskiego



Karolina Jakowiecka

Zawodniczka

Przez prawie całe swoje studia na Politechnice Lubelskiej trenowałam kick-boxing. Z tych czasów mam kilka wspomnień. Pierwsze z nich pochodzi z okresu, kiedy zaczynałam swoją przygodę z tym sportem. Przyszłam pierwszy raz na trening, który odbywał się w starej hali Politechniki, byłam zdziwiona, a zarazem trochę podekscytowana tym, co się tam działo. Na hali było około 100 osób zaczynających swoją przygodę z kick-boxingiem. Zajmowaliśmy całą halę i był tylko jeden trener. Tam nauczyłam się podstaw kopnięć i uderzeń oraz poruszania się w odpowiedni sposób. Byli tam też zawodnicy, którzy trenowali już od paru lat i dzielili się z nami uwagami na temat poprawnej techniki. Nasz poziom powoli się wyrównywał.

Kolejnym wspomnieniem są moje pierwsze zawody w kick-boxingu, mianowicie Akademickie Mistrzostwa Polski w Warszawie. Przed moją walką oglądałam starcia kolegów z klubu oraz z innych uczelni i, szczerze mówiąc, stresowałam się bardziej pojedynkami znajomych z PL niż własnym. Kiedy doszło do mojej walki i postawiłam nogę na matę, nastąpił skok adrenaliny, której poziom z czasem jeszcze wzrastał. Byłam bardzo podekscytowana, ale nie czułam strachu. Podczas zmagania słyszałam tylko głos trenera, żadne inne dźwięki z otoczenia do mnie nie dochodziły. Niezbyt pamiętam, jak przebiegała walka, ale podobno wykonywałam polecenia trenera. Pierwszy pojedynek przegrałam, ale ostatecznie, dzięki znakomitemu przygotowaniu i zapałowi zawody wygrałam.

Następne wspomnienie dotyczy zrzucania wagi przed rywalizacją. Startowałam w najniższej kategorii wagowej, tj. 50 kg. Jednak naturalnie ważyłam 2–3 kg więcej. Niestety zbijanie tych kilku kilogramów przy tak niskiej masie ciała nie należało do najłatwiejszych. Pamiętam, jak jednego roku ważyłam się dzień przed zawodami i brakowało mi 0,6 kg. Zazwyczaj wystarczyło nie zjeść śniadania i nic nie pić, żeby nie przekroczyć limitu

do oficjalnego ważenia. Ale następnego dnia ważyłam już więcej. Niestety przed menstruacją kobietom zatrzymuje się woda w organizmie, a wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to będzie ten dzień. Przed wyjazdem do Warszawy brałam gorące kąpiele i wypacałam się. Przed wejściem do busa było oczywiście kolejne ważenie – wskazówka ani drgnęła.

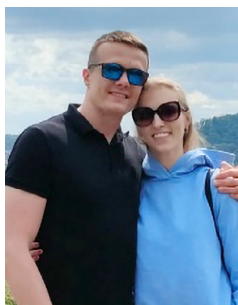
Podróż spędziłam ubrana w dwie pary spodni dresowych, dwie bluzki i dwie bluzy oraz kurtkę wiatrową. Pamiętam, że to był bardzo ciepły majowy dzień. Na postoju na stacji robiłam co mogłam, by pozbyć się nadmiarowych gramów, m.in. ćwiczyłam tzw. walkę z cieniem, koledzy z klubu ścigali mnie po parkingu, żebym robiła zejścia na nogach, jak podczas walki. Najgorszą męką był dla mnie widok kolegi, który startował w kategorii open i na moich oczach pił zimny sok. Teraz się z tego śmieję, ale w tamtym momencie marzyłam, żeby się napić i w głębi serca nie lubiłam tego Bogu ducha winnego chłopaka. Po tym, jak dojechaliśmy do Warszawy, znów była kontrola wagi – wciąż za dużo o 400 g. Założyłam więc kolejne warstwy ubrań i ćwiczyłam – skakałam na skakance, walczyłam z cieniem. W końcu nadszedł czas oficjalnego ważenia przez sędziów. Udało się! Dokładnie 50 kg! Szczerze mówiąc, to była moja największa walka fizyczna i psychiczna spośród wszystkich, które



Sekcja kick-boxingu podczas AMP, Warszawa, 2017 r. Od lewej: Amadeusz Sobczyk, Robert Ułasiuk, Szymon Czerski, Paulina Szewczuk, Karolina Jakowiecka, trener Kazimierz Piwowarczyk, Angelika Zarzeczna, Michał Białek, Konrad Jędrus. Ze zbiorów Karoliny Jakowieckiej

kiedykolwiek stoczyłam. Jestem z siebie dumna, że się nie poddałam, bo to też kształtowało mój charakter.

Moimi osiągnięciami podczas studiów były dwa złote, trzy srebrne oraz brązowy medal na AMP. Dzięki temu sportowi nauczyłam się cierpliwości przydatnej w życiu codziennym, nawiązałam też znajomości, które utrzymuję do dzisiaj i mogę nazwać tę grupę moją małą „kick-boxerską rodziną”.



Patrycja Dudziak i Paweł Fidut

Zawodnicy

Należeliśmy do Klubu AZS w latach 2018–2023. Paweł zetknął się ze sportem akademickim po raz pierwszy na zajęciach z kick-boxingu u trenera Kazimierza Piwowarczyka, u którego do dziś trenuje. Natomiast moja przygoda z AZS-em Politechniki Lubelskiej rozpoczęła się od pierwszego treningu ergometru wioślarskiego. Nie było to moje pierwsze spotkanie ze sportem – od wielu lat na co dzień gram w siatkówkę. To różnorodna oferta zajęć na Politechnice zachęciła mnie do spróbowania czegoś dodatkowego i nowego. Treningi ergometru wioślarskiego oraz lekkoatletyki początkowo były prowadzone przez Ryszarda Stachaszewskiego, a później przez Elżbietę Spólnicką. Oboje mają nie tylko wiedzę, ale też dar do zarażania pasją do sportu. Są świadomi, że nie wynik jest najważniejszy, a szansa na rozwijanie umiejętności pracy zespołowej i pokonywania własnych słabości.

Treningi kick-boxingu Pawła przełożyły się na wyniki, jakie osiągał na innych arenach, nie tylko akademickich. Za jego najważniejsze osiągnięcia możemy uznać:

- 3. miejsce na Mistrzostwach Świata Taekwondo ITF w drużynowych technikach specjalnych,
- 2. miejsce na Mistrzostwach Europy w Taekwondo ITF w drużynowych walkach,
- 2. miejsce na Pucharze Europy Taekwondo ITF w walkach indywidualnych w kategorii +87 kg,
- tytuł Mistrza Polski w Taekwondo ITF w walkach indywidualnych w kategorii do 85 kg, zdobyty w 2022 r.,
- tytuł Mistrza Polski w kick-boxingu w formule point-fightingu w kategorii do 89 kg, zdobyty w 2023 r.

Dzięki AZS-owi mieliśmy okazję spróbować wielu dyscyplin, m.in. lekkoatletycznych. Podczas pięciu lat regularnych treningów Paweł szkolił się

przede wszystkim w skoku wzwyż i w rzucie oszczepem. Ja najczęściej próbowałam sił w biegu na 400 m oraz w skoku w dal. Brałismsy udział w Akademickich Mistrzostwach Województwa Lubelskiego, przygotowania do nich były często szybkie, dynamiczne i trwały tylko parę tygodni. Zarówno podczas treningów, jak i startów w zawodach trener Stachaszewski zawsze pokazywał, że wierzy w nasze umiejętności. Stadion często rozbrzmiewał „motywującymi” okrzykami trenera, takimi jak np.: „Jak ona biega?! Jak ona rozciąga te ruchy?” albo – podczas popisowego skoku wzwyż Pawła – „Gdzie taki gruby na skok wzwyż? Paweł, oderwij d... od ziemi, jak skaczesz!”

Paweł może się pochwalić zdobyciem indywidualnego medalu w skoku wzwyż na AMWL oraz stworzeniem własnej techniki – „na embriona”. Technika ta została przez niego wykorzystana także podczas Akademickich Mistrzostw Polski, jednak nie wystarczyła do otrzymania awansu z grupy eliminacyjnej.

Mnie nigdy nie udało się zdobyć medalu, lecz mogę przytoczyć jedną z anegdot z biegu na jedno okrążenie stadionu, kiedy to... zatrzymałam podczas rywalizacji wszystkie inne zawodniczki! Wydawało mi się, że meta



Finał Akademickich Mistrzostw Województwa Lubelskiego w Piłce Siatkowej Kobiet, 2023 r. Górny rząd od lewej: Natalia Jastrzębska, Aleksandra Targosz, Gabriela Kostur, Kinga Kowalczyk, Agata Czajkowska, Natalia Orzeł, Alicja Darańska, Wiktoria Boczkowska. Dolny rząd od lewej: Magda Nowakowska, Wiktoria Żydziać, Katarzyna Strzeszewska, Patrycja Dudziak, Paulina Kępka, Paulina Kwapisiewicz. Ze zbiorów Patrycji Dudziak i Pawła Fiduta

znajduje się na 300 m. Zatrzymałam się więc na linii oznaczającej 300 m, a reszta dziewczyn – będąc w szoku – także stanęła. W tym momencie trener Ryszard krzyknął z całych sił: „Biegnij!”. A ja, niewiele już analizując, ruszyłam dalej i w ten sposób zajęłam drugie miejsce.

Politechnika Lubelska zawsze dbała o nasze stroje sportowe, zapewniając profesjonalny wizerunek. Legendarne wręcz buty „wałbrzychy” do dziś są prawdopodobnie polecane przez trenerów. Podobno nosił je nawet sam rektor Politechniki, kiedy jeszcze studiował. Nigdy co prawda nie wyniosły nas na podium, ale zawsze je zakładaliśmy.

Warto wspomnieć, że w AMP brali udział zarówno zawodowcy sportowcy, jak i tacy jak my – ci, którzy po prostu chcieli sprawdzić się w rywalizacji. Kibice z pewnością pamiętają, jak wypadaliśmy na tle profesjonalistów. Cieszyło nas jednak, że polityka Politechniki nie odbierała nam możliwości startu, nawet jeśli nie mieliśmy szans na zdobycie indywidualnych medali. Co ciekawe, rywalizowaliśmy na jednej bieżni z takimi nazwiskami jak Ewa Swoboda, Pia Skrzyszowska, Kajetan Duszyński i Norbert Kobielski.

Rugbyści mają po meczu swoją „trzecią połowę”, siatkarki – „szósty set”, w sportach walki istnieje „dodatkowa runda”, a po startach w ergometrze



Akademickie Mistrzostwa Polski w Kick-boxingu, 2019 r. Ze zbiorów Patrycji Dudziak i Pawła Fiduta

czy lekkoatletyce my mieliśmy „dodatkową próbę” – tyle że często trwała ona znacznie dłużej niż kilka minut, a niejednokrotnie nawet całą noc. Dobrze się podczas tych „prób” bawiliśmy.

Dzięki zajęciom z kick-boxingu powstała również grupa, która nawet po latach przyciąga absolwentów na treningi i spotkania integracyjne. Warto też wspomnieć o Kazimierzu Piwowarczyku – trenerze pełnym zaangażowania i pasji do sportu akademickiego, który z powodzeniem buduje i umacnia więzi także poza sportem.

Jak wspomnieliśmy wcześniej, spróbowaliśmy wielu dyscyplin. Politechnika wyróżnia się na tle innych uczelni, jeśli chodzi o podejście do sportu – dała nam możliwości, za które jesteśmy bardzo wdzięczni. Jej władze i pracownicy w szczególny sposób rozumieją ideę AZS-u jako A – atmosferę, Z – zabawę, S – sport. AZS z pewnością łączy ludzi z pasją do sportu i tworzy znajomości na całe lata.



Bartosz Niedziółka

Zawodnik

Swoją przygodę z piłką ręczną zacząłem jeszcze w gimnazjum. Treno-
wałem wtedy w UKS Prus Siedlce, który później zmienił nazwę na MKS
Pogoń Prus Siedlce. Po rozpoczęciu studiów na Politechnice Lubelskiej na
kierunku mechatronika dołączyłem do drużyny akademickiej. Początki nie
były łatwe ze względu na małą liczbę zawodników w zespole, jednak mimo
tych trudności udało nam się stworzyć naprawdę świetnie zgraną drużynę.



AMWL, mecz PL Lublin–LAW Dęblin, 2022 r. Bartosz Niedziółka w trakcie rzutu, z tyłu w żółtej koszulce Jakub Jurko. Ze zbiorów Bartosza Niedziółki

Moja pasja do piłki ręcznej szybko została zauważona przez trenera Karola Gosia, który obdarzył mnie dużym zaufaniem i zmienił moją pozycję ze skrzydłowego na rozgrywającego, żebym mógł prowadzić grę i nadawać tempo akcjom drużyny. Powierzył mi ponadto funkcję kapitana – pełniłem ją przez pięć pięknych sezonów. Dodatkowo zostałem wyznaczony do wykonywania rzutów karnych, co było dla mnie dużym wyróżnieniem i dowodem uznania ze strony trenera i zespołu. W czasie, gdy należałem do drużyny, udało się nam osiągnąć wiele mniejszych i większych sukcesów, takich jak zdobycie trzeciego miejsca w Akademickich Mistrzostwach Województwa Lubelskiego w sezonie 2020/2021 oraz drugiego miejsca w sezonie 2022/2023 w tych samych rozgrywkach.

Jedno z moich najciekawszych wspomnień dotyczy meczu z UMCS-em – nikt nie spodziewał się, że będziemy z nimi walczyć jak równy z równym. Przez całą pierwszą połowę szliśmy łeb w łeb, a do przerwy wynik wskazywał zaledwie jedną bramkę przewagi dla UMCS-u. W ostatnich dziesięciu sekundach meczu udało nam się doprowadzić do wyrównania, co wywołało ogromne emocje w naszej drużynie. Ostatecznie, przegraliśmy po rzutach karnych 3:4, ale „urwaliśmy” im punkty, co było dużym osiągnięciem, bo w ciągu pięciu lat byliśmy jedynymi, którym udało się dać im popalić.



AMWL, mecz PL Lublin–LAW Dęblin, 2022 r. Od lewej: Jordan Stachowski (UP), Bartosz Niedziółka i Konrad Rusak (UP). Ze zbiorów Bartosza Niedziółki

Z tamtego meczu szczególnie zapadła mi w pamięć zabawna sytuacja, do jakiej doszło podczas serii rzutów karnych. Na treningach trener często powtarzał, że „pierwsza wolna”, co oznaczało, że pierwszy rzut można było potraktować z przymrużeniem oka. Był to moment na to, żeby się zabawić, spróbować czegoś nowego – bez konsekwencji. Dopiero druga próba – „na serio” – decydowała o tym, kto będzie sprzątał halę po treningu albo robił karne pompki. I właśnie podczas meczu z UMCS-em, pierwsza osoba, która rzucała do bramki, nie trafiła. Wszyscy spojrzeli po sobie, uśmiechnęli się i ktoś powiedział żartobliwie: „pierwsza wolna!”. To rozładowało napięcie i pokazało, że nawet w trudnych chwilach potrafimy zachować ducha zespołu i zadbać o dobrą atmosferę.

Były też trudniejsze momenty – zwłaszcza w czasie sesji czy rekonwalescencji po kontuzjach. Udział w akademickich rozgrywkach z pewnością nauczył mnie dyscypliny, współpracy i dobrej organizacji. Wspólne treningi, wyjazdy i mecze zbliżyły nas do siebie, a wiele z zawartych wtedy znajomości przerodziło się w prawdziwe przyjaźnie, które trwają do dziś.



Monika Romaszko

Zawodniczka

Przygodę ze sportem zaczęłam w wieku 13 lat, gdy na zawodach szkolnych podszedł do mnie trener i zapytał, czy chciałabym przyjść na trening. Odbywały się one dwa razy w tygodniu, na początku była to zabawa, próbowanie różnych konkurencji. Z czasem zaczęłam zauważać, że faktycznie chyba mam talent do biegania na krótkich dystansach, ponieważ po dwóch lub trzech latach trenowania zdobyłam na Mistrzostwach Polski Młodzików swoje pierwsze medale: w biegu na 80 i 200 m przez płotki.

Rok później wystąpiłam na Mistrzostwach Europy Juniorów Młodszych w lekkoatletyce oraz na Igrzyskach Olimpijskich Młodzieży – nadal ćwicząc maksymalnie trzy razy w tygodniu. Dopiero w liceum, gdy przeprowadziłam się do innego miasta (Puław), żeby trenować, zaczęłam traktować sport bardziej poważnie. Gdy skończyłam szkołę, zmieniłam trenera. Stał się nim Andrzej Gdański, z którym pracuję do dziś. Zmieniłam również dystans, w którym się specjalizuję, ponieważ teraz, zamiast na 100 m przez płotki, biegam sprintem na 100 i 200 m. Była to według mnie dobra decyzja, bo doprowadziła mnie ona na Igrzyska Olimpijskie.

Studiuje na Politechnice Lubelskiej na kierunku zarządzanie i inżynieria produkcji. Dzięki indywidualnej organizacji studiów mogę pogodzić naukę ze sportem. Dużo trenuję i wyjeżdżam. Sport jest tym, co kocham, ale zależy mi też na edukacji. Bez wsparcia uczelni trudne lub niemożliwe byłoby łączenie tych dwóch światów. Doceniam zwłaszcza to, że w 2024 r. zostałam wyróżniona stypendium Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Dyplom oraz gratulacje otrzymałam od rektora Zbigniewa Patera i prorektora do spraw studenckich Pawła Droździela.





Uroczyste wręczenie stypendium Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, 2024 r. Od lewej: rektor Zbigniew Pater, Aleksandra Kozłowska, Monika Romaszko oraz prorektor ds. studenckich Paweł Drożdziel. Fot. Łukasz Jędrzejewski. Ze zbiorów Studia [Pollub.TV](https://pollub.tv)



Elżbieta Spólnicka

Trenerka, zawodniczka

Pragnę podzielić się przeżyciami z czasów, gdy należałam do Klubu Uczelnianego AZS Politechniki Lubelskiej i reprezentowałam ją w zawodach sportowych rangi krajowej w sekcjach lekkoatletyki oraz ergometru wioślarskiego.

Do AZS-u PL należałam w latach 2001–2006 r. jako studentka Wydziału Inżynierii Budowlanej i Sanitarnej (na V roku studiów, przeniesiono cały mój rok na nowo otwarty Wydział Inżynierii Środowiska). Kontynuowałam wtedy (rozpoczęte wcześniej w Klubie Sportowym Start Lublin) uprawianie sportu wyczynowego – lekkoatletyki i biegów średnich. Na Politechnice Lubelskiej startowałam w zawodach akademickich na dystansach rozgrywanych na płycie stadionu lekkoatletycznego: 400, 800, 1500 m (kilkukrotnie w Krakowie i w Poznaniu). Reprezentowałam również uczelnię w biegach przełajowych Akademickich Mistrzostw Polski w różnych miastach, np. w Olsztynie koło Częstochowy, Krakowie (Bieg na Kopiec Kościuszki, Bieg sztafetowy dookoła Rynku), Lublinie (Bieg o Puchar Dziekana Wydziału Mechanicznego Politechniki Lubelskiej). Dodatkowo, dzięki dobrej kondycji i zdrowiu, mogłam sprawdzić się w zawodach w ergometrze wioślarskim na dystansach 800 i 1000 metrów w wadze lekkiej kobiet, gdzie zdobyłam kilka medali AMP. Mój rekord życiowy na ergometrze wioślarskim, ustanowiony w kwietniu 2004 r., wyniósł 3:46:06 i do dziś nie został pobity wśród studentek Politechniki Lubelskiej.

Podczas mojej kariery sportowej i zdobywania wykształcenia wyższego miałam przyjemność spotkać na swojej drodze życzliwych nauczycieli Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Politechniki Lubelskiej, a zwłaszcza byłego lekkoatletę i wspaniałego trenera sekcji lekkoatletyki – Ryszarda Stachaszewskiego. Jako zawodniczka starałam się dbać o swój wizerunek, reprezentując uczelnię na zawodach akademickich.



Brązowy medalista Andrii Mashentsev oraz trenerka Elżbieta Spólnicka podczas AMP w Ergometrze Wioślarskim, Warszawa, 2023 r. Ze zbiorów Elżbiety Spólnickiej

Po wielu latach marzeń, by pracować w sporcie i z młodzieżą oraz po zdobyciu wykształcenia w zakresie wychowania fizycznego, w 2019 r. kierownictwo SWFiS zaproponowało mi prowadzenie na Politechnice Lubelskiej wspólnie z trenerem Ryszardem Stachaszewskim lekkoatletycznej sekcji sportowej kobiet i mężczyzn. Dodatkowo, od 2022 r. powierzono mi stanowisko trenerki żeńskiej i męskiej sekcji ergometru wioślarskiego. Obecnie, jako pełnoetatowy pracownik Politechniki, łączę pracę dydaktyczną ze studentami studiów stacjonarnych i niestacjonarnych z pracą w sekcjach sportowych.

W swojej karierze zawodniczej spotkałam wielu dobrych ludzi, oddanych pasji sportowej i zaangażowanych w pracę. Dzisiaj, patrząc okiem trenerki, pracując zawodowo z młodzieżą jako nauczyciel staram się zachęcać młodych ludzi do uprawiania sportu oraz do aktywności fizycznej.

Według mnie student-sportowiec, wyczynowiec w sportach indywidualnych to osoba łącząca kilka ról. Łączy on naukę z uprawianiem sportu.



Akademickie Wojewódzkie Mistrzostwa Polski w Biegach Przełajowych (II runda – wiosenna), od lewej strony w drugim rzędzie: Elżbieta Spólnicka, Konrad Petrykowski, NN, Amelia Sikora, Piotr Baran, Maciej Alencynowicz, Maks Kotovskyi, Liudmyla Kisilova, Maksym Kuzmin, Kacper Błażejczyk, Bartosz Wróbel, od lewej pierwszy rząd: Mikołaj Drabenia, Matvii Aksenko, Andrii Serga, Andrii Mashenstev, Denis Mazur, Kumowa k. Chełma, 2024 r. Ze zbiorów Elżbiety Spólnickiej

Natomiast bycie trenerką takich studentów polega na nawiązaniu z nimi lepszych relacji i kontaktów obejmujących wsparcie, budowane zaufania i akceptacji. To także zrozumienie ich problemów i wspieranie ich rozwoju w różnych dziedzinach – naukowych i osobistych, a także dotarcie do młodego człowieka, który mierzy się z życiowymi problemami. Praca trenerska to służba w wychowaniu młodzieży. Doceniam to, że w każdym roku akademickim współpracuję z fantastycznymi studentami, co przekłada się na liczbę zdobywanych wysokich miejsc w rozgrywkach Akademickich Mistrzostw Województwa Lubelskiego.

Pragnę podziękować całemu zespołowi redakcyjnemu za możliwość opisanie w kilku zdaniach swojej historii – części życia sportowego w AZS PL. Podziękowania składam również mojemu trenerowi Ryszardowi Stachaszewskiemu, który zawsze doceniał mnie jako sportowca, studentkę i do dziś wspiera mnie w działaniach na rzecz rozwoju sportu akademickiego Politechniki Lubelskiej w lekkoatletyce, biegach przełajowych oraz w ergometrze wioślarskim.



Akademickie Mistrzostwa Województwa Lubelskiego w 2025 r. Sekcja ergometru wioślarskiego zajęła II miejsce w klasyfikacji drużynowej mężczyzn. Od lewej: Sławomir Garbacz, Arkadiusz Berej, Sebastian Żurawski, Kacper Błażejczyk, Bartosz Wróbel, Andrii Serga, trenerka Elżbieta Spólnicka, Yauheni Karvatski, Maksym Kuzmin, Michał Kupidura. Ze zbiorów Elżbiety Spólnickiej



Podopieczna Elżbiety Spólnickiej, Wiktoria Ochocka, podczas Mistrzostw Europy w biegu na 400 m przez płotki, 2025 r. Ze zbiorów Elżbiety Spólnickiej

Spis zdjęć pełnowymiarowych

strona 18	Rozgrywki sekcji piłki ręcznej KU AZS na stadionie Lublinianki, lata 70. Ze zbiorów Muzeum PL
strona 23	Zajęcia gimnastyczne w pierwszej sali sportowej na WSInż., pocz. lat 70. Ze zbiorów Muzeum PL
strona 39	Zawodniczki sekcji gimnastyki artystycznej kobiet (założonej z inicjatywy Danuty Welcz w 1970 r.) podczas zawodów na AOS, pocz. lat 70. Ze zbiorów Muzeum PL
strona 56	Turniej Szachowy o Puchar Dyrektora IIBiS PL Jerzego Grycza, 1983 r. Ze zbiorów Muzeum PL
strona 159	Turniej Tenisa Stołowego o Puchar Kierownika SWFiS, lata 80. Ze zbiorów Muzeum PL
strona 178	Pierwszy Turniej Piłki Nożnej o Puchar Rektora PL, 1984 r. Ze zbiorów Muzeum PL
strona 224	Akademicki Puchar Polski w Maratonach MTB, Tarnów, 2008 r. Od lewej: Michał Sztembis, Tomasz Sawicz. Ze zbiorów Michała Sztembisa
strona 228	Marta Wojtyra-Perlejewska na Sławkowskim Szczycie, Słowacja, 2024 r. Ze zbiorów Marty Wojtyry-Perlejewskiej
strona 258	Monika Romaszko podczas Drużynowych Mistrzostw Europy, Chorzów, 2023 r. Ze zbiorów Moniki Romaszko

Spis treści

Słowa wstępne	6	Mariusz Dudziak	157
Zbigniew Pater	9	Jarosław Welcz	161
Mieczysław Hasiak	15	Jarosław Milaniuk „Milani”	163
Antoni Duk	31	Paweł Poradzisz	169
Danuta Welcz	37	Zbigniew Chołyk	177
Romuald Bołtuć	41	Jerzy Karkuć	181
Leszek Bobrzyk	49	Bożydar Spólnicki	183
Andrzej Sydor	55	Waldemar Niesleszczuk	187
Tadeusz Syta	59	Jacek Robak	193
Dariusz Dudak	63	Dariusz Szymczuk	197
Leopold Koczan	67	Tomasz Klepka	201
Tomasz Maliszewski	75	Paweł Sulik	207
Janusz Targoński	79	Maciej Kopytek	217
Andrzej Pecio	83	Michał Sztembis	221
Witold Zimny	87	Marta	
Maria Goetz-Kwapich	105	Wojtyra-Perlejewska	227
Izabela Szymanek		Tobiasz Kaniewski	231
(z domu Przychodzeń)	109	Jakub Kańkowski	233
Michał Kwiecień	113	Sebastian Smoliński	241
Anna Hartfil		Karolina Jakowiecka	245
(z domu Stępnia)	117	Patrycja Dudziak	
Grzegorz Stefanowski	125	i Paweł Fidut	249
Ewa i Krzysztof Radko	137	Bartosz Niedziółka	253
Jan Teodorczyk	145	Monika Romaszko	257
Andrzej Karasiuk	149	Elżbieta Spólnicka	261
Ryszard Stachaszewski	151		

Sponsorzy

